

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 10/517 1990



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

K. GAWLIKOWSKI: **NOWE MIEJSCE POLSKI
W ŚWIECIE**

L. UNGER: **BAJKA O IRAKU**

SMECZ: **Z UKOSA**

St. BIENIASZ: **REGIONALIZACJA
I FEDERALIZACJA**

R. GORCZYŃSKA: **RECESJA, DEPRESJA**

SPIS RZECZY

Redakcja:	<i>Do prenumeratorów „Kultury”</i>	2
Krzysztof Gawlikowski:	<i>W poszukiwaniu nowego miejsca Polski w świecie</i>	3
Smezc:	<i>Z ukosa</i>	14
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Kieł Barabasa</i>	27
WIERSZE		
Wacław Iwaniuk:	<i>Każdy z nas nosi w sobie załężki wielkości</i>	44
Jacek Kaczmarski:	<i>Lalka czyli polski pozytywizm</i>	47
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	49
Małgorzata Dziewiecka:	<i>I co dalej?</i>	66
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (20)</i>	72
KRAJ		
Stanisław Bieniasz:	<i>Regionalizacja i federalizacja</i>	77
Krzysztof Hariasz:	<i>Ignorancja, arogancja, cynizm</i>	87
Zofia Ziemiecka:	<i>Czytając prasę</i>	91
SPRAWY I TROSKI		
Jan Chodakowski:	<i>Oświadczenie</i>	96
Jerzy Boniecki:	<i>Dlaczego lubię Australijczyków</i>	97
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Katolicy, prawosławni, unicy i inni</i> ...	104
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	113
Józef Darski:	<i>Kronika litewska, białoruska i ukraińska</i>	118
KRONIKA KULTURALNA		
Renata Gorczyńska:	<i>Recesja, depresja</i>	124
KSIĄŻKI		
Andrzej Dobosz:	<i>O bibliografii</i>	131
M. Broński:	<i>Mickiewicziana z Bitburga</i>	137
HUMOR KRAJOWY		
„The Independent”:	<i>„Lech Wałęsa chce 99%”</i>	139
WOLNA TRYBUNA		
Laszlo Lendyel:	<i>Nowy kształt Europy: powrót do Wersalu</i>	141
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki amerykańska i kanadyjska</i>	146
Z OSTATNIEJ CHWILI		
Berlińczyk:	<i>U progu Czwartej Rzeszy</i>	153
•		
M. Heller, C. Jamer, J.	<i>Listy do Redakcji</i>	156
Lo rys, W. Krzyżanowski:	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159
—		

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1990

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Anonimowo z Paryża, po raz 26-ty	F. 200,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza w jedenastą rocznicę Jego śmierci — Dol. US 100,00	F. 520,00
Dr S. Judek, Ottawa, ON (Kanada) — po raz 15-ty	F. 190,57
Mieczysław Piaskowski, Caulfield North, VIC (Australia), po raz 10-ty	F. 140,68
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) dla uczczenia pamięci Anny Festen, zmarłej 8 sierpnia 1990 r. w Los Angeles — Dol. US 25,00	F. 130,00
Edward L. Salamowski, St. Petersburg, FL (USA), po raz 21-szy — Dol. US 20,00	F. 104,00
Juliusz Stroynowski, Kolonia (RFN) — DM 50,00	F. 167,00

DZIĘKUJEMY!

W 8-ą rocznicę śmierci Jerzego Jana Piórkowskiego, zmarłego 1 października 1982 r. od żony i córki (Nowy Jork) na pomoc dla Kraju — Dol. US 32,00

F. 166,00

DO PRENUMERATORÓW „KULTURY”

Na wewnętrznej stronie okładki podajemy ceny prenumeraty *Kultury* na rok 1991. Niestety musimy ją podwyższyć do F. 550,00 rocznie (F. 280,00 półrocznie) wyrównując do równowartości tej kwoty abonamenty w krajach poza Francją.

Największe zmartwienie mamy z krajami dolarowymi, gdzie na skutek ciągłego spadku dolara sytuacja dla nas stała się wprost katastrofalna. Wyrównanie prenumeraty w tych krajach do F. 550,00 jest podwyżką bolesną, zdajemy sobie z tego sprawę, ale nie mamy innego wyjścia. Zresztą sami nie jesteśmy pewni czy w obecnej sytuacji dolar dalej nie będzie spadał. Jedyną pociechą dla Czytelników abonujących *Kulturę* lotniczo jest duża zniżka tych opłat po wprowadzeniu taryfy ekonomicznej. W związku z tym dopłata *roczna* będzie wynosiła: W USA — \$ 7,00 (zamiast 19,00); w Kanadzie — \$ 8,00 (zamiast 26,50); w Australii — \$A 21,00 (zamiast 31,50). W innych krajach Ameryki, w Afryce i Azji dopłata będzie równowartością F. 45,00).

REDAKCJA „KULTURY”

W poszukiwaniu nowego miejsca Polski w świecie

Narodziny Solidarności i późniejsze lata stanu wojennego zmieniły percepcję Polski w świecie, sprawiły, iż była ona obecna w ciągu dziesięciu lat na pierwszych stronach gazet i w czołówkach dzienników telewizyjnych, a Wałęsa, jako przywódca walki z komunistycznym totalitaryzmem, stał się jedną z najbardziej znanych postaci świata. Sympatia, jaką cieszyła się Polska w ciągu tych lat, jest zjawiskiem rzeczywiście niezwykłym. Walkę naszego narodu popierali niemal wszyscy, od skrajnej prawicy po reformatorskich komunistów, co więcej zaś solidarność ta miała zasięg światowy, manifestowali ją nie tylko mieszkańcy całej Europy i Ameryki Północnej, ale także krajów najbardziej odległych, których mieszkańcy poprzednio z trudem nawet kojarzyli nazwę Polska z naszym miejscem na mapie. „Pokojowe rewolucje” zainspirowane przez polski przykład przeobraziły nie tylko Europę Środkową i Wschodnią, ale także stały się bronią mas przeciwko jednopartyjnym systemom „socjalistycznego typu” na innych kontynentach, w Chinach, Mongolii, Birmie, Algerii, Nikaragui. Nawet tam, gdzie do masowego rozwoju takich ruchów nie doszło, zmieniła się świadomość mas. Po raz pierwszy w historii Polska wywarła odczuwalny wpływ na dzieje świata, w tym na dwa wielkie mocarstwa: Sowiety i Chiny.

Powszechna sympatia dla polskiego ruchu demokratycznego i niepodległościowego spowodowała, że nasz naród stał się podmiotem życia międzynarodowego, niezależnie od rządu, jaki instalowano w kraju. Sprawiała, że kolejni ministrowie czy premierzy odwiedzający Polskę spotykali się z Lechem Wałęsą, mimo zwykłej małoduszności polityków zachodnich. Inaczej groziłaby im po prostu porażka wyborcza we własnym kraju. W ostatecznym rezultacie ta właśnie „solidarność z Solidarnością”

przyczyniła się w walnie do ostatecznego zwycięstwa i wymusiła na sowieckich przywódcach oraz na polskich generałach uznanie naszego ruchu i negocjacje; czynniki wewnętrzne były oczywiście istotne, ale bynajmniej nie rozstrzygające. Tak to mit zwyciężył czołgi i całą potęgę sowieckiego imperium, zapoczątkowując jego lawinowy rozkład.

Wylansowanie jakiegoś kraju na arenie międzynarodowej, ani wielkiego ani bogatego, ma oczywiście swoją wartość, którą można nawet wyliczyć w dolarach. Płatne kampanie propagandowe, jakie podejmują różne kraje, kosztujące miliony a przynoszące mierne rezultaty, pokazują to dowodnie. Była to wygrana na loterii historii, jaka zdarza się tylko raz. Gdyby za naszą wygraną ruszył eksport towarów odpowiadających zachodnim standardom, miliony ludzi wzięłoby do koszyka w supermarkecie towar z polską nalepką, właśnie dlatego, że to polskie, nawet bez kosztownych kampanii reklamowych. Gdyby nie było tego elementu opinii publicznej, najprawdopodobniej nie udałoby się ministrowi Skubiszewskiemu wywojować choćby symbolicznego udziału w rozmowach 2 + 4, ani ministrowi Balcerowiczowi tak ogromnej — w deklaracjach przynajmniej — pomocy finansowej zza granicy. Żaden inny kraj byłego bloku sowieckiego nie mógł liczyć na podobne traktowanie. Staliśmy się pierwszym bodajże w świecie „mocarstwem siły moralnej”.

Komu jednak dane jest wiele, od tego wiele się oczekuje. I ten właśnie problem chciałbym rozważyć. Sympatia wobec jakiegoś kraju i jego popularność nie jest dana raz na zawsze, lecz jest czymś bardzo ulotnym, zmiennym jak wszystkie nastroje i emocje. Traci się je równie szybko jak się je zdobywa. Gdyby dziś ktoś przeprowadził badania opinii publicznej, Czechosłowacja, ze swoim dynamicznym prezydentem Havlem, z całą pewnością uzyskałaby noty wyższe niż Polska. Jeśli tendencja upadku naszego prestiżu utrzyma się rok jeszcze, stracimy niemal wszystko. Nasuwa się oczywiście pytanie, dlaczego tak się dzieje. Otóż podstawowym czynnikiem jest pasywność naszej polityki zagranicznej. Polska, która przez całą dekadę fascynowała świat, gdy wybiła się wreszcie na niepodległość, nazbyt zajęła się swoimi sprawami, przyjęła postawę czysto defensywną obrony swoich interesów w rozmaitych toczących się negocjacjach dyplomatycznych, nie podjęła zaś żadnych znaczących inicjatyw, które zyskałyby szerszy rozgłos. Dotyczy to tak inicjatyw politycznych jak i gestów symbolicznych, które formują wyobrażenie o jakimś kraju. Prezydent Havel przełamał na przykład kryzys związany z masą uciekinierów albańskich w ambasadzie w Tiranie, wysławszy tam swój prezydencki samolot. Zatem obiegały później prasę światową fotografie albańskich uciekinierów zwiedzających Pragę. Nie było to, być może, ważne,

ale zapadło w świadomość opinii publicznej jako kolejny gest potwierdzający jasną linię polityczną tego kraju.

Polska w ciągu roku, jaki upłynął, nie zaangażowała się w żadną sprawę pobudzającą masową wyobraźnię. Nie przedstawiła żadnej inicjatywy dotyczącej innych narodów, broniącej jakichś wartości. Była wprawdzie inicjatywa premiera Mazowieckiego dotycząca umocnienia struktury KBWE i współpracy europejskiej, ale od samego początku była ona skazana na niepowodzenie. Ponadto zaś cechowało ją swoiste „biurokratyczne podejście” i mogła ona być tylko przedmiotem dyskusji zawodowych dyplomatów, aczkolwiek nawet oni uznali ją za niezbyt realistyczną. Na to nakłada się brak wizji politycznej, brak wyraźnie określonych celów. Nawet zawodowy dyplomata zachodni po roku istnienia nowego rządu nie potrafił odpowiedzieć, czego Polska chce (poza własnymi bezpiecznymi granicami, rzecz jasna). Czy Polska chce nadal być sojusznikiem Sowietów, czy chce przyłączyć się do Zachodu, a jeśli tak, to do jakich jego struktur? Polska broniąca dalszego istnienia Układu Warszawskiego i RWPG, choćby to było traktowane jako „tymczasowe”, budzi po prostu zdumienie. Jesteśmy już jedynym krajem, który deklaruje chęć utrzymania wojsk sowieckich na swoim terytorium. Opcja neutralna, nawet jako wizja przyszłości, też została odrzucona. Ku czemu więc Polska zmierza?

Z oficjalnych enuncjacji wynika, że priorytetem naszej polityki jest współpraca europejska w ramach procesu zapoczątkowanego przez konferencję w Helsinkach. Użyteczności spotkań 35 państw (państwa europejskie, USA oraz Kanada i Związek Sowiecki) nikt nie neguje. Taki „regionalny ONZ” może odegrać pewną rolę, chociaż w nowej sytuacji politycznej, gdy znikła konfrontacja dwu bloków, musiałaby ona zostać zdefiniowana na nowo. Pozostaje jednak faktem oczywistym, że ciało działające na zasadzie consensusu, a złożone z tak wielu państw, może zaakceptować tylko to, czego będą chciały państwa najmniej skłonne do współpracy. Siłą rzeczy będą to więc albo ogólnikowe deklaracje zasad, albo uzgodnienia dotyczące spraw stosunkowo mniej ważnych, w których rozbieżność interesów jest mniej widoczna.

Próby instytucjonalizacji KBWE popierane przez Polskę (i Czechosłowację) przypominają inicjatywę Gorbaczowa „wspólnego europejskiego domu”, która miała przecież osłabić zaangażowanie amerykańskie w Europie i zastąpić obecnie istniejące formy integracji w zachodniej części naszego kontynentu, takie jak NATO i Wspólnota Europejska, jakąś inną strukturą paneuropejską, w której Moskwa siłą rzeczy odgrywałaby rolę kluczową. Politycy zachodni w nieoficjalnych rozmowach mówią więc: „Formy obecnie istniejące sprawdziły się, a ponadto są one

realnie istniejącymi ponadnarodowymi strukturami, mającymi być organizacyjno-prawny. Jest więc zupełnie niemożliwe ich rozbijanie dla utworzenia czegoś nowego, co prawdopodobnie jest ryzykowną dla nas mrzonką". Sytuację tę porównać można do grupy bezdomnych, którzy proponują sąsiadom mieszkającym w luksusowej willi, aby ją rozwalić i dla wspólnego dobra na to miejsce zbudować pałac, w którym zmieszczą się wszyscy, włącznie z niedźwiedziem z poprzetrącanymi dziś łapami.

Koncepcją, która cieszy się niejaką popularnością, ale ma też przeciwników, jest idea „koncentrycznych kręgów”. Zgodnie z nią wokół Wspólnoty Europejskiej należałoby tworzyć szersze, ale zarazem i bardziej ograniczone strefy porozumienia, pierwszą byłyby kraje EFTA, drugą ekskomunistyczne kraje Europy Środkowej i Bałkanów, trzecią Północna Afryka i kraje Czarnej Afryki, mające już specjalne porozumienia o współpracy, itd. Nie jest to, trzeba przyznać, wizja porywająca dla Polaków, gdyż w istocie skazuje nas na marginalność i na długotrwałe występowanie jako przedmiot manipulacji mocarstwowych.

Sprawa NATO jest bardziej skomplikowana. Pojawiają się idee strefy neutralnej między NATO i Rosją, czy nawet jakichś szerszych porozumień, włącznie ze stworzeniem europejskich sił porządkowych, które mogłyby interweniować w wypadku lokalnych konfliktów narodowych lub etnicznych na naszym kontynencie. Jest to jednakże pomysł nader trudny do realizacji. Można jednak wyobrazić sobie, że również wokół NATO mogłyby powstać, jako rozwiązanie tymczasowe, strefy pozostające pod jego ochroną, bez formalnego członkostwa.

Węgry zaakceptowali koncepcję „stref koncentrycznych” pod warunkiem, że będzie to właśnie rozwiązanie tymczasowe, do pełnego przystąpienia do Wspólnoty Europejskiej za lat kilka, i najprawdopodobniej do NATO. Także Czechosłowacja wyraźnie przyjmuje opcję zachodnią i oba te kraje wchodzą do Układu Pentagonalnego współpracy regionalnej Adriatyku, wraz z Włochami, Austrią i Jugosławią. Jest to pierwsza znacząca inicjatywa integrująca partnerów z obu stron dawnej „żelaznej kurtyny” i dobrze, że Polska zdecydowała się, choć z opóźnieniem, nawiązać współpracę z tym ugrupowaniem. Jest to tym istotniejsze, że szanse na utworzenie podobnego porozumienia krajów Bałtyku są nikłe. Zadeklarowaliśmy też wprawdzie chęć przystąpienia do Rady Europejskiej, ale ma to znaczenie symboliczne raczej niż realne, i nic nie wiadomo o naszych intencjach dotyczących Wspólnoty Europejskiej, a deklarowana chęć pozostania w „zreformowanym Układzie Warszawskim” budzi rozmaite obawy na Zachodzie.

Polityka wobec Niemiec została zdominowana przez małostkowe polityki o uznanie granic i prawa mniejszości niemieckiej w

Polsce. Eksponując problem granicy na Odrze i Nysie sami niejako potwierdzaliśmy, że nie jest ona ostateczna, budziliśmy sami panikę na Ziemiach Zachodnich, stare fobie antyniemieckie i irytację życzliwych nam państw europejskich. Kohl także popełnił w tej sprawie wiele błędów, ale to nie rozgrzesza nas z własnych. Od lat było jasne, że wybicie się Polski na niepodległość i wyzwolenie spod dominacji sowieckiej jest możliwe tylko w ramach przebudowy ładu europejskiego, przy zjednoczeniu Niemiec. Gdy to jednak nastąpiło, okazało się, że nie mamy przemysłanej polityki wobec Niemiec, tak RFN jak i NRD, i okazaliśmy się jedynym państwem europejskim, które zgłasza same tylko zastrzeżenia. Jest jednak jasne, że jeśli chcemy integrować się z Europą Zachodnią, musi to oznaczać przede wszystkim integrację z Niemcami; nie możemy integrować się z Anglią czy Francją ponad głowami Niemiec ze względów czysto geograficznych, nie mówiąc już o gotowości odległych państw do wiązania się z Polską. Trzeba też pamiętać, że pośród państw zachodnich tylko w Niemczech i Austrii istnieje pogłębiona znajomość spraw i terenów wschodnich. W innych krajach jest wprawdzie sporo życzliwości dla nas, ale mamy też tam do czynienia z ogromną ignorancją. Również ze względu na rozliczne podobieństwa kulturowe i wielowiekowe więzi współpraca z tymi dwoma krajami byłaby najłatwiejsza. Integracja gospodarcza wymaga jednak przewyciężenia z naszej strony dawnych antyniemieckich fobii, przez tyle lat upowszechnianych przez komunistyczną propagandę, i rzeczywistego pojednania między naszymi narodami, tak śmiało zainicjowanego ponad dwadzieścia lat temu przez Episkopat.

Równie niejasna jest nasza polityka wschodnia. W sprawie Litwy zachowaliśmy się wprawdzie przyzwoicie, ale z pewnością można było zrobić więcej, nie tylko w stosunkach wzajemnych, ale także popierając sprawę litewską na forum międzynarodowym. Obserwując politykę Polski z Zachodu odnosi się wrażenie (któremu dał wyraz Alain Besançon w swoich ostatnich artykułach i w liście do Michnika — *Kultura*, nr 6/1990), że pozostajemy wciąż jeszcze w zaczarowanym kręgu sowieckim, z którego nie mamy odwagi wyjść, że wciąż traktujemy siebie samych jako kraj satelicki, nie podejmując nawet prób wybicia się na pełną niepodległość. Oczywiście można odpowiedzieć, że jest to wynikiem ostrożności i „realizmu”, choć doprawdy trudno zrozumieć ów tchórzliwy „realizm” w kraju, który zapoczątkował z taką determinacją ruinę sowieckiego imperium i który podjął walkę, która wydawała się przysłowiowym „porywaniem się z motyką na słońce”. Jeśli zaś odwołamy się do „zagrożenia niemieckiego” jako argumentu, będzie to nieprzekonujące, gdyż zagrożenia takiego obecnie nie ma. Gdyby nawet istniało, trudno się spo-

dziewać, że Kreml wyśle swą armię, by broniła granicy na Odrze i Nysie w sytuacji, gdy sprzedano tak łatwo całą NRD. Jednolite i zdecydowane stanowisko państw zachodnich, wraz z więzami integracyjnymi jakie łączą z nimi Niemcy, odegrały dużo większą rolę niż poparcie Moskwy w sprawie jednoznacznych gwarancji naszych granic. Z perspektywy zachodniej wydawało się wręcz, że ów polski Jaś tak uparcie uciekał w objęcia Baby Jagi, gdyż wierzył w upiory rzekomo chodzące po lesie, w strachy z bajeczek opowiadanych mu przez nią przez lat czterdzieści. Było to bardziej wynikiem politycznego „zniewolenia umysłu” i nieznamości zachodnich realiów daleko zaawansowanej integracji, niż potrzeby.

Jeśli nawet ową wierność Polski wobec Sowietów potraktować jako element gry przeciwko „powtórzeniu Rapallo”, również wypadnie ten argument odrzucić, gdyż dzisiejsza konfiguracja sceny międzynarodowej jest zupełnie odmienna. Co prawda lipcowe porozumienie Kohl-Gorbaczow, poza plecami wszystkich, w sprawie obecności zjednoczonych Niemiec w NATO, przywołało i na Zachodzie pamięć Rapallo, ale jest oczywiste, że rozpaczliwe przypomnianie biednej Polski o swej wierności nie mogłoby powstrzymać Sowietów od zawarcia polityczno-gospodarczego „alianсу stulecia” z największą potęgą gospodarczą Europy. Zabezpieczyć interesy Polski można w inny sposób: przez wyraźne przyjęcie „opcji zachodniej”, stowarzyszenie ze Wspólnotą Europejską i z NATO, a także przez wiązanie z państwami naszego regionu. Warto przy tym pamiętać, że dyskusje o takim stowarzyszeniu prowadzone przez każdy kraj oddzielnie dają mu znacznie słabszą pozycję w negocjacjach, niż wspólne wystąpienie kilku krajów. Z drugiej zaś strony należałoby wesprzeć procesy dezintegracyjne w Sowietach, gdyż tylko one mogą nas rzeczywiście zabezpieczyć od wschodu. Bez głębokiej demokratyzacji Sowietów będzie to zawsze ekspansjonistyczne imperium, a przemiany demokratyczne w sowieckim „więzieniu narodów” nie są możliwe bez ich uwolnienia. Demokratyczne państwa, które zaczynają tam się formować, powinny być naszą nadzieją, gdyż tylko w ten sposób możemy się uwolnić od wiekowego zagrożenia i mieć pewność, że ekspansjonizm wschodniego imperium przestanie istnieć. Stąd nie popadając w awanturnictwo, i unikając ostrych zadrażeń z Gorbaczowem, należałoby jednak wyraźnie poprzeć marsz tych krajów ku suwerenności.

Czy nie jest to utopia? Wydaje się, że nie. Kolejne republiki odłączają się albo ogłaszają suwerenność. Jelcyn lansuje model Brytyjskiego Commonwealthu jako przyszły wzorzec stosunków między byłymi republikami związkowymi. Uznaje prawo wszystkich narodów do samodzielnego bytu i chce ustanowić nowe stosunki Rosji z krajami Europy Środkowej, oparte na

równości. Polityka ta znajduje oparcie w szybko rozwijającym się ruchu demokratycznym w samej Rosji. Coraz więcej polityków i ekspertów zachodnich widzi w Jelcynie przyszłą figurę numer jeden, podczas gdy gwiazda Gorbaczowa, jako przywódca Sowietów, wyraźnie blednie.

Przemiany te, w których powinniśmy aktywnie uczestniczyć, stwarzają dla Polski niepowtarzalną szansę, jakiej nie mieliśmy od czterystu lat: ustanowienia dobrych stosunków ze zjednoczonymi Niemcami, zintegrowanymi z Europą, do której i my powinniśmy się dołączyć, nawet jeśli musi to być z konieczności proces długotrwały, a z drugiej strony nawiązanie naprawdę przyjacielskich stosunków z naszymi bezpośrednimi sąsiadami ze wschodu i z Rosją. Dwa młyńskie kamienie, które przez wieki mełły kości naszych przodków i rujnowały nasz dom, przechodzą do historii. Jeśli potrafimy pojednać się z Niemcami i z Rosjanami, nasze położenie geopolityczne może stać się wręcz nader korzystne i ułatwić nam szybki rozwój gospodarczy. Trzeba przecież pamiętać, że cały nasz przemysł oparty jest na surowcach ze wschodu, a tego łatwo nie da się zmienić. Ponadto zaś i nasze produkty przez wiele jeszcze lat nie będą konkurencyjne na rynkach zachodnich, a mogą znaleźć popyt na wschodzie. Dla wszystkich nowych państw formujących się na wschodzie Polska jest ze względów historycznych partnerem ważnym i atrakcyjnym, może też być ich pomostem do Europy (oczywiście jeśli sama będzie tej Europy pełnoprawnym członkiem).

Przemiany jakie zachodzą obecnie w Europie są tak wielkie, toczą się w tempie tak błyskawicznym, że zawodzi nas wyobraźnia. Trzeba jednak starać się wybiec myślą naprzód, umieć dostrzec nowe możliwości, jakie się przed nami otwierają, i wykorzystać je. Tchórzliwe trzymanie się starych schematów, dostosowanych do minionej epoki i narodowa tromtadacja nieodpowiedzialnych deklaracji są naszą Scyllą i Charybdą, które powinniśmy ominąć. Popularne w niektórych kręgach w Polsce idee „międzymorza” są w tej sytuacji nie mniej groźne niż antyniemieckie fobie z minionej epoki państw narodowych. Jeśli ktokolwiek znacznie je poważnie propagować, wystraszy tym tylko naszych wschodnich sąsiadów. Nauczka powinna być sprawa konfederacji z Czechosłowacją i Węgrami, nie ukrywam, bliska mojemu sercu. Należało przede wszystkim misternie budować porozumienia w szczegółowych sprawach, nawiązywać sieć powiązań. I należało czekać, aż nasi partnerzy sami wystąpią z taką propozycją. Gromkie ogłoszenie ich jeszcze przed pierwszą wizytą czeskich przywódców w Warszawie musiało wywołać popłoch u naszych potencjalnych partnerów. My postrzegamy siebie jako „słabych”, ale dla większości naszych sąsiadów

jestemy prawie mocarstwem, choć zrujnowanym gospodarczo. Jeśli więc zechcemy proponować sami naszym sąsiadom jakiś alians, zostanie to zawsze odczytane jako nowa próba dominacji, tym bardziej nieatrakcyjna, iż z „osiłkiem-oberwańcem”. Nasi wschodni sąsiedzi widzą dawną Rzeczpospolitą inaczej przecież niż my, dla nas była ona matką, a dla nich w najlepszym wypadku złą macochą. My możemy zaproponować wyzwalamy się narodom tylko pojednanie, tylko wzajemne przebaczenie dawnych win, jeśli miała je i druga strona. I możemy zaoferować naszą pomoc, na jaką nas stać. Jeśli nasi wschodni słabsi sąsiedzi zechcą czegoś więcej, muszą do tego sami dojść, nie może to być im w żadnym wypadku narzucane ani nawet proponowane.

Polska nie powinna być jednak zaściankowo europejska. To prawda, że nasze interesy związane są głównie z Europą, ale świat się skurczył, działać będziemy w warunkach jednego rynku światowego i jednej informacyjnej „światowej wsi”. Awansowaliśmy w ciągu ubiegłej dekady do roli „mocarstwa siły moralnej” i powinniśmy wagę tego dostrzegać. To jest kapitał materialny, który był wianem Solidarności i nie powinniśmy go lekkomyślnie zmarnować. Podtrzymywanie uzyskanego prestiżu może być dokonywane przez gesty spektakularne i konkretne inicjatywy. Na przykład, jeśli gdzieś odbywają się pierwsze wolne wybory, nasi obserwatorzy powinni tam być, i to być widoczni. Jeśli wybucha konflikt etniczny, możemy proponować mediację. Jeśli więźniowie polityczni gdzieś są maltretowani, powinniśmy ich bronić, tak jak świat bronił przez lata działaczy Solidarności. Byli więźniowie, którzy okazują się głusi na apele o pomoc innych więźniów, są zjawiskiem zenującym. W czyjej obronie występował nasz nowy rząd i organizacje społeczne? Jakie inicjatywy międzynarodowe nie związane bezpośrednio z naszymi interesami podjęliśmy? Czy zainicjowaliśmy, na przykład, akcje solidarności z opozycją mongolską, popierając jej wysiłki przeprowadzenia wolnych wyborów? A przecież mogliśmy, i być może ich wyniki byłyby lepsze. Czy zaproponowaliśmy w ONZ, może razem z Czechosłowacją, Węgrami, Ukrainą jakąś inicjatywę w sprawie Birmy? A przecież po zamordowaniu w ubiegłym roku około 10.000 ludzi, po wtrąceniu do więzień wielu tysięcy, przy stosowaniu najokrutniejszych tortur i trzymaniu w więzieniu wszystkich przywódców opozycji, 27 maja eks-socjalistyczna junta generalska przegrała tam sromotnie wybory, czego teraz nie chce uznać i nie chce zezwolić na zwołanie nowo wybranego parlamentu. Wielkie mocarstwa milczą, nie mają tam interesów, ale nowej Polsce milcząc w takich sprawach nie przystoi. I nikt mi nie wytłumaczy, że nie stać nas na wysłanie kilku telegramów między Ministerstwem Spraw Zagranicznych a Nowym Jorkiem.

Poprzedni reżim włączał nas niekiedy w imperialne akcje sowieckie. Czy dokonaliśmy jakiegoś „rachunku sumienia”, czy poprosiliśmy o przebaczenie tych, których zabijała polska broń w służbie nie naszych interesów? Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się, że wspomagamy nadal krwawe reżimy, gdy powstańcy erytrejscy zaatakowali polski statek na Morzu Czerwonym. Popieraliśmy też, na przykład, wietnamską okupację Kambodży. Czy nie byłoby ładnym gestem wysłanie tam dziś misji Czerwonego Krzyża? Inicjując jako pierwsi taką „akcję pokuty”, zainspirowalibyśmy może i inne kraje, by pomyślały o swej historycznej odpowiedzialności. NRD ma przecież na sumieniu setki tysięcy, jeśli nie miliony, ofiar w Etiopii, i nie tylko tam. A przecież było to robione w imieniu naszych narodów, milcząc uznajemy to nadal za słuszne.

Nasza polityka zagraniczna, a nawet gorzej — nasza opinia publiczna zorientowana jest niemal wyłącznie na kontakty z mocarstwami i państwami bogatymi, od których chcemy coś uzyskać. Jest to ponure dziedzictwo epoki komunistycznej. Polska, która tyle sama wycierpiała od silniejszych, Polska dopiero co wyzwolona, nie może traktować państw średnich i mniejszych, albo tylko biedniejszych, z zarozumiałością. Arogancja, jaką im niestety nadal okazujemy, budzi ból i oburzenie. My powinniśmy właśnie być wzorem traktowania słabszych narodów z szacunkiem. Dla wielu z nich byłoby to ważne, tak jak dla nas liczył się każdy przyjazny gest w okresie stanu wojennego. Powinno to być traktowane jako kwestia fundamentalnych zasad moralnych, aczkolwiek może mieć także użytek praktyczny. Nadzieje, że dorobimy się na eksporcie telewizorów do Japonii albo samochodów do USA, są przecież czystą mrzonką. Z małych interesów, właśnie z mniejszymi krajami, złożyć się mogą sumy wielkie. Wielkie kolosy dobrze o tym wiedzą. Właśnie w krajach zacofanych mogliśmy lokować część naszej przestarzałej technicznie produkcji, byle była ona solidna. Wśród tych państw możemy także liczyć na solidarność w akcjach międzynarodowych, organizując zręcznie szersze współdziałanie możemy wpływać nawet na decyzje państw większych. Może jeszcze ważniejszy jest efekt społeczny: będąc zorientowani wyłącznie na Niemcy, Anglię czy Francję, tracimy z pola widzenia cały ogromny świat, także narodów w trudnej sytuacji, biedniejszych, doświadczonych przez los. Jego znajomość, będąca wynikiem zaangażowania w jego sprawy, byłaby najlepszą odtrutką na nasz zaściankowy nacjonalizm i na nasze kompleksy. A niejednego moglibyśmy się również nauczyć od tych, którzy z sukcesem wyrwywają się z zacofania.

Problemu naszego zadłużenia także nie da się rozwiązać przez gabinetowe układy z wielkimi mocarstwami, a przeciw

reszcy biednych dłużników. Możemy negocjować oddzielnie, ale powinniśmy być obecni także w ich poczynaniach. Wśród biednych dłużników wywołujemy coraz większą irytację i podejrzliwość, tak że w końcu i życzliwe nam kraje bogate poczują się zmuszone zając twarde stanowisko. To kolejny przykład krótkowzroczności i arogancji. Musimy się nauczyć demokratycznego podejścia także w stosunkach międzynarodowych: każde państwo jest ważne, tyle tylko, że te mniejsze są bardziej wrażliwe na punkcie swojej godności. Wystarczy przypomnieć, ile kłopotów w negocjacjach KBWE powodowała Malta, a bez niej nie można było przecież podpisać żadnego układu paneuropejskiego.

Rządowi Solidarności zapominać o takich sprawach po prostu nie wypada, tak jak nie wypada zajmować się tylko swoim państwem i aktualnymi kłopotami, które po opuszczeniu krainy utopii będą nam teraz towarzyszyły przecież stale. Gdy się raz zostało „mocarstwem siły moralnej”, nie można zachowywać się jak arogancki liczykrupa, gdyż grozi to obudzeniem powszechnej niechęci.

Odnowiona Polska budując swoją nową tożsamość na arenie międzynarodowej powinna wszakże liczyć się nie tylko z wyobrażeniami związanymi z Solidarnością, lecz także z narodowymi interesami, realiami oraz z polityką rządów poprzednich. Polityka zagraniczna, o czym należy pamiętać, jest sferą szczególną: ma ona pewną autonomię wobec polityki wewnętrznej, a ciągłość manifestuje się w niej o wiele wyraźniej. Nawet gdy do władzy dochodzi opozycja, występuje ona w imieniu tego samego państwa. Zmiany rządu i jego polityki są sprawą wewnętrzną każdego kraju, podczas gdy w sferze zagranicznej obowiązuje zasada ciągłości zobowiązań państwowych i zasada odpowiedzialności za działania rządów poprzednich. Tak jak Sowiety ponoszą prawną odpowiedzialność za politykę Stalina, a Niemcy za politykę Hitlera, tak i każdy rząd Polski odpowiada za działania poprzedników. Nadto zaś interesy narodowe zmieniają się znacznie wolniej niż polityka służąca ich realizacji, podobnie jak i położenie geopolityczne kraju. Los sprawił wprawdzie, że owo bezpośrednie otoczenie zmienia się w naszym wypadku zasadniczo, ale świat z jego fundamentalnymi problemami uległ znacznie mniejszym przeobrażeniom. Zmianie ulegają i nasze stosunki z innymi państwami, ale znowu dokonuje się to przecież w odniesieniu do związków poprzednio istniejących. Chcąc więc wypracować nową politykę zagraniczną, należałoby bez szkodliwego zacietrzewienia przeanalizować, co chcemy zmienić, a co jesteśmy zobowiązani zachować, lub co warto by kontynuować. Ustalić też powinniśmy, jakie są nasze interesy narodowe i jakie zmiany naszej sytuacji geopolitycznej najbardziej nam odpowiadają. Podobnie jak w grze w szachy, musimy też przewidywać możliwe działa-

nia naszych partnerów i nowe sytuacje, w jakich możemy się znaleźć, dokonując odpowiednich zabezpieczeń. Dotychczasowe dyskusje o minionym czterdziestolecu dotyczyły, niestety, głównie spraw wewnętrznych, nie zaś materii spraw zagranicznych, aczkolwiek i ta także powinna ulec zasadniczym przewartościowaniom.

Obok działań i koncepcji fałszywych, czy tylko zdezaktualizowanych, związanych z poprzednim podziałem na wrogie bloki i uzależnienie Polski od Sowietów, znajdziemy w poprzednich dekadach i elementy wartościowe. Np. w okresie rządów Gomułki i Gierka polska dyplomacja zdobyła sobie w świecie znaczne uznanie swoją aktywnością, niejakim dystansowaniem się od konfrontacyjnej i ekspansjonistycznej polityki sowieckiej, otwartością wobec Zachodu i „mediacyjnym” podejściem do polityki obu bloków. Dyplomacja polska przyczyniła się w pewnym stopniu do sukcesu konferencji w Helsinkach, bez której ruchy demokratyczne w Europie Środkowej nie mogłyby się rozwinąć, itd. Otwarta polityka kulturalna zrodziła z kolei ogromne zainteresowanie dla Polski i naszego języka u naszych wschodnich sąsiadów, co jest tym ważniejsze, że teraz nasi starzy przyjaciele dochodzą tam do władzy w ramach ruchów demokratycznych i frontów. W poprzednich dekadach zostały także zapoczątkowane kontakty z krajami Trzeciego Świata, aczkolwiek są one wciąż niewystarczające i były prowadzone źle, nadto uległ on wielkiemu zróżnicowaniu, a wiele krajów awansowało gospodarczo.

Należy też pamiętać, że my mamy tendencje do postrzegania Polski jako Feniksa odrodzonego z popiołów, podczas gdy nasi partnerzy zagraniczni z Zachodu analizują nasze obecne postępowanie w kontekście polityki poprzednich dekad. W wypadku Kremla porównania takie wypadają jednoznacznie pozytywnie dla Gorbaczowa, podczas gdy oceny polityki polskiej nie są już wcale tak klarowne. Wielu obserwatorów zagranicznych odnosi wręcz wrażenie, że obecna polityka Polski jest bardziej wiernopoddająca wobec Sowietów niż polityka Gierka w pierwszych latach po dojściu do władzy, że — oczywiście w kontekście historycznych realiów — jest dostosowana do realiów sprzed lat 15 czy 20, że nie dostrzegliśmy ogromnych przemian jakie się dokonały i ciągle myślimy według dawnych schematów, bojąc się zagrożeń, których już po prostu nie ma. Uznanie czynnika ciągłości w polityce zagranicznej nie oznacza przecież, że zmiany powinny być zawsze minimalizowane: one mają być po prostu adekwatne do realiów. Śmiem twierdzić, że nasze państwo zmieniło nazwę, a orzeł otrzymał koronę, ale jego polityka zagraniczna nie jest wciąż jeszcze polityką Polski na nowo niepodległej.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

Neapol, 1 sierpnia 1990 r.

Z ukosa

Rano budzi mnie wybuch nowej wojny, nadlatują myśli myśliwce, myśli bombowce. Wylatują szyby snu. Ale to nie tu, tu spokój i dobrobyt, który zjada w milczeniu własny ogon; to tam. I chociaż kraj ten daleko, widzę nasze zgnojone miasta, zgnojone krajobrazy, zgnojone myślenie, nasz zgnojony gnój, który już nie pachnie romantycznie w naszych zgnojonych wsiach. I nasza wolność, która nie potrafi dojść z samą sobą do ładu.

Rozpadło się imperium, topnieje na wschodzie lodowiec. Szczątki pomordowanych wyciągane są z odmętów ziemi w świetle reflektorów. Kiedyś, budząc się rano, czułem chłód od wschodu. Teraz jest tam wielka dziura ze znakiem zapytania, który z wielkim trudem utrzymuje pod sobą ołowianą kulę.

Wczoraj informacja, że gdzieś w ZSSR przez dwa dni trwały walki uliczne, są ranni. Powodem tej małej rewolucji był fakt, że nie otworzono na czas sklepu monopolowego. Słucham tych wiadomości jadąc autostradą obok wznoszonych właśnie podmiejskich centrów handlowych. Smutna architektura XXI wieku, budowana przez ludzi, którzy nie wierzą już w Boga, ani w diabła, wierzą za to w nadmiar towaru, który trzeba sprzedawać. Dla tych ludzi rozpadające się Imperium ze swoją wódczaną czkawką jest duchem nie z tego świata, i nie myślą się tak bardzo.

Irak, i uśmiechnięte czoło Saddama Husseina. Tak oto rodzi się nowa geografia problemów końca naszego wieku. Wzbierająca fala arabskiego radykalizmu nieprzyjemnie łaskocze naftowe podbrzusze Zachodu. I nasza niewiedza na temat tego świata. Nasze brutalne uproszczanie. Wedle tutejszych nauczycieli w tutejszych szkołach z niemal setki nacji z całego świata, najzdolniejsze, najmilsze są podobno dzieci Irakczyków. W wojnie

Iranu z Irakiem braliśmy stronę Iraku, bo zraził nas fanatyzm Chomeiniego. Co wiemy o irackich dzieciach? Teraz wzruszają nas tylko dzieci Europejczyków, wzięte z rodzicami jako zakładnicy. Co wiemy o młodych ludziach, których wbito tam w wojskowe mundury, którym jak wszędzie i zawsze, opowiada się te same kłamstwa? Nie inaczej indoktrynowano polskich żołnierzy, wysyłając ich do pacyfikacji budujących się kolejnych miesięcy naszej powojennej tragedii, października, czerwca, grudnia, listopada. Jak to możliwe, że nasi młodzi żołnierze i milicjanci strzelali do swoich rodziców i kolegów?

Andrzej mieszkał na czwartym piętrze, był młodszy od nas o dwa lata, dostawał więc nieustannie tęgie lanie. O tak, bez wątpienia padał wówczas ofiarą złego traktowania. Była w nim jakaś słabość, a dzieci jak koty nie powstrzymują się, by nie molestować tego, co małe i co się rusza. Któż by wtedy przypuszczał, że kiedyś będzie to mieć pewne znaczenie dla mieszkańców Gdańska?

Spotkałem go po dłuższej przerwie, gdy zapach świąt i Nowego Roku mieszał się z dymem spalonych na Wybrzeżu partyjnych komitetów. Andrzej był w mundurze, a jego twarz straciła młodzieńczy wyraz, była młoda, ale zużyta, jakby ktoś zrobił zastrzyk z piasku. Przywitał się z pewnym trudem, wydawał się złapany w pułapkę klatki schodowej i drewnianej poręczy, po której jeszcze nie tak dawno zjeżdżaliśmy okrakiem, albo na brzuchu, i na którą pluśmy z samej góry na dół, kto celniej. Teraz podając mi rękę przekraczał granicę, której twardość ja również poczułem. Coś się stało, że już należeliśmy do dwóch odmiennych światów. Kiedy zapytałem, gdzie służy, zawahał się i zawstydzził. Z trudem uzyskałem od niego informację, że był w Trójmieście. Dostał się jakiś czas temu do wojskowych oddziałów szkolnych do tłumienia rozruchów. Póki co wzywani byli do knajp, gdy dochodziło do bijatyk. W ten sposób stracił swój pierwszy przedni ząb, który spotkał się nieszczęśliwie z fruującym kuflem po piwie. Kiedy zaczęło się to, czego tak śmiertelnie bała się władza ludowa, gdy lud postanowił zjeść swoją władzę, żołnierze, szkoleni by tej władzy bronić, zostali zamknięci w koszarach. Odbyły się pośpieszne wykłady, gdzie polityczni wykładowcy opowiadali o wkroczeniu do Gdańska wojsk niemieckich i dywersantów przebranych w stoczniove uniformy. Nie wierzyli, słuchali przeciw Wolnej Europie z kieszonekowych radioodbiorników. Nie wierzyli w kłamstwa, ale uwierzyli w rzeczywistość, czyli w ostre naboje, w pistolety przełożonych, a przede wszystkim w nienawiść miasta do nich. Uwierzyli w pierwsze cegły i w tych szaleńców, którzy skakali z butelkami benzyny na grzbiety czołgów. Potem byli pierwsi zabici i krew. I nie było odwrotu. Broniąc komendy milicji i

więzienia, mogli przez chwilę, chyba przez czyjąś nieostrożność, obejrzyć sobie delegację robotników, która już nie wróciła do Stoczni, a to sprowokowało manifestację. Oni przynajmniej wiedzieli, czemu nie można było pozwolić tej delegacji wrócić. Nie pokazuje się ludzi tak pobitych, bo to robi złe wrażenie. Broniąc więzienia przed atakiem demonstrantów, nie mieli wątpliwości, że bronią własnego życia. Był dumny z tej obrony. W miarę jak opowiadał przestawał się wstydzić — „Jak szliśmy w nocy na patrol, ktoś spuścił mi na hełm doniczkę. Przejechałem serią po oknach. Nie wyobrażasz sobie jak wtedy ciurkiem sypie się szkło”. Potem tak samo strzelali do tłumu. „Do wszystkiego można się przyzwyczaić” — stwierdził cierpko. Zauważyłem, że mógł przez pomyłkę zabić swojego ojca, albo co gorzej matkę. Przyznał mi rację. Ale już więcej się nie wstydział. Było mu do brze, że to wszystko powiedział. Zrobiło mu się lepiej, bo nagle znalazł formułę — było jak musiało być.

Wkrótce spotkałem chłopca w jego wieku, który był po drugiej stronie zdarzeń, ale w Szczecinie. Widział jak w nocy, w smudze reflektora, grzebano potajemnie plastikowe worki z martwymi. „Ci, co to robili, wyglądali jak chłopci, którzy kradną ziemniaki”, powiedział. A na komendzie milicji był świadkiem, jak oficer zastrzelił jednego z zatrzymanych, który za bardzo się ruszał.

Chłopak, który mi to opowiadał, nie miał się czego wstydzić, on tylko się dziwił. Mam nadzieję, że przechował to uczucie do dzisiaj, mimo że po drodze zdarzyło się tyle rzeczy, które mogą zabić niejedno zdziwienie.

Filip bawił się ze mną i z Andrzejem na jednym podwórku. Zawsze był nieznośny, a dzisiaj wyrósł na jednego z największych warszawskich spryciarzy. I chyba rzecz można, że w Polsce nie wygrali komuniści, nie wygrała opozycja. To oni wygrali. Mali i duzi spryciarze. Nie tylko przetrwali, jakżeż oni pięknie pływają w naszym codziennym gnoju, i to wieloma stylami, a od czasu do czasu nurkują, by wyciągać z dna pieniądze.

Filip nie wie, czemu wylądował nagle w Nowej Hucie, w niefortunnym czasie, gdy to miasto stało się pomnikiem ironii historii. Wzniesione w latach 50-tych wokół hutniczych pieców, tuż obok inteligenckiego Krakowa, miało być robotniczym kneblem, co zamknie usta przeszłości, która nie rozumiała budowy nowego lepszego świata. Nowa Huta zakupiła sobie z centralnego planowania naszej zbiorowej świadomości, i oto w roku 82 proletariackie miasto stało się centrum oporu robotników wobec władzy, która nazywała siebie robotniczą. Walki toczyły się wokół wielkiego pomnika Lenina, który niedawno podzielił los pomników twórców komunizmu, czyli powędrował na śmietnik. To gdzieś tam tajniak zastrzelił chłopca, który go rozpoznał.

Lenin, podobnie jak warszawski Dzierżyński, nawet zastygły w kamieniu, zabijał i wsadzał do więzień.

Filip, jak przystało na naszego cwaniaka, czyli cwaniaka z domieszką szlachectwa, a nawet szlachetności, nie mógł się powstrzymać, by nie wziąć udziału w tym co właśnie działo się w mieście i zrobił to oczywiście po stronie walczących o sprawę wolności, tej wolności, która dla jego interesów mogła okazać się zgubna. Nie słyszałem, by ktoś równie barwnie i z tak gorzkim humorem opowiadał o torturach, które przeszedł na komendzie milicji.

Sam już nie wiem, czemu o tym piszę. Chyba by powiedzieć, że i w tej dziedzinie, w dziedzinie zbrodni, nie jesteśmy tacy niezwykli, jak nam się wydaje. A jednak od razu sobie zaprzeczę, bo zarazem jestem przekonany, że nie jesteśmy brutalni i okrutni, a jeśli się coś zdarza, to jak wypadek przy pracy. Cała nasza dawna i nowa historia ukazuje naszą cholerną łagodność i niechęć do zbrodni, okrutnie tylko wiele narzekamy i wygrażamy.

Polacy gromadzący się w kościołach miast Europy Zachodniej. I zawsze na chwilę utrata oddechu, gdy widzę ten tłum pod kościołem, tłum niestety wschodnio-małomiasteczkowy, na tle zachodniego świata.

Polskie wieczory. Sala jest zwykle pełna. Prelegent przybyły z kraju jak zwykle nieco chaotycznie, ale z kawaleryjską fantazją próbuje rozplątać polski węzeł. Potem zaczyna się czas pytań. Pytający nawet jeżeli zgadzają się z bohaterem spotkania, mają nieco inne zdanie. Nie w tym problem. Oni tylko udają, że zadają pytania, a w rzeczywistości wygłaszają przemówienia. Uodwadniają, że oni też powinni być bohaterami spotkania. „Ja się teraz pokażę, ja się pokażę” — gra im w duszy smyczek na skrzypkach. Wśród starszych są oczywiście żołnierze AK. Ci zwykle wpadną w ton patetyczny. Nie zabraknie starszych pań. Ton wypowiedzi dostosowany do wibracji, jakie wzbudza w naszych czułych sercach pojęcie „Matka Polka”. Znajdzie się oczywiście starzec o godnej przeszłości w nadzwyczajnie dobrej formie, który zabierze głos i nie pogodzi się z koniecznością ograniczenia w czasie swojej wypowiedzi. Młodzież zaczyna się burzyć. — „Przerwać mu, do nocy będzie gadał”, odezwią się gniewne głosy, zupełnie pozbawione szacunku dla zasług i wieku.

Ale tak starych jak i młodych łączy jedno — oni lepiej wiedzą, jaka jest sytuacja w kraju i co czynić należy w ojczyźnie, od tych którzy tam przebywają na stałe. Bo przecież przebywanie na stałe w miejscu tak chorym powoduje utratę wzroku. Przy okazji dostanie się krajowi, gdzie mieszka nasza emigracja. Tutejszy dobrobyt jest wynikiem dobrego położenia

geograficznego. Tubylcy są jednak ograniczeni, by nie powiedzieć zwyczajnie głupi. Mądrzy jesteśmy my, tylko że my mamy pecha.

Jeżeli uciekać się do metafor przestankowych, nieomal każdy uczestnik spotkania wydaje się być podkreślony. Niektórzy noszą, za lub przed sobą, wykrzykniki. Najgorzej z kropkami, a myślniki zdarzają się rzadko i zwykle już po chwili ustawiają się pionowo. W tym wszystkim tkwi jakiś poważny błąd ortograficzny, który ma swój korzeń.

Po takim obrazie, surowym jak świeże mięso, nic już właściwie nie można napisać, powinno się ze zwieszoną głową pojechać tutejszym głupio czystym i punktualnym metrem do domu. Ale nasza gramatyka jest jak wiadomo piekielnie pokręcona. I oto niemal ta sama publiczność potrafi wysłuchać recytacji poezji, wykładu filozoficznego i uderzy nagle serią ciekawych pytań. Dlatego ten polski pasztet zamyka usta krytyce jak i pochwałam.

A w Polsce jak się zdaje pogubili się wszyscy, bo nowa sytuacja poplątała nici ekonomiczne i polityczne. Pokraka komunizmu miała swoje nogi, ręce, a nawet organy przyjemności. Wszystko paralityczne i chore na świerzb, ale nie było wątpliwości, co jest gdzie. Teraz w trakcie gwałtownych przekształceń z tego monstrum zrobił się gwałtownie wibrujący kłębek. I nikt już nie jest pewien, co robić, aby było dobrze. Wszyscy mają wątpliwości, ale tylko nieliczni się do nich przyznają, bo w końcu zawód polityka to pewność siebie. X, znana dzisiaj osobistość, opowiada, że jeszcze nie tak dawno było kilku rabinów, do których można było pójść po radę. Zawsze wiedzieli i wyciągali z rękawa jakieś cudowne lekarstwo. Teraz już nikt się do nich nie zwraca, wiadomo, że oni też bezradni.

Od kiedy dane mi jest spotykać się z ludźmi, którzy podejmują decyzje, czasami węzłowe dla naszej polskiej szyi, przeraża mnie, jak bardzo ci, którzy te decyzje podejmują, są do mnie podobni. Przeraża mnie to, bo wiem jak bardzo jestem bezradny i słaby.

Ten problem w takiej czy innej postaci dotyczy również całego świata. Genialne odkrycia nauki obnażają nowe pojęcia naszej bezradności. Słodka naiwność tych, którzy są z dala od kulis ważnych decyzji — przekonanie, bez którego trudno żyć, że ci, w których rękach spoczywają losy świata, są mądrzy, wiedzą co robić i potrafią. Tę wiedzę i pewność mają tylko czas i prawa rozpadu.

Cóż to się porobiło w niektórych rejonach wschodniej Europy. Władzę objęli ludzie z literackiej kawiarni. Nie ma

sensu wyliczać nazwisk pisarzy, dziennikarzy, profesorów, którzy w Europie postkomunistycznej zajmują wysokie stanowiska. Państwo uczonych Platona staje się ciałem. I oto nagle otwiera się przepaść między teorią i praktyką, żywą inteligencją a oporem twardej materii, którą czasami trzeba podważyć nożem, bo językiem się nie da.

Pocieszam się, że najazd ludzi sztuki i nauki na szczyty władzy, chociaż nie przyniesie cudu gospodarczego, zostawi po sobie wiele ciekawych książek i wspomnień.

Zbigniew Bujak, legenda podziemia stanu wojennego, opowiada dzisiaj o spotkaniu z ubekiem, który go wyśledził. Piszę o tym z lekkim żalem, bo wierzę, chociaż coraz mi trudniej, że stan wojenny przy wszystkich swoich truciznach był dla społeczeństwa szkołą solidarności i stworzył kilkanaście symboli, które warto by ocalić. Jednym z tych symboli była wytrwałość Bujaka i bezradność policyjnego państwa. Mit o Janosiku ubrał swój szkielet w ciało. Siła takich symboli w tym, że odrywają się od swego podłoża i szybują przez wieki nad już zmienionym krajobrazem, ciesząc utrudzone oczy przyszłych pokoleń. Taki symbol da się jednak zestrzelić, ale tylko wtedy, gdy nie zdąży poszybować dostatecznie wysoko, by nic go już nie mogło ściągnąć na ziemię. I oto sam Bujak dokonuje tej egzekucji. Opowiada o spotkaniu na własne życzenie ze zdolnym funkcjonariuszem, który go upolował. „Dostał mnie do rozpracowania w końcu lutego 1986. Pracował dość krótko, szybko się ze mną rozprawił”. Dalej funkcjonariusz zwierzał się Bujakowi, że „podstawową trudnością w rozpracowaniu podziemia była jego hermetyczność, brak konfidentów w czołówce opozycji, tylko na jej obrzeżach”. To potwierdza nasze odczucia z tamtego czasu i jest niewątpliwie cenną informacją o naszym społeczeństwie. Przy licznych wadach, na konfidentów się nie nadajemy. Szczegóły rozpracowania Bujaka są banalne — nieostrożny telefon. To, że telefony nas wykończą jako konspirację, też było oczywiste. Dalej Bujak relacjonuje:

„Okazało się, że człowiek, który mnie rozpracował, jest tak jak ja elektrykiem, ale — jak stwierdził — miał zawsze duszę milicjanta. Była to rozmowa jak między dwoma świetnymi fachowcami: od ukrywania się i od poszukiwania. (...) Zapewniłem go, że go polecę naszemu ministrowi Spraw Wewnętrznych”.

Ta konfidencja oprawców i ofiar jest od biedy do przeknięcia dla tych, którym się udało. Ale iluż ludzi zostało przez stan wojenny pokaleczonych na zawsze. Oni nam nie wybaczą, nam, którzy w sumie po latach jakoś skorzystaliśmy na nie-szczęściu. Byli pewni, że biorą udział w fizycznej i moralnej wojnie, o tak, wtedy sprawa moralna została doprowadzona do

swoich ostatecznych granic. Dzisiaj przywódcy tej naszej wojny mówią im — dalsie się nabrać, to była tylko zabawa w chowanego.

Kto by kiedyś pomyślał, że Bujak będzie w roku 90 polecał ministrowi Spraw Wewnętrznych człowieka, który go upolował. Wtedy był rok 86. O sukcesie ogłosiły triumfalnie srodki masowego przekazu. Nagonką dowodzić miał osobiście generał Kiszczak. Dziwiłem się, że nie pokazano potem zdjęcia generała dzierżącego w rękę zęb Bujaka. Ten dzień był dniem pierwszego meczu mistrzostw świata w piłce nożnej i owa wiadomość zepsuła milionom kibiców smak tego wydarzenia. Bo trudno było mieć już wątpliwości, że „Solidarność” dogorywa. Dzisiaj list pochwalny Bujaka gwarantuje, że zdolny funkcjonariusz przejdzie weryfikację w MSW, bo wiadomo, że nowy minister MSW to nasz człowiek.

Ja pewnie zachowałbym się podobnie jak Bujak, a potem byłbym wściekły na swoją słabość. Ale ja nie jestem politykiem, co zresztą uważam za zaletę. Boję się, że mimo lat uprawiania polityki Bujak nie stał się politykiem, co jednak w jego sytuacji jest tak zaletą jak i wadą. I trochę mi szkoda symbolu. Został rozpruty, a z jego brzucha wylał jeszcze jeden paradoks.

Nasi intelektualiści i Wałęsa, z którym mieli romans. Nie śmiem porównywać tego romansu do przygody, jaka się zdarzyła naszej elicie w czasach stalinowskich. Wtedy miał miejsce romans z diabłem. O tak, było niesłychane ciśnienie gwałconej historii, a pod nogami ziemia spuchnięta od grobów i świat roztrzaskany przez wojnę. I to brutalne prawo psychologiczne, że człowiek, jeżeli nie może się czemuś przeciwstawić, ma skłonność uwierzyć, że co jest, jest nieuniknione. A jednak zawsze będzie tajemnicą, jak łatwo, powszechnie i głęboko zapadano na chorobę stalinizmu. Jak lekko przewody naukowe i delikatne artystyczne gardła polykały zbrodnię i bzdurę. O ileż łatwiej zrozumieć uwielbienie dla Wałęsy. Największe jego głupstwa były przez tłum doktorów i profesorów przerabiane na złoto. Teraz ten sam chór wyszydza chama, który sięga tak brutalnie po władzę, a ich, elitę, ośmiela się nazywać jajogłowymi. Szczególnie kpi się ze sposobu wystawiania się przewodniczącemu. Ja nie zauważyłem, by kiedykolwiek mówił inaczej. Wałęsa jest jaki był. Nawet nie utył w ciągu ostatnich trzech lat. Będą go nienawidzić tym bardziej, im bardziej dali się nabrać, im bardziej udawali, że nie słyszą okrzyku dziecka — przecież król jest nagi. Król jest nagi, to prawda, ale ma niezwykłą polityczną intuicję i wiele racji w swoich proletariackich gniewach, a jego ludowy nos wyczuwa zapachy niedostępne dla perfumowanych inteligenckich nosów.

Pamiętam niegdyś historyczną niechęć środowisk opozycyjnych do Tadeusza Mazowieckiego. I ten dzień w roku 80, kiedy wkładano żałobę bo przyszła wieść, że to Mazowiecki zostanie szefem *Tygodnika Solidarność*. Ta niechęć była pogłosem konfliktów z ekspertami, do których należał dzisiejszy premier, którzy historyzowali u boku sierpniowych komitetów strajkowych — „cicho, sza, na palcach, nie tak daleko, bo obudzicie sowieckie czołgi”. Stan wojenny potwierdził z pewnym poślizgiem ich lęki, a dzień dzisiejszy znowu im zaprzecza. Potem młodzi bojowcy opozycji kpili z Mazowieckiego — „mięczak intelektualista, człowiek, który nie potrafi podjąć decyzji i boi się własnego cienia”. Będąc na jakimś przyjęciu, za oknami pieniał się rok 80, rzuciłem uwagę, że Mazowiecki to zdolny człowiek — zdolny do wszystkiego — odparło kilka głosów. Poczuliem się zupełnie nagi w swojej naiwności. Teraz ci sami ludzie załamali się na wiadomość o jego nominacji przez Wałęsę, potem zmienili zdanie, co będzie jutro? Ludzie się zmieniają, zmienia się sytuacja, nawet rzeki zmieniają swoje brzegi, ale wiele tu jednak labilności w poglądach i nie mniej stadnych zachowań. Sam padam i padałem tego ofiarą, więc uderzam się we własne inteligenckie piersi. Biję tam serce, które aż przez miesiąc roku 1980 kochało genialnego robotnika, szczerą socrealistyczną miłością. I wiem, o ile z takim sercem jest żyć przyjemniej.

Problem z partiami. Niechęć do słowa partia. Nowe twory aspirujące do aktywności politycznej liczą co najwyżej po tysiąc, dwa tysiące członków i nazywają się struktura, ruch, porozumienie, asocjacja, ale nie partia, bo nadal nie odklejono tego słowa od zwłok PZPR.

Mamy więc Centrum, Road, Chłopów. Nie mamy programów politycznych, wizji przyszłości, mamy za to zrujnowaną gospodarkę i społeczeństwo, gdzie erozja moralna pogłębia się, a depresja wybrzusza swoje dno. Programy polityczne zaczną się teraz budować, bo są one niezbędne, by zracjonalizować osobiste niechęci i ambicje, które doprowadziły do podziałów. Te niechęci są mimo wszystko na bazie różnic charakterów. A jako, że w końcu przynależność człowieka do jakiejś doktryny czy poglądu, jeżeli nie wypływa z konformizmu, kończy się lub zaczyna na chemii psychicznej, to nie należy uznawać tej sytuacji za tak nienormalną, jak to się może wydawać tym, którzy spoglądają z zazdrością na zachodnie demokratyczne instytucje.

Wprowadzenie religii do szkół. Nie wiem czemu tak to mnie zmartwiło, przecież zdarzają się większe nieszczęścia. I całym wiele ważą racje „za” — że większość chce (zapewne, bo tego nie raczono sprawdzić), że nie ma przymusu. No i te racje

spoza kurtyny, że to przecież kompromis, bo biskupi chcieli stopni z religii na świadectwach, a nawet stopnia na maturze. Właściwie czemu nie, skoro od tego zależy zbawienie?

Problem w tym, że tolerancyjne ramy instrukcji dotyczące nauczania religii katolickiej w szkołach, w obecnym stanie rzeczy w Polsce, są ramami wybitego okna.

„W klasach, w których większość dzieci uczestniczy w lekcjach religii, może wisieć krzyż. Można także wprowadzić modlitwę przed i po zajęciach szkolnych”. Instrukcja przypomina jednak, że „należy zwrócić uwagę na odczucia dzieci innych wyznań, a jeśli modlitwa miałaby się stać przyczyną konfliktu, należy raczej z niej zrezygnować”. Zarówno tych, co uczęszczają na lekcje religii jak i tych, którzy korzystają z błogosławieństwa tolerancyjnych ram ustawy „nie może spotkać z tego powodu jakakolwiek przykrość ze strony pracowników szkół” mówi instrukcja.

Już widzę, jak wilgotny nos naszego szkolnictwa skierowany pod wiatr historii czuwa nad tolerancją, wychwytyjąc bezbłędnie wszystkie brzydkie zapachy. Nasza szkoła w ciągu ostatnich lat dorobiła się dużych „tradycji” w tej dziedzinie. Wesprze ją w tym nasze społeczeństwo, które wedle badań w 80% czuje się dzisiaj zagrożone. Związek między poczuciem zagrożenia i nietolerancją jest równie oczywisty, chociaż czasami równie skomplikowany, jak między matką i dzieckiem.

Wkrótce czeka nas zakaz przerywania ciąży. Można również liczyć na zakaz stosowania środków antykoncepcyjnych, co nie będzie groźne bo wprowadzi się zakaz współżycia pozamałżeńskiego, a małżeńskie ograniczy się do celów świadomej prokreacji. Czekają nas w dziedzinie obyczajowej wiele atrakcji, a przecież jest w innych dziedzinach też ich nie zabraknie. A wszystko to będzie demokratyczne, bo nadane wolą większości. Tak oto po terrorze mniejszości poznamy, no może nie terror, ale terrorek większości. Znając jednak przekorną naturę Polaków, daję głowę, że szkolne nauczanie religii przyspieszy proces laicyzacji naszego społeczeństwa, a ewentualny zakaz przerywania ciąży gwałtownie zwiększy ilość zabiegów.

Rosjanie, których tu spotykam. Tak podobni, tak inni od nas. I z reguły jakby cofnięci w czasie o 20, 30 lat. Lecz nawet tam gdzie są inni, czy nawet obcy, tak łatwo się mieszczą w dłoni naszego rozumienia. Ich kobiety jakże często noszą światło, które gęstnieje w pobliżu oczu. I prawie wszyscy są jakby zmiękczeni przez swój język. Rozmawiam z S. Była w Moskwie pierwszy raz po 20 latach emigracji. „Nie zmieniło się tam nic, jakby czas popłynął gdzieś bokiem. I tylko drzewa były zaskoczeniem, bo drzewa nie rosną w pamięci”.

— Do tego już doszło, że marzy mi się domek na wsi — zwierza się mój znajomy, który zawsze chciał żyć w samym środku naszego politycznego wiru.

Ale nasza wieś już nie gwarantuje sielskości ani bezpieczeństwa. Gdy jakiś czas temu chłopci blokowali drogi, miejscy kierowcy stali w kilometrowych kolejkach zdani na łaskę i niełaskę chłopca. A przy okazji byli przez wieś uświadamiani. Chłopi uważają, że większy gwałt na ich uszach czynią środki masowego przekazu, które są w rękach miejskich Panów. „Chłopa bił Kozak, biła przedwojenna władza, bił komunista, a teraz wygrzmoci go demokracja” — krzyczy nasza wieś. A problem jest prosty jak trzonek kosy. Mamy w Polsce 36% ludności pracującej w rolnictwie, a powinno być nie więcej niż 6%. A więc setki tysięcy nierentownych gospodarstw musi umrzeć. Wiele ginie naturalnie. Młodzi nie chcą już, by pług orał im twarz. Ale liczne gospodarstwa, nawet te karłowate, mimo wszystko chcą żyć. Doprawdy, trudno wymagać od tyłu organizmów, by bez walki pozwoliły zacisnąć sobie na szyi śmiertelną pętlę. Nawet zarzynana świnia wydaje z siebie głos, który długo stoi potem w delikatnych miejskich uszach. Martwe świnie są nam niezbędne, podobnie jak przemiany na wsi. Zobaczymy co z tego wyniknie, bo chłopci w przeciwieństwie do świń potrafią się bronić. Mam słabość do naszych chłopów. Cóż to za skomplikowany organizm zbiorowy, jeden gumiak utkwiał mu w wieku XIX, drugim pograża się w naszym czasie. Nasz chłop ma coś z krowy, konia, lisa i zająca, coś ze szlachcica i z niewolnika. Nie myje się, ale mówi wierszem. Nie wie co się dzieje w sąsiedniej gminie, ale posiada wyrobiony sąd na temat Iraku i wojny w Liberii. Potrafi sam postawić dom, a w nim zbuduje łazienkę z bieżącą wodą i z wanną, gdzie będzie trzymał narzędzia. Gdyby nasi chłopci dostali komputery, nauczyliby się nie tylko je obsługiwać, ale i naprawiać. Nasz chłop jednak jest dzisiaj chory, bo chora jest nasza wieś. Wyrwano jej korzeń, gnije wiejska kultura i obyczajowość, a w puste miejsce wlewa się rzeka wódki. Nasza wieś płynie po wezbranej wódczanej rzece jak porwana gwałtownym prądem tratwa, wygraża ręką światu i krzyczy — chłop potęgą jest i basta.

Jeżeli chłopom uda się nie pokłócić, co mało prawdopodobne, stworzyć mogą, jako jedyna grupa społeczna, partię polityczną z prawdziwego zdarzenia, mocną bo skupioną wokół konkretnych interesów. Wybraliby też bez trudu swojego Prezydenta, gdyby znaleźli jakiegoś wałęsachłopa. Wszelkie reformy wtedy szlag trafi. I biada wówczas miastu, a i krajowi biada. Czyli chłopów trzeba będzie dzielić dla dobra ojczyzny nie inaczej, jak oni sami dzielą krowę i prosiaka. Cóż za obrzydliwe zajęcie — polityka.

Rocznica „Sierpnia”. Obchodzona uroczyście z nakazu tych, którzy są przy władzy i którzy Sierpień urodzili. Widać już pierwsze znaki, jak się robi z tego akademii ku czci... Są już pierwsze mity i mitki. Jako że znam fakty z tego czasu od podszewki, bawi mnie ta cała czcza gadanina, bo wiem, że już teraz prawda na ten temat nie jest ważna, a przede wszystkim nie jest potrzebna. „Sierpień” już szybuje wysoko i tylko wiatry historii mają wpływ na jego lot. Prawda i kłamstwo, te pojęcia zostały wtedy doprowadzone do swoich ostatecznych granic i stały niepewnie na ostrzu noża, drżąc nad przepaścią. I nagle waga słów, które wydawało się, że już nic nie znaczą, a jednak cała południowa krawędź Imperium wybrzuszyła się pod ich ciężarem. Dzisiaj rocznicę Sierpnia obchodzi się obowiązkowo jak kiedyś 1 maja i rocznicę bitwy pod Lenino. I wszędzie kręcą się i gadają palanty martyrologiczne, palanty patriotyczne, palanty patetyczne, babiuchy solidarnościowe, ciotki podziemia, wujowie konspiracji. Tak oto jesteśmy świadkami nowego cudu. Ma miejsce cudowne rozmnożenie działaczy podziemia i ofiar wojennego stanu. Są również cudowne połączenia cudów, bo oto w jednym miesiącu sierpniu „Cud Solidarności” splótł się ramionami z „Cudem nad Wisłą”. Weteranów pierwszego cudu jest bez liku, o wiele gorzej z weteranami cudu roku 20, a poszukiwania ich rzadko kończą się sukcesem, bo czas nie uznaje cudów. O wiele łatwiej o wdowy po żołnierzach warszawskiej bitwy. I oto znaleziono całkiem sporo wdów w zdumiewająco dobrym stanie. Teraz tylko problem, jak je zagospodarować?

A co się dzieje z panią Anią, ze słynną suwnicową, której wyrzucenie ze stoczni uruchomiło lawinę? Pani Ania znowu na swojej słynnej suwnicy, w tej samej stoczni, gdzie jednak już imię Piłsudskiego wyrzuciło Lenina. Jako że Szwajcarzy zamierzają budować przy bramie nr 2 muzeum „Solidarności”, pani Ania byłaby niewątpliwie najbardziej atrakcyjnym eksponatem w tym muzeum. Ale pani Ania jest dzisiaj do oglądania na żywo w samej Stoczni, prawdziwy eksponat z czasów sprzed narodzin ruchu, jak wtedy zawieszona pod sufitem fabrycznej hali, jeździ swoją suwnicą. Jej emerytura jest głodowa, więc chce sobie dorobić. Tak Wałęsę, Mazowieckiego jak i Kuronia ma za zdrajców świętej sprawy. A dawnego wroga zastąpiła „Solidarność” stoczni. Młodzi robotnicy, twórcy strajków roku 88, które przywróciły życie „Solidarności”, serdecznie nie znoszą nieznośnej suwnicowej, a więc matki. Jak dzisiaj pamiętam odwiedziny w mieszkanku pani Ani, otwartym dla wszystkich. Stał wtedy za oknem rok 80, jak wysoki maszt z białoczerwoną flagą szarpaną dumnie przez wiatr historii. I wszystko było niemal tak samo jak dzisiaj, nawet ton konfliktów i gwar kłótni, a jed-

nak było zupełnie inaczej, jak różni się ból dzieciństwa od bólu starości.

Odrywanie się od życia. Tak już jest, że politycy działający tam gdzie demokracja nie robi codziennie dożylnego zastrzyku z realizmu, odrywają się. Spotykam nieustannie swoich znajomych mieniących się już dzisiaj wszystkimi rangami władzy, i już niemal wszyscy mniej lub bardziej oderwani unoszą się nad wodami naszej rzeczywistości. Grono jest liczne, bo każdego niemal dnia jakiś znajomy zostaje kimś mniej lub bardziej ważnym. Gdy skończył się mój notes z ostatnich lat, zaczęli ku władzy wyfruwac znajomi z notesów dawnych, o których zapomniałem jak o starych podmiejskich cmentarzach. I teraz świadkuję powszechnemu zmartwychwstaniu. Odrywanie się od rzeczywistości, na skutek nowego punktu siedzenia, zmęczenia i obfitego pokarmu dla złudzeń.

Co premier Mazowiecki dzisiaj wie o warszawskiej ulicy, o suchym ze zmęczenia nosie tej ulicy, odciskach i hemoroidach? On zresztą sam ledwie żywy.

Ale od rzeczywistości oderwali się również ci, którzy są na dole. Stąd polowania na czarownice i liczne egzorcyzmy. Hasło pełnej wymiany starej nomenklatury, to hasło samobójcze. Oni są zbyt liczni, a my, chociaż czyści, to jednak amatorzy. Należałem również do tych, którzy byli przekonani, że w Polsce jest obfitość ludzkiego dobra, że mamy rzesze wybitnych specjalistów ze wszystkich dziedzin, którym komunizm związał ręce. Ale kiedy opadną pęta... Jak bardzo byłem w błędzie. Gdy opadły... okazało się, że ręce są niesprawne. Mamy dzisiaj rzeszę kalek, tam gdzie mieli być fachowcy.

Skoro od życia oderwane są tak władza jak i naród, skoro unosimy się ponad czymś, co jakże nieprecyzyjnie nazywa się życiem, to ciekawe, czym wypełni się ta wolna przestrzeń?

Polowanie w Polsce na lewicę. Już nikt nie wie, co to za zwierzę, więc strzela się na lewo i na prawo. Aby kogoś załatwić na amen, obnaża mu się lewicę, jak weneryczną chorobę. Powszechne przekonanie, że tego nie da się nabyć bez paskudzenia się na lewo. Oskarżeni wiją się jak piskorze, wołają my zdrowi, taka choroba w ogóle nie istnieje. A na chwilę puszczeni odgryzają się, polując na odchylenie narodowe, antysemityzm i tak zwany populizm. O, to słowo robi wielką karierę. „My nie populiści, my pluraliści”, wołają schwytni. Nikt nie wydaje się tym, za kogo uważają go inni. Szkoda, że brakuje w tym zawirowaniu czasu, by się samych siebie spytać, kim właściwie jesteśmy?

Czytam gazety z Polski i czuję, jak coś mi się zaciska na gardle. Tyłu tam znajomych, jeszcze wczoraj pocziwych, a dzi-

siaj wszyscy zdają się cierpieć na szczękościsk. A więc to ich szczęka mi się zaciska. Są nabrzmiali od wzajemnych pretensji i rozognieni jak rana, do której ktoś dosypuje soli.

Zbieram od przyjezdnych okruszki polskich lęków, jak opilki na polach magnetycznych układają się w surrealistyczne kształty. Dzisiaj Polacy boją się Niemców, Żydów, Ukraińców, Wałęsy i braku Wałęsy, Dworca Centralnego, taksówkarzy, wody z kranu, powietrza, emerytury, jesieni, zarażenia Aids przez powietrze, wychodzenia o zmroku z domu, zostawiania po zmroku w domu, czy starczy do końca miesiąca, że sąsiad zrobi nagle dobry interes, że własny interes się nie uda, że będzie wymiana pieniędzy, że wszystko szlag trafi, że coś się zmieni i że już zawsze będzie jak jest.

Znowu zaczęły się w Polsce procesy gnilne. W ostatnim roku był rozpad, zawirowania, wiele kurzu, i nawet fruwały strzępki brudnego papieru toaletowego, ale nie czuło się gnicia. Teraz jakby ponownie sytuacja zwilgotniała. Świeżo przyjezdni z kraju mają na ubraniu ten charakterystyczny zapach.

SMECZ

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Kiel Barabasza

I

W *Storia della città di Roma nel Medio Evo* Gregorovius poświęca osobny rozdział „kultowi relikwii” w IX stuleciu. Odczuwa się naraz drżenie spokojnego z natury, rzeczowego i beznamietnego pióra historyka. Jakiż dziwny, szalony wiek! Jakaż ogarnęła go gorączka! Czyż bowiem nie było gorączką, wysoką gorączką w nagłym ataku choroby, to poszukiwanie i pragnienie zawładnięcia wszystkim, co zasługiwało na nazwę świętej relikwii? Mówi się w naszej epoce o „gorączce złota”; mówiąc tak, ma się przed oczami nieprzytomne twarze poszukiwaczy, zbrodnie popelniane w walce o złotodajne odkrywki. W IX wieku wyobraźnia podsuwała historykowi podobne twarze i podobne zbrodnie wśród polujących na relikwie. Do Rzymu — bo Rzym był największą podówczas relikwiodajną odkrywką — wędrowali z całego świata pobożni i mniej pobożni pątnicy, aby pożądanymi rękami rozgrzebywać ziemię kryjącą skarby. Za skarb najdrogocenniejszy uchodzili *całe* zwłoki któregoś ze Świętych; na taki skarb stać było tylko bogatych, świeckich lub eklezjastycznych, nabywców. Reszta poszukiwaczy musiała się zadowolić szkieletami, czaszkami, piszczelami, odłamkami kości. „Pątnicy — pisze Gregorovius — nie chcieli opuścić świętego miasta bez jakiejś świętej pamiątki. Kupowali relikwie z katakumb, jak dzisiejsi podróżni kupują biżuterię, obrazy, marmurowe figury”. Wreszcie wypada nawiasem zauważyć, że kult relikwii w IX stuleciu pociągnął za sobą dodatkowo falę pielgrzymek masowych. Pielgrzymowały tłumy, przede wszystkim do Rzymu, miasta Męczenników i Apostołów, w najgłębszym przekonaniu, że prócz świętych relikwii tam znajdują się również

święte klucze, które pozwolą uchylić bramę Raju.

O Rzymianach powiada Gregorovius, że jak zawsze umieli dzięki wrodzonemu zmysłowi praktycznemu wyciągnąć korzyści z namiętności świata, wciąż podsycając rozwinięty szybko handel świętymi zwłokami, relikwiami, wizerunkami Świętych. Nie obywało się, rzecz jasna, bez oszustw, sprzedaży falsyfikatów, mydlenia naiwnych oczu przybyszów. Celowali w tym procederze w roli „poręczycieli” księży, opanowani „rosnącą chciwością i zachłannością”. Dozorcy cmentarni czuwali po nocach, „jakby chodziło o powstrzymanie hien zaczajonych w ciemnościach”. Gdy papieże godzili się na wywóz autentycznych zwłok Świętych, organizowano przepyszne orszaki, śpiewano po drodze inwokacje do zmarłych Świętych by cudami potwierdzili swą świętość, w docelowych miastach francuskich, niemieckich czy angielskich witano utrudzone orszaki jak ingres triumfatorów. Trudno uwierzyć: gorączka podskoczyła tak wysoko, że z więzień wypuszczano zbrodniarzy, zaopatrywano ich w atestaty czasowego zwolnienia oraz kierowano do Rzymu, owego *refugium peccatorum*, by próbowali odkupić swe grzechy i zasłużyć na złagodzenie kary jako szczęśliwi znalazcy relikwii w Wiecznym Mieście.

W roku 828 kupcy weneccy, pokonawszy wiele przeszkód i obronną ręką wyszedłszy z licznych niebezpieczeństw, przywieźli z Aleksandrii do rodzinnego miasta zwłoki Apostoła Marka, niebawem patrona Wenecji. W roku 840 dotarły w cudowny zaiste sposób do Benevento zwłoki innego Apostoła, Świętego Bartłomieja: oto w marmurowej urnie dopłynęły na falach oceanów i mór z Indii na wyspę eolską Lipari; tegoż roku wyspa została złupiona przez Saracenów, a kości Świętego wyrzucone z grobu; liparyjski pustelnik zebrał je nabożnie i zawiózł do Benevento, gdzie miejscowy książę longobardzki Sicardo „uhonorował nimi w splendorze i w glorii Katedrę ku nieopisanemu radości mieszkańców”.

II

W Benevento wypada zatrzymać się dłużej, za przewodnika mając nadal Gregoroviusa. „Pragnienie posiadania kości Świętych nie wywołało nigdzie większej gorączki, niż na dworze ostatnich książąt longobardzkich we Włoszech. Jak w wieku XV i XVI papieże i książęta ścigali się na tropach drogocennych starożytności i manuskryptów, tak Sicardo słał swoich agentów, by na lądzie, na wyspach i nad morzem zdobywali dlań kości, czaszki, szkielety i inne relikwie święte, które gromadził w skarbcu Katedry w Benevento. Zamienił ową świątynię w muzeum świę-

tych wykopalisk, i wolno ufać że jego wysłannicy okazywali należytą gorliwość. Wykorzystywał swoje wojny dla wydzierania przeciwnikom zwłok Świętych, na podobieństwo trybutów pieniężnych wypłacanych dawniej zwyciężskim królom przez pokonanych władców. Zmusił Amalfitańczyków do wydania mu mumii Świętej Trifonemy, jak jego ojciec Sicone, takim samym ożywiony fanatyzmem, zażądał od Neapolitańczyków zwłok Świętego Januarego”.

Czego Gregorovius nie mówi, zgorszony jakby i być może trochę zdruzony ową gorączką stulecia, to że książę Sicardo sięgnął w swoich poszukiwaniach daleko poza granice Włoch. Przyciągała go szczególnie jako teren łowiecki Ziemia Święta, toteż stworzył osobną ekipę działającą wyłącznie na tym szlaku. Nie będziemy się tu wdawać w rozważania, czy go rozmyślnie albo bezwiednie zwodzono, starając się uczynić zadość marzeniom (bądź zachciankom) hojnego pana. Kto zresztą wie, na jakie próby wystawiana była wtedy łatwowierność. I co w ogóle było łatwowiernością, a co ukrywanym dobrze niedowierzaniem, w czasach tak bliskiego sąsiedztwa cudownego i rajskiego z politycznym i ziemskim. Faktem jest, że wysłannicy longobardzkiego księcia nie wracali z Ziemi Świętej do Benevento z pustymi rękami, a Sicardo nie miał powodu skarżyć się na ich opieszałość i nieudolność. Przeciwnie — kiedy rozkładali przed nim, kłęcząc w należytym pokorze i w należytym religijnym uniesieniu, przywiezione relikwie święte, nie skąpił złota za owoc ich trudu i za sam ich trud w dalekim kraju. Kroniki odnotowały co przywieźli w jednym tylko roku 844: rękaw szaty Najświętszej Marii Panny, kask żołnierza rzymskiego który przybił Pana do Krzyża, odłamek głazu którym zasłonięty był Grób Pański, dużą drzazgę z Krzyża, sandał Poncjusza Piłata i kieł Barabasza. Ten kieł budził największy podziw w skarbcu katedralnym. „Pożółkły, ale nie spróchniały — pisze o nim średnio-wieczny kronikarz, — ostrością swoją i rozmiarami zadziwiał patrzących. Gdyż Barabasz, którego często odsuwa się na dalszy plan w świętej historii, był ważną postacią w misterium Ukrzyżowania”. Tegoż co kronikarz zdania był książę Sicardo, który kieł Barabasza umieścił w skarbcu na poczesnym miejscu jak spowity blaskiem klejnot niezwyklej wartości.

III

I tegoż zdania jestem ja, autor niniejszej narracji. Istnieją zapewne dziesiątki opowieści, legend, utworów poetyckich, roz-

praw teologicznych i studiów psychologicznych o Barabaszu. Że musiał porażać wyobraźnię i rzucać wyzwanie zmysłowi dociekliwości, nie wątpi chyba żaden czytelnik Ewangelii. A przecież krył się w tej fascynacji zawsze element, o którym napomyka średniowieczny kronikarz: drugorzędności, przypadkowości, nieokreśloności. Choć przykuwający na krótko uwagę, Barabasz był wypchniętym na scenę statystą, a nie jednym z głównych aktorów świętego dramatu. Powiada o nim współczesny historyk chrześcijaństwa: „Znikąd przychodzi i zdąża w nieznane. Zjawia się niespodzianie, przechodzi zaledwie dostrzeżony i ginie... Wchodzi do historii na jedną tylko chwilę, aby być uwolnionym zamiast Niego. Nie ma nawet imienia. Bar Abba znaczy po aramejsku Syn Ojca, a któż nie jest Synem Ojca? Zastona jak przesłaniała przeszłość, tak przesłoniła też i przyszłość Barabasza. Złoczyńców w więzieniach jerozolimskich było wielu, milczą o nich kroniki, słowem nie odzywają się dziejopisowie”.

Zanim opowiem dlaczego Barabasz jest dla mnie ważną postacią w Ewangelii, aktorem *w masce* statysty, jak był nią przez jakiś czas w Średniowieczu (przynajmniej w Benevento za panowania księcia Sicardo), zatrzymam się dla przykładu na dwóch literackich domysłach na jego temat.

IV

Giovanni Papini, autor *Świadców Męki Pańskiej*, stworzył postać Barabasza samotnego, przez bliźnich wzgardzonego i wypędzanego, odrąbanego przez Boży świat, jakby był błakającym się bez celu upiorem i naszą ziemię żywych przemierzał stopami uciekiniera z krainy umarłych. Jest intruzem zarówno dla kapłanów jak dla chrześcijan. Kafasz każe służbie wyrzucić go z domu. Piotr okazuje mu trochę serca, nie odmawia mu przebaczenia, lecz nazwawszy go „nieszczęsnym zbrodniarzem skazanym na życie”, wzywa go by nigdy nie pokazywał się na oczy wyznawcom Chrystusa. W Betanii, na zboczu Góry Oliwnej, Barabasz spotyka wskrzeszonego cudownie Łazarza, który zdradza mu wielki sekret: nie zawsze życie jest lepsze od śmierci. Zrozpaczony, nie znajdując nigdzie dla siebie miejsca, czepia się kurczowo jednej myśli: zabić Piłata, winnego jego męki. Schwytany przez strażę Prokuratora Judei, ginie z jego wyroku na krzyżu w tym samym dokładnie miejscu, gdzie czterdzieści dni wcześniej wydał ostatnie tchnienie prorok zwany Królem Żydowskim. Zaprawdę, nie długo Syna Bożego i Człowieczego przeżył „uwolniony zamiast Niego” więzień ciemnic jerozolimskich.

Rzecz Papiniego powstała w roku 1938, wolno więc zadać sobie pytanie, czy pisarz florentyński, chwalony często za oryginalność i żywość swego umysłu, nie wpadł *ante litteram* na ślad egzystencjalnej alienacji. Takiego bowiem odmalowuje Barabasz: wygnanego i wyobcowanego ze świata. Religijnym zaś będąc pisarzem, i to nader żarliwym, zamierzał może w osobie Barabasza pokazać los człowieka do żadnej nie przynależnego wiary. Człowieka samotnego i przekłętogo. Barabasz prawdziwy, o którym opowiem później, wróciwszy w mojej narracji do Benevento, uśmiechnąłby się i w złym, zjadliwym uśmiechu odślonił swój kiel, widząc się tak sportretowanym w *Świadcach Męki Pańskiej*.

Motywym przewodnim powieści Pär Lagerkvista *Barabasz* jest dojrzewanie złoczyńcy uwolnionego zamiast Chrystusa. Dojrzewanie to powolne, trwa przeszło trzydzieści lat i odbywa się kolejno w Jerozolimie, na Cyprze, w Rzymie. Podobnie jak Papini, Lagerkvist zaczyna od Barabasza wyobcowanego ze świata, odpychanego, zagubionego, odurzonego „wyrokiem skazującym na życie”. Nowością pisarza szwedzkiego jest z każdym dniem intensywniejsze, z każdym rokiem bardziej pochłaniające całą istotę Barabasza, niemal obsesyjne, myślenie o Ukrzyżowanym. Wiedząc od pierwszej chwili że Chrystus umarł „zamiast niego”, Barabasz zbliża się stopniowo do zrozumienia że umarł i „za niego”. O krok tu od wejścia na drogę nawrócenia. „Uczniowie Jezusa opowiadali, że umarł za nich. Możliwe. Temu jednak, że umarł naprawdę za niego, za Barabasza, nikt nie mógł zaprzeczyć”. Skoro to on, Barabasz, powinien był umrzeć na krzyżu, to Ukrzyżowany wziął na siebie jego cierpienie. A jeśli chciał cierpieć za niego i za innych, jeśli spragniony był cierpienia jak zbłąkany na pustyni wędrowiec pragnie wody, to cóż pozostaje Barabaszowi i wyznawcom Ukrzyżowanego? Czcic Jego cierpienie własnym cierpieniem, iść przez świat najeżony ostrymi kamieniami i kolcami, ból pokonywać czymś co uczniowie Chrystusa nazywają nieznanym Barabaszowi słowem „wiara”.

Stary już lecz krzepki, dociera do Rzymu jako sługa w domu rzymskiego patrycjusza. Tam szuka wciąż chrześcijan, chociaż jednak wydawało mu się niekiedy że rozpoznaje ich natychmiast po twarzach, szuka nadaremnie.

19 lipca 64 roku szedł ulicą, gdy z okiem domów buchnęły płomienie. Rzym płonął z rozkazu Nerona. Dla Barabasza pożar stolicy Imperium był znakiem, że Ukrzyżowany wrócił na ziemię. Rzucił do domów płonące żagwie, aby temu drugiemu przyjsciu dopomóc. Rzym płonął sześć dni i siedem nocy. Neron kazał oskarżyć chrześcijan o jego podpalenie. Wtrąceni do więzienia Mamertyńskiego, czekali na egzekucję czyli na

ukrzyżowanie. Należał również do nich Barabasza, schwytyany na gorącym uczynku. „Kiedy poczuł na krzyżu, że zbliża się śmierć, której się zawsze tak straszliwie lękał, powiedział w ciemność, jakby do niej to mówił: Tobie oddaję ducha mego. I skończył”. Powtórzył słowa, które usłyszał przed trzydziestu laty, gdy z ukrycia na szczycie Golgoty wpatrywał się w twarz Ukrzyżowanego.

V

Po długiej nocnej rozmowie ze swoim zaufanym i mądrym doradcą Prokurator Judei postanowił uwolnić samozwańczego Króla Żydowskiego. Nie doszło tedy do narodzin chrześcijaństwa. Tak Roger Caillois kończy opowieść *Poncjusz Piłat*. W istocie rzeczy pyta otwarcie, czy zwycięstwo Chrystusa byłoby możliwe bez Męki Pańskiej.

W książkach Papiniego i Lagerkvista snują się analogiczne, jakkolwiek podskórne i nigdy na głos nie wypowiedziane, pytania: „A gdyby Piłat odmówił żądaniom kapłanów izraelskich i tłumy żydowskiego, i nie uwolnił Barabasza zamiast Niego? Gdyby Barabasza zginął na krzyżu, a wolny Chrystus ruszył przed siebie by kontynuować Swą naukę bez męczeństwa? Powstałoby wówczas chrześcijaństwo?”

Otwarte pytanie Caillois ma cechy eleganckiej i dość subtelnej zagadki intelektualnej, ze szczyptą ironii i sceptycyzmu. Utajone, milczące pytania Papiniego i Lagerkvista idą w innym kierunku: przedstawiając, przy pewnych różnicach w rozkładzie akcentów, Barabasza w sidłach niepojętego losu i nigdy dotąd niezaznaczonych odruchów sumienia, pogrążając go w półmroku, chwilami romantycznym, wygnania ze świata (jedynie angielski *outcast* przylega dokładnie do tego stanu), podkreślili obaj akcydentalność jego roli w historii świętej. Jest trochę tak, jak gdyby był kamieniem obsuwającym lawinę. To prawda że obaj usiłowali zrobić z niego kamień żywy, ale nie zdołali go pozbawić cech, które celnie ujmuje zwrot „znikąd i donikąd”. Ze był w rzeczywistości antagonistą Chrystusa, towarzyszącym Mu nieopatrzenie niby Zły Cięż, świadomym w pełni jakiego dokonuje czy chce dokonać dzieła, rozumiano widocznie w IX wieku. Czy przetrwało cokolwiek ze skarbcza księcia Sicardo, posiadacza relikwii Barabasza?

VI

W Benevento stanąłem w hotelu *Rocca*, w pobliżu resztek fortu longobardzkiego. Miasto, od roku 571 do 1033 stolica księstwa longobardzkiego, zachowało ślady pięciu blisko wieków swej przeszłości. Skąpe niestety ślady i zatarte, lub gęsto pokryte późniejszymi naroślami. Z rzymskim Łukiem Trajana, świetnie do dziś zakonserwowanym, mogła się mierzyć tylko Katedra zbudowana w VII stuleciu i rozbudowana w XII; mogła do ostatniej wojny, dokładnie do roku 1943, gdy zniszczyły ją (z wyjątkiem fasady i kampanili) bomby alianckie.

A dla tej przecież Katedry przyjechałem do Benevento, chociaż wiedziałem oczywiście o jej zbombardowaniu w sierpniu 1943. Niemcy jednak opuścili miasto dopiero w październiku tego roku, po lądowaniu wojsk anglo-amerykańskich w Salerno, a zatem — kto wie? — może w ciągu dwóch miesięcy kazali na gorąco uporządkować i zabezpieczyć ocalałe cymelia, jeśli się na nie sami nie połakomili. Bez odpowiedzi pozostały moje listowne zapytania w tej kwestii, skierowane do beneventańskiego Urzędu Ochrony Zabytków. Ze starych przewodników wynikało, że skarbiec księcia Sicardo spoczywał w lochach kampanili, czyli wolno było żywić nikłą nadzieję, że nie dosięgnęły go ciosy i płomienie nalotów.

Naiwnością graniczącą z zamroczeniem umysłu, albo wręcz szalenstwem, musi się czytelnikowi wydawać nadzieja wydarcia jedenastu wiekom skarbcza księcia Sicardo z kłem — bo o niego głównie chodziło — Barabasza. Jedenastu wiekom! Burzliwemu strumieniowi czasu, którego wpływu nie łagodziło nawet zakopanie pod kilkoma warstwami ziemi, jako że stare przewodniki (z XVIII stulecia) mówiły o schowku wyrąbanym w skale najniższej kaplicy, u stóp schodów wiodących do kamienia węgielnego kampanili. Czy doprawdy miałem takie złudzenia? Zapewne tak, gdyż trzeźwość spojrzenia jest bezużytecznym antidotum na nagły przypływ urojeń maniakałnych. Lecz myślę, że gdzieś pod spodem, w chwili wyjazdu do Benevento, kołatała się inna — skromniejsza i realniejsza — rachuba. Liczyłem mianowicie na to, że w byłej stolicy księstwa longobardzkiego, jak we wszystkich prawie niewielkich włoskich miastach historycznych, grzebano się z zapałem, po amatorsku lub półnaukowo, we własnych dziejach i legendach. Ileż już takich widziałem i przeglądałem książek i broszur prowincjonalnych, wydawanych własnym sumptem autorów! Iluż miałem okazję poznać na prowincji „pomyleńców” (zdaniem wspólnych znajomych), którzy życie całe trawili na zgłębianiu błahych i drobnych na pozór szczegółów z historii własnego miasta! Czemu w Benevento nie miałby być takim błahym drobiaz-

giem historycznym lub legendarnym kiel Barabasza w skarbcu księcia Sicardo? Nie przeliczyłem się w moich oczekiwaniach podczas miesięcznego pobytu w Benevento.

VII

Ksiądz Mainardo, sędziwy gospodarz Katedry, wysłuchał mnie cierpliwie w absolutnym milczeniu, nie przestając kartkować papierów na biurku. Kiedy spojrzał mi wreszcie w oczy, w jego wzroku gotowość do zajęcia się mną przeplatała się z delikatną, ledwie dostrzegalną, drwiną. Dalej milczał, dał mi tylko znak bym wstał jak on z krzesła i wyszedł razem z nim na korytarz. Z okna jego pokoju na parterze wysokiej kampanili widać było gromadkę osób wpatrzonych w fasadę Katedry. Szedłem za nim z uczuciem zakłopotania, zaskoczony i onieśmiony jego milczeniem. Spodziewałem się usłyszeć krótki bodajże komentarz na temat celu mojego przyjazdu do Benevento.

Winda — sądząc z fabrycznej tabliczki z datą, świeży nabytek w kampanili — zawiozła nas do komory tuż pod dzwonicą. Mały otwór w murze pozwalał zobaczyć miasto z dokładnością modelu architektonicznego. Wyglądało na to, że ksiądz Mainardo, posłuszny ogólnikowej rekomendacji listowej jego neapolitańskich przyjaciół, zamierzał potraktować mnie jako turystę, ignorując całkowicie moje prawdziwe, wyłożone mu od razu na początku wizyty, zainteresowania. Na szczęście opanowałem odruch irytacji. Wróciliśmy do windy, widziałem jak nacisnął ostatni dolny guzik z napisem *Grotta dell'eremita*.

Zjechaliśmy na samo dno kampanili, wyminawszy po drodze biuro księdza Mainardo na parterze. Powiało chłodem piwnicznym. Grota pustelnika wykuta była w skale, od niej zaczęto budowę kampanili w VII wieku. W przebudowie z XII wieku nadano jej charakter kaplicy, z ołtarzem w skalnym wgłębieniu i z tkaninami kościelnymi (wielokrotnie odnawianymi) na nagich, chropowatych ścianach skalnych.

Mój towarzysz ożywił się nieco, nie porzucając jednak roli *cicerone* nawykłego do turystycznej rutyny.

— Pustelnikiem był Helos, Grek z Egiptu. Zanim poprosił księcia Sicardo o zgodę na pustelnicze wycofanie się ze świata, był jego doradcą i kapelanem. To on, Helos, zainicjował i nadzorował ksiądzę zapał do poszukiwania i zdobycia świętych relikwii. On także założył skarbiec katedralny, który przeniesiono do tej groty, gdy za zgodą swego pana stał się pustelnikiem i zarazem kustoszem — jakbyśmy dziś powiedzieli —

książęcych zabytków. Przeżył swego pana o dziesięć lat, umarł w pustelniczej grocie w roku 869, po siedemnastu latach pracy i modlitw w zupełnej samotności. Tak, pracy. Spisywał inwentarz katedralnego, powierzonego jego pieczy, muzeum. Kiedyś to muzeum zajmowało całą grootę. Dziś zostały z niego ubogie resztki.

Ksiądz Mainardo wziął mnie nagle pod ramię i poprowadził za ołtarz, do odgałęzienia w skalnym wgłębieniu. Pochylił się nisko i podniósł ciężką zasłonę, bogato inkrustowaną i haftowaną, która zakrywała ogromną szkatułę z kości słoniowej, precudownej roboty jakiegoś bizantyjskiego mistrza. Widniał na niej, nad zamkiem, wyblakły już i niezbyt wyraźny napis: *Sicardus Princeps Beneventi Servus Christi*. Uchylenie wieka odsłoniło pustkę: na dnie szkatuły leżało tylko trochę prochu i ziemi. Nie mogłem nie zapytać, od kiedy znikły zbiory księcia Sicardo.

— Dokładnie nie wiem. W każdym razie znaleźliśmy szkatułę pustą po wyjściu Niemców z Benevento. Razem z relikwiami znikł pergaminowy klocek, zapisany przez Helosa.

— Niemcy ukradli zawartość szkatuły, relikwie wątpliwej autentyczności, nie ruszyli natomiast samej, bezcennej szkatuły?

Ksiądz Mainardo nie odpowiedział. W jego oczach zapaliły się błyski gniewu. W milczeniu wyjechał mi windą na parter kampanili. Nasze pożegnanie było chłodne.

VIII

Niezawodnym środkiem na uspokojenie był dla mnie zawsze długi spacer. Początek kwietnia uitorował szeroko drogę wiośnie, przypiekało słońce, zazieleniły się drzewa na ulicach, w rozmowach przechodniów rozlegały się nuty podniecenia pełne radosnej ulgi. Wałęsałem się po mieście bez celu, przystawałem przed wystawami, zapuszczałem się w ślepe i wąskie uliczki, gdzie z okien, przez szpary w żaluzjach, biegly za mną zdziwione spojrzenia. Benevento, mimo swej świetnej przeszłości historycznej, nie należy do miast uczęszczanych przez podróżnych z bedekerem w rękę, toteż *uno straniero* budzi tu ciekawość z domieszką nieufności.

Otoczone obręczą gór na widnokregu, położone na wzgórzu, Benevento zbiega łagodnie ku równinie na której łączą się dwie rzeki. Za miastem trafiłem na ścieżkę, wiodącą przez pola i potem mały zagajnik ku kępie bujnej i świeżej roślinności, nieomylnemu zwiastunowi wody. Tam położyłem się na trawie, w cieniu pod rozrośniętym krzakiem. Niebo było bez chmurki,

podobne do rozpiętego i napiętego, lekko popielatego w kolorze, baldachimu z jedwabiu.

Od snu, o którym zaraz opowiem, upłynęło chyba dziesięć lat. Spędzałem wtedy lato w Alpach, przedpołudnia poświęcałem pisanemu i lekturom, po obiedzie wybierałem się na krótkie wycieczki górskie. Czytałem codziennie, rozdział po rozdziale, książkę amerykańskiego religioznawcy Jeffrey Russela *The Devil — Perceptions of Evil from Antiquity to Primitive Christianity*. Tego dnia dotarłem do rozdziału *Diabeł w Nowym Testamencie*. Zna się niby Ewangelię, a przecież uderzyło mnie jakbym się dopiero teraz o tym dowiedział, że Chrystus nazwał Piotra Szatanem, kiedy Piotr usiłował Go sprowadzić z przeznaczonej Mu drogi Krzyża. Piotra nazwał Diabełem, gdyż Piotr chciał Go odwieść od Męki, Judasza nazwał Diabełem za popychanie Go swoją zdradą do Męki. Lecz głównie Judasz utożsamiony bywa z Diabełem, Łukasz twierdzi wręcz, że widział jak Szatan w niego wstępował. Russell: „Judasz jest aspektem dopełniającym Jezusa, aspektem tak ścisłym, że wyczuwa się analogię między ich stosunkiem i stosunkiem dwoistości, spotykanym często w mitologiach. Można analogię posunąć jeszcze dalej: w wielkim planie zbawienia Bóg wiedział zawsze, że Jezus będzie Zbawicielem, a Judasz zdrajcą, ponieważ zaś zdrada Judasza była konieczna dla Męczeństwa Chrystusa, wolno nawet powiedzieć, że Bóg wyznaczył Judaszowi określoną rolę w historii zbawienia, jak wyznaczył Jezusowi Jego rolę... Diabeł ma swoje źródło w samym Bogu. Jest duplikatem, dualistyczną repliką dobrego Boga. Jest cieniem Boga”.

Tego dnia, przeczytawszy wymieniony rozdział, miałem sen w opuszczonej górskiej kolibie. Snił mi się tylko Głos, donośny, prawie władczy: „Nie, nie Judasz! Barabasz!”. I leżąc z półprzymkniętymi oczami na łące za rogatkami dawnej stolicy księcia Sicardo, nie mogłem się oprzeć uczuciu przeżywania na nowo snu sprzed dziesięciu lat. Oto dlaczego z takim przejęciem zareagowałem na zapis kronikarza średniowiecznego o relikwii Barabasa. Wiedziałem co oznacza jego kiel. W ówczesnym teriomorfizmie (zjawy demoniczne w postaci lub z przymiotami zwierząt) duży kiel był znakiem rozpoznawczym Diabła, jak dziś jest znamieniem Wampira.

IX

Wróciłem do hotelu wczesnym wieczorem. Portier wręczył mi klucz i ruchem głowy wskazał salonik hotelowy. Siedział tam

ksiądz Mainardo. Czekał na mnie. Zgodził się zjeść ze mną kolację w restauracji hotelowej. Wymieniliśmy najpierw zdawkowe zdania o rzeczach obojętnych i błahych. Wreszcie, pod koniec kolacji, nie wytrzymałem.

— Czemu zawdzięczam tę wizytę?

— Powstało między nami nieporozumienie. Wiem co pana sprowadziło do Benevento. Domyślałem się, że nie uwierzył pan moim informacjom o resztkach skarbcza księcia Sicardo. Nie poradzę na to, choć mógłbym skierować pana do osób, które jak ja widziały pustą szkatułę po opuszczeniu Benevento przez Niemców. Gdyby Kościół chciał się pozbyć tych śmiesznych — podkreślam *śmiesznych* — relikwii, pamiątek po szalonym wieku IX, miał w ciągu minionych wieków setki okazji do oczyszczenia wnętrza szkatuły. Nie zrobił tego, bo nie przywiązywał większej wagi do kuriozum o wartości czysto muzealnej. Kiel Barabasa! Nowe spojrzenie na postać Barabasa! Longobardzkie ksiąŜatko wsłuchane w wyjaśnienia swego kapelana a potem pustelnika, który podobno spisał to wszystko w pergaminowym kločku! Mówię „podobno”, bo nikt tego starogreckiego kločka nie czytał, z wyjątkiem zdaje się gimnazjalnego profesora greki i łaciny na początku stulecia. Dostał na to pozwolenie od biskupa Benevento, ale władze kościelne nie zgodziły się by treść kločka utrwalił w broszurze z tłumaczeniem wybranych fragmentów Helosa. Nie wiem jak to się skończyło, do Benevento przyjechałem trzydzieści pięć lat po zakazie biskupa Vizziniego i proteście profesora. Nie pamiętam nawet nazwiska profesora, pamiętam tylko że na imię mu było Bartolomeo. Biskup stał na stanowisku — słusznym, według mnie — że nie wolno zamącać harmonii i wewnętrznej symetrii przekazu ewangelicznego niesprawdzonymi, nie wiadomo skąd wziętymi wersjami, przywiezionymi z Ziemi Świętej przez wysłanników księcia Sicardo w przeszło osiem stuleci po Ukrzyżowaniu Naszego Pana. Ilekroć — a nie jest pan pierwszy — zdarzały się wypadki zainteresowania kločkem Helosa i tzw. „kłem Barabasa”, władze kościelne odprawiały petentów z niczym, także przed opróżnieniem szkatuły przez Niemców. Wiem o tym z relacji starszych ode mnie kapłanów. Nie chciałbym być natarczywy, z trudem jednak panuję nad moją chorobliwą ciekawością starego księdza: co sprawiło, że tzw. „kiel Barabasa” w skarbcu Katedry beneventańskiej przykuł tak mocno pana uwagę?

— Sen.

— Sen?

— Jakies dziesięć lat temu przyśnił mi się Głos, potężny Głos jakby z zaświatów, że nie doceniamy roli Barabasa w historii świętej. Może mi się tylko wydawało, ale słyszałem w tym Głosie ostrzeżenie: istnieje siła, która każe wam jej nie

doceniać. Ten sen odżył we mnie, gdy zetknąłem się z kroniką średniowieczną, wymieniającą piórem kronikarza z naciskiem kiel Barabasza wśród skarbów księcia Sicardo.

Ksiądz Mainardo uśmiechnął się i spojrział na zegarek. Zrobiło się późno, zapytałem czy pozwoli się odprowadzić do domu obok Katedry. Zmienił jak gdyby do mnie stosunek, stał się życzliwy i w chwili pożegnania nawet serdeczny. W nocnej, celowo przedłużanej, wędrówce do hotelu nie opuszczało mnie uczucie, że to co mi powiedział było rozmyślną i dość misterną mieszaniną prawdy i kłamstwa; i że chciał w tej mieszaninie przemycić coś dla mnie istotnego. Co?

X

Musiałem być bardzo zmęczony i lekko podchmielony winem wypitym na kolacji z księdzem Mainardo, jeśli nie spostrzegłem natychmiast co w swoim monologu chciał przemycić na mój użytek. Zgrabnie, *en passant*, podsunął mi po prostu wiadomość o istnieniu broszury opartej na kloku Helosa i podał mi nawet imię jej autora, profesora greki i łaciny na początku stulecia w miejscowym gimnazjum klasycznym.

Wątpię czy miałyby sens opisywanie szczegółów mojej pogoni za tą broszurą. Myślę, że w rytmie mojego opowiadania winna teraz zabrznieć ta sama niecierpliwłość, jaka kierowała moim postępowaniem.

W gimnazjum pozwolono mi zajrzeć do księgi rejestrowej od założenia szkoły w roku 1870 do dnia dzisiejszego. Na przełomie zeszłego i obecnego stulecia nauczycielem greki i łaciny był profesor Bartolomeo Protocristiani. W poświęconym mu wpisie dano wykaz jego publikacji (wszystkie nakładem własnym) z zakresu filologii klasycznej. Na liście figurował tytuł *La zanna di Barabba* (z dodatkiem w nawiasie: *preparato ma non pubblicato per divieto categorico dell'Eminentissimo Vescovo di Benevento*). Był w usposobienia mizantropem i starym kawalerem. Rozgoryczony zakazem biskupa (był w gronie nauczycielskim wzorem pobożności), poszedł przedwcześnie na emeryturę i przeniósł się do rodzinnego San Bartolomeo (między Benevento i Lucerą), gdzie zmarł w roku 1903 w domu rodzinnym. „Szkoła nasza straciła w Profesorze Protocristiani koryfeusza nauki, zwierciadło uczciwości i wielkiego wychowawcę młodzieży. Cześć Jego pamięci”.

San Bartolomeo jest raczej dużą wsią, niż małym miasteczkiem. Pierwszy zaczepiony na rynku chłopiec zaprowadził mnie

do *casa Protocristiani*. Po drodze objaśnił mi, że mieszka tam tylko bardzo stara kobieta z czterema kotami. Okazała się prawnuczką brata Profesora, bezdzietną wdową, gadatliwą staruszką pokrzywioną reumatyzmem, ledwie zdolną do chodzenia, ale o inteligentnej twarzy i bystrym spojrzeniu. Nie miałem innego wyjścia — Bóg mi świadkiem — jak uciec się do zmyślonego na poczekaniu fortelu. Na Uniwersytecie Neapolitańskim powstał projekt uczczenia znakomitego Profesora, lecz nie wszystkie niestety jego prace są ogłoszone drukiem, powierzono mi więc zadanie sfotokopiowania jego nie wydanych rękopisów. Nie, Malvina Protocristiani nie chciała nawet słyszeć o wypożyczeniu rękopisów Profesora do sfotokopiowania w Benevento, mogła mi tylko zezwolić na ich przeczytanie lub przejrzanie z jej obecności i ewentualne zrobienie notatek. Jest ostatnią z rodu, zna dobrze swoje obowiązki, dopóki dobry Bóg nie powoła jej do Siebie. Musi pilnować bezcennych skarbów: książek i rękopisów Profesora, oraz czterech kotów. Po jej śmierci Uniwersytet w Neapolu będzie mógł zabrać do swojej biblioteki dorobek naukowy Profesora (taka na pewno byłaby wola Zmarłego), a kotami zajmą się jej dalecy kuzyni pod Lucerną w zamian za dom, który zapisała im w testamencie.

Zaprowadziła mnie do swojej sypialni, gdzie w oszklonej szafie „dorobek Profesora” zajmował dwie górne półki. Panami pokoju były koty, tłuste i ociężałe, drzemiące w fotelu i na parapecie okna. Nie jestem pewien, czy udało mi się opanować drżenie rąk, gdy sięgnąłem po dwa bruliony, zamykające niższy rząd książek. Gruby brulion nosił na okładce tytuł *La zanna di Barabba*, oraz podtytuł łaciński: *Sine Diabolo nullus Dominus*. Cienki brulion, właściwie zeszyt, był zapisany tylko do połowy i opatrzony tytułem *La scomparsa di Barabba*.

XI

Odrobinę niesamowita była atmosfera, w której przy stoliku koło oszklonej szafy zacząłem czytać z ołówkiem w ręku i notatnikiem gruby brulion Profesora Protocristiani *Kiel Barabasza*. Staruszka, opuściwszy żaluzje w oknie, usiadła w fotelu i przyglądała mi się bacznie. Cztery koty rozlokowały się na łóżku i spoglądały na mnie, zjeżone i nerwowe, z takim napięciem, jakby w każdej chwili gotowe były do ucieczki lub do skoku na stół. Sytuacja nie sprzyjała spokojnej, skrupulatnej lekturze, drobne choć wyraźne i prawie kaligraficzne pismo autora zamieniało mi się często w oczach w posiekane, nieczy-

telne rządki liter. Byłem zirytowany i podniecony, niewiele brakowało bym powiedział coś niestosownego, prowokując starszkę do odebrania mi brulionu i wyproszenia mnie z domu. Na szczęście, doprawdy na szczęście, moje osobiste i naszej wiedzy o Barabaszu, starszka wystawiła mnie tylko na próbę. Na mojej twarzy malowała się widocznie należyta pilność połączona z respektem dla leżącego przede mną rękopisu, bo po godzinie wstała i wydreptała z pokoju, aby wrócić do niego na krótką chwilkę z życzliwym uśmiechem i filiżanką mocnej kawy w nagrodę dla „profesora z Neapolu” (tak mnie nazywała), który zdał egzamin, okazał się godny zaufania. Jak na dany sygnał uspokoiły się koty na łóżku, opadła im nastrozona sierść i przymrużyły się sennie oczy.

W miarę czytania zachwycała mnie coraz bardziej sprawozdawcza sumienność i powściągliwość Profesora. Postawił sobie zadanie dokładnego i przejrzystego streszczenia opowieści Helosa, przytaczane dosłownie fragmenty podawał w oryginale starogreckim i w swoim tłumaczeniu, nie ośmielił się „wzbogacić” czy „unowocześnić” Helosa uwagami i refleksjami własnymi. Właściwie pozwolił sobie tylko na dwie rzeczy: jego był podtytuł *Sine Diabolo nullus Dominus*; i on pod koniec opracowania dał odsyłacz, który w odpowiednim miejscu przepiszę dosłownie, jak na to zasługuje.

Opowieść Helosa oparta była na relacjach wysłanników księcia Sicardo, którzy przywieźli z Palestyny relikwie. Wypytywał siedmiu wysłanników bardzo drobiazgowo, tekst wskazywał, że każdego osobno, porównując potem dla uwiarygodnienia ich relacje, niekiedy uciekał się do konfrontacji, jakby znał na wylot technikę dochodzeń. Sam posługiwał się oszczędnie własnymi komentarzami czy wtrętami, lecz nie unikał ich gdy zachodziła potrzeba. Dzięki temu nie trudno było mi wyłowić z tekstu jego pogląd, tak umiejętnie i stanowczo podany, że nie mógł być tylko owocem relacji wysłanników. To Helos twierdził, że „Barabasz, którego odsuwa się na dalszy plan w historii świętej, był ważną postacią w misterium Ukrzyżowania”; twierdzenie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie tyle zainspirowane, co potwierdzone jedynie przez relacje siedmiu wysłanników.

Z kolei relacje wysłanników czerpały, rzecz jasna, wszystkie soki z opowieści (co zrozumiałe) zasłyszanych w Ziemi Świętej, zarówno od sprzedawców relikwii, jak od postronnych osób na jarmarkach, w tawernach, w domach lub namiotach noclegowych. Jeden motyw powtarzał się w nich ciągle: Barabasz nie był postacią drugorzędną, bezimiennym statystą w świętym dramacie, kamieniem przydrożnym obsuwającym przypadkowo lawinę, zbrodniarzem „uwolnionym zamiast Niego”, bo tak a nie inaczej padły kości w Wielkiej Grze, która go nie dotyczyła

i nie obchodziła. Zanim wtrącono go za morderstwo do więzienia jerozolimskiego, wsławił się (określenie użyte w tekście Helosa) nienawiścią do chrześcijan. Była to nienawiść ślepa, namiętna, której nie rozumiano u ciemnego, bezbożnego rzemieślnika. Ilekroć spotykał osobę podejrzaną o związki z uczniami Chrystusa, zdawał się drzeć z gniewu, zaciskał pięści, mrużył rozognione oczy, mruczał coś do siebie, a na wargi występowała mu piana. W pewnej chwili zaczął z daleka towarzyszyć Chrystusowi i Jego uczniom. Gdy się zatrzymywali na odpoczynek, przysiadł na pustyni w odległości pozwalającej go obserwować, i albo siedział spokojnie z przymkniętymi oczami, albo bluzgał niezrozumiałymi przekleństwami, zdzierając głos i wymachując rękami jak opętany. Tylko Chrystus przyglądał mu się w milczeniu i w zadumie, a raz powiedział ze smutkiem: „Bar Abba, Syn Ojca. Gdzie ja, tam on. Po wieczne czasy”. Uczniowie spojrzeli na Niego zdumieni.

Któregoś dnia znikł. Aresztowano go za zgwałcenie i uduszenie kobiety, znanej w gronie chrześcijan. Batożony do utraty przytomności, wtrącony do ciemnicy z wyrokiem śmierci, nie przestał w kajdanach złorzeczyć Królowi Żydowskiemu i Jego wyznawcom. Złorzecząc odślaniał swój kieł, czym budził przestach wśród leżących obok niego więźniów. Bano go się, okazywano mu posłuszeństwo.

Kapłani i podjudzony przez nich lud wiedzieli, dlaczego właśnie on powinien być „uwolniony zamiast Niego” przez Prokuratora Judei.

XII

Siłą rzeczy streszczenie streszczenia zubaża podwójnie, i niekiedy gubi po prostu, walory oryginału. Zdaję sobie sprawę, że nie umiałem w skromnym bodaj stopniu pokazać ile wysiłku, trudu, nawet talentu włożył zacny Profesor Protocristiani w przyswojenie naszym czasom dziewięciowiecznej opowieści Helosa. Czasem widać wyraźnie, choć jak przez lekką mgłę, że mentor i ulubieniec księcia Sicardo był nie tylko inteligentnym i bystrym indagatorem, lecz także narratorem o znacznej potędze wyrazu poetyckiego. Kiedy indziej dowody tego są bezpośrednie, dotykane. W starogreckim oryginale i w tłumaczeniu przytoczył Profesor opis Barabasza towarzyszącego uporczywie na dystans Chrystusowi i Jego uczniom, przysiadającego na pustyni bez słowa lub w przystępie furiackiego bełkotu. Opis wyborny! Nie dziwię się, że tłumaczowi wyrwał się jedyny w *La zanna di*

Barabba odsyła: „Niemcy posługują się dość często w analizie dzieł literackich określeniem *Doppelgänger*. Tym był dla Helosa, i tym jest dla mnie, Nosiciel Zła (*Il Portatore del Male*), nie odstępujący na krok Pana Naszego, który światu przyniósł Światło Dobra (*La Luce del Bene*)”.

Cienki, do połowy zapisany zeszyt *Zniknięcie Barabasa* robił melancholijne wrażenie. Albo starzejący się Profesor opadał stopniowo z sił, albo wiedział już, że biskup Benevento odnosi się do zamiaru druku niechętnie (żeby nie powiedzieć: wrogo) i stracił wiele pierwotnego zapału. Tak czy owak, prezentacja ostatniego rozdziału Helosa była pospieszna, pełna skreśleń i poprawek, natomiast swobodniejsza w tym sensie, że Profesor nie odmawiał sobie osobistych wtrętów, bywało — z delikatnym odcieniem wyzwania.

Czytelnicy powieści Lagerkvista pamiętają, że Barabasz chępli się przed Sahakiem swoją obecnością „przy Zmartwychwstaniu Mistrza”. „Nie znaczy to, prawdę mówiąc, żeby widział samo Zmartwychwstanie, tego nikt nie widział. Widział jednak jak spadał Anioł, chyży niby strzała, wyciągnięte ramię przypominało ostrze włóczni, za plecami powiewał ognisty płaszcz. Ostrze włóczni wsunęło się między skałę a kamień, zamykający wejście do grobowca, i rozwarło je. A wtedy Barabasz ujrzał, że grobowiec był pusty”.

Pomińmy poetycką licencję powieściopisarza, zachowajmy z przytoczonego fragmentu dwa istotne dla nas szczegóły: zagrodzone kamieniem (raczej głazem) wejście do grobowca; ujrzany przez Barabasa pusty grobowiec.

W ostatnim rozdziale Helos opowiadał o ostatnich znanych nam latach Barabasa. „Uwolniony zamiast Niego” założył szajkę bandycką, przemierzając z nią kraj znaczył swój szlak mordami, rabunkami, pożarami. Ale coraz bardziej porywczy i gwałtowny, coraz bardziej też czuł zmęczenie i gniew przeciw wszystkim i wszystkiemu, gniew podobny do choroby z atakami paroksyzmu. Pewnego dnia zrodził się w jego kudłatej, ogromnej, porysowanej ranami głowie szalony pomysł: zapragnął noc spędzić z towarzyszymi w pustym grobowcu Chrystusa, jakby chciał znowu poczuć Jego Obecność, a może też, przygnieciony ciężarem wieku, wykraść Mu sekret nieśmiertelności. Dotarli do grobowca wieczorem, z trudem odwalili ciężki głaz, rozłożyli się pod skalnymi ścianami, raczyli się przyniesionym winem, Barabasz głośnym śmiechem pokonał w końcu bojaźń swych towarzyszy. O północy zrobiło się naraz jasno, na niebie pojawiła się i długo nie ustępowała szrama błyskawicy, po niej rozległ się przeciągły grzmot, jakby świat toczył się na skraj przepaści. Pękły ściany grobowca, ciężki głaz wejściowy zwałił się na leżących. Zwłaszcza na twarz Barabasa, łamiąc mu nos i wybijając

wszystkie zęby. Udało im się w końcu, broczącym krwią, odsunąć głaz. Wyrwawszy się z grobowca, rozbiegli się w różne strony. Towarzysze Barabasa widzieli, jak pędził przed siebie niebывалymi u śmiertelnika susami. Nigdy go więcej nie widziano.

„Ale ja — kończył od siebie streszczenie i przekład Profesor Protocristiani — widzę go dalej. Widzę go codziennie jak błąka się, z wyrośniętym na nowo kłębem, ostrzejszym jeszcze niż poprzedni, na pustyni w płonnej nadziei, że zstąpi na ziemię Chrystus by zginąć nareszcie z jego rąk, zaciskających się na samą myśl o tym. Po wieczne czasy, Bar Abba”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Lipiec-sierpień 1990

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. •

Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,
Tel.: 42 85 79 45

Wiersze

Wacław IWANIUK

KAŻDY Z NAS NOSI W SOBIE ZAŁĄŻKI WIELKOŚCI

lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku...

Zbigniew Herbert: POTĘGA SMAKU

Zdziwaczał na stare lata. Jak majowy chrząszcz
pije gdzie może załączki wielkości
które życie trywializuje.
W kwiatach kasztanów, w zielonych barwinkach
na klęczkach pobożnych słów
w krajowym piśmie które ledwie zipie
(zważywszy na ciężkie warunki młodej demokracji)
na fotografii zajmującej całą stronę pisma.
Soczewka aparatu utrwaliła, co uchwyciło
jej kryształowe oko, zamiast pozy — pozera.
Twarz świeckiego pisarza, ruch rąk
godny osób wybranych przez Boga. Niestety
gdy wiara przestaje być obronną tarczą
majestat pokory znika, na wierzch wychodzą
załączki śmieszności, właściwe ludziom próżnym.

Toronto, to dla wielu emigracyjna Mekka
Miasto znane z czystości, nie rani brudem oczu.
Śmiecie, żałoba piękna, wrzucamy w zielone
plastykowe worki lub w blaszane naczynia
wynoszone na chodnik dwa razy w tygodniu.

Chodniki surowo pilnują czystości
Pusta butelka czy zimny niedopałek
to lament który podrywa do pracy
Zakład Oczyszczania Miasta; ludzi sytych
dobrze płatnych, ubranych w nakrapiane fosforem
pomarańczowe kamizelki, które kierowcom pojazdów
nawet mniej trzeźwym, rzucają się w oczy.
Trudno przeto w Toronto o drogowy wypadek
Cmentarze świecą pustką.

Lecz ja tu nie z przypadku
Mój codzienny spacer nie ma orlich skrzydeł
Pomaga sercu bić.

Nad głową zenit pęcznieje od słońca.
Idę żółwią ścieżką wysyconą piaskiem
wśród grobów w kwiatach i płonących świecach
o których raz do roku pamięta rodzina.
Kwiaty można kupić przy wejściowej bramie
dzielącej świat żywych od świata umarłych.

Żywi umrą. I ja na cmentarzu
zapominam o lekturze krajowych pism
w których czytam o szturmie na rządowe fotele
ambasady i senatorskie łóżka
o perfidnych komunistach
zgnębionych przez Wałęsę.
To wszystko czeka mnie w domu
atakuję jak Szwedzi Częstochowę.
Wracać, czy dogorywać błogo, tu
w ciszy grobów i supermarketów.
Gdybym wrócił
może i dla mnie trysnęłaby mlekiem
święta krowa krytyki którą doi Barańczak.
Nowa Fala wciąż w modzie.
Różewicz w odstawce, a ja
z kalką słowa na wysypanej żwirem ścieżce
zglębiam ciszę zaświatów —
zapisuję co spadnie z języka umarłych.

W domu z tomem wierszy Łobodowskiego
Prawdziwy to poeta choć może wczorajszy.
Przeżyliśmy wspólnie wiele; wojna
dzieliła nas i łączyła. Więzienie w Hiszpanii
obóz nad rzeką Ebro, Londyn — wyspa tonącej
narodowej dumy, ość w gardle Stalina.

W otwartym oknie zapach ziemi
Jej biologia wlewa soki w ogrodowe klony.
Ich szept jest moim szeptem.

Lecz z kim tu rozmawiać o poezji
o spacerach wśród grobów
ucieczce od codzienności.

Wieczorem trumna nocy — sen
Ciężkie wieka powiek
Chwile jasne i chwile ciemne
Święte i bezbożne.

W snach często widuję znane mi baraki
Szkielety dzieci w obozowych pasiakach
Leżące jak kruche świątki, pogasłe płomyki
zdmuchnięte z powierzchni życia.

Po ogniu pozostaje popiół
Po życiu — urna wygasłych nadziei.

Jak to się stało że na cmentarzu czuję się
jak u siebie w domu?
Kraje w których mieszkałem
To ornamenty przeszłości.

Wydaje mi się że szczęśliwie dobiegam do mety
Mam szczyptę własnych cegieł
Półki z książkami
Niecierpliwe biurko
Widok z okna na cmentarz, wygasły krater życia.

Serce czasem dokucza, krew wysycha
Zwapniałe aorty duszą się bez tlenu
Marzę wtedy o zmianie klimatu
O podróżach wywołujących podskórne trzęsienia
Mocniejsze od letargu.

Góry Skaliste to mój turystyczny narkotyk
Kamienne posągi szczytów
Martwe lodowce w baldachimach chmur
Wytyczące drogi samolotom Air Canada
Podobnym do orłów o nadmiernych skrzydłach —
Gdy góry stoją w miejscu.

Samochody turystów zaparkowane na zboczach
Wydają się tu wybrykiem natury.
Nie żyją wprawdzie długo
Bo wszystko co z ludzkich rąk
Ulega zniszczeniu.

Na śniegu ślady po butach wspinaczy.
Lodowce trwają wiecznie.

Wacław IWANIUK

Jacek KACZMARSKI

LALKA, CZYLI POLSKI POZYTYWIZM

(Wg. B. Prusa)

Nad Wisłą gnieźdzą się nędzarze,
W kościołach dobroczynne tłumy,
Arystokraci i bogacze
Topią w wyścigach ciężkie sumy.
Nikt nie wie, co naprawdę warte
Poświęceń po powstańczym dziele —
Rzekiemu śni się Bonaparte,
Wokulski kocha Izabellę.

Niedożywieni i gruźliczy
Studenci walczą błazenadą,
Szlangubaum szlacheckie weksle liczy,
Patrioci do Paryża jadą.
Trzeba na jakąś stawić kartę,
Ale rozsądniej grać, czy śmieiej?
Rzekiemu śni się Bonaparte,
Wokulski kocha Izabellę.

Świat jest brzemienisty w wynalazki,
W metale od powietrza lżejsze,
Polacy żyją z bożej łaski
Piastrując myśli niedzisiejsze.
W szaradzie ułożonej żartem

Pogodnych wróżb nie widać wiele —
Rzeckiemu śni się Bonaparte,
Wokulski kocha Izabellę.

Na zyski apetyty rosną,
Z pomysłów nie wychodzi żaden:
Zyskowna spółka handlu z Rosją

Wzięta za narodową zdradę.
Artyście za Włoch o głosie zdartym
Salon pod nogi zachwył ściele —
Rzeckiemu śni się Bonaparte,
Wokulski kocha Izabellę.

Prosty kolejarz nie chce pojąć,
Że można z życiem chcieć się rozstać.
Figurki w oknie sklepu stoją,
Sklep zmienia pana, a świat — postać.
W powietrze wylatuje zamek
Stając się marzeń rozpadliną —
Rzecki umiera weteranem,
Wokulski — znika pod ruiną.

Jacek KACZMARSKI

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

NARZECZONA FRANKENSTEINA CZYLI CZTERY NOCE SZEHEREZADY

Noc pierwsza: atomowe Sarajewo na piasku

Był Szawuot, czyli żydowskie Zielone Święta i, jak co roku, ci Izraelczycy, którzy nie byli w synagogach, byli na plaży. Przeważnie w mieście Ejlat, gdzie przy takich okazjach przypada największe, może poza Miami, skupienie Żydów na metr kwadratowy piasku na świecie. Pogoda była na beton, nikt więc nie zwrócił uwagi na kilka błyskawic, które przecięły niebieskie niebo nad Zatoką Akaby. Była to zresztą najnormalniejsza rzecz na tym niebie i w tym miejscu: kilkanaście izraelskich Fantomów zbiegło się w formację i odleciało dostownie w siną dal. Jak co dzień...

Nie, nie jak co dzień. Tym razem nie chodziło o rutynę. W kilka godzin później Izraelczycy zostali gwałtownie wyprowadzeni ze stanu plażowego oglupienia. Radio nagle przerwało program muzyczny i powiedziało prawdę o Fantomach. Osiem F-15 i sześć F-16 przeleciało 1.000 km tam i 1.000 km z powrotem, aby spędzić dosłownie 2 minuty nad miejscowością Tamuz, 30 km na południe od Bagdadu, stolicy Iraku i siedziby jego prezydenta Saddama Husseina.

Lecąc na Tamuz, Izraelczycy wiedzieli dokąd, kiedy, po co i jak. Znali wielkość ryzyka i rangę stawki. Wiedzieli, że nie mają wyboru. Do rajdu przygotowywali się przez sześć miesięcy nad wyraz starannie. Ćwiczyli na makietach na pustyni. Wprawiali się na symulatorach, oddających dokładnie wszystkie szczegóły miejsca i czasu. Precyzyjnie opracowana była trasa lotu nad

Arabią Saudyjską i Irakiem oraz, w drodze powrotnej, nad Jordanią. Przewidziano procedurę powietrznego tankowania i ulepszone Fantomy, m.in. zastosowano udoskonalenia w dziedzinie elektronowego osłepienia i mylenia obrony przeciwlotniczej.

Rezultat — podwójny — był na miarę przygotowań. I na miarę zagrożenia.

Technicznie biorąc, mimo że Tamuz broniony był przez trzy pasma rakiet i artylerii przeciwlotniczej, sterowanej przez radary i komputery, ani jeden pocisk nie poleciał w kierunku Fantomów z gwiazdą Dawida na skrzydłach i ani jeden myśliwiec arabski, też zresztą przeważnie z rodziny Fantomów, nie wystartował w pościgu za napastnikiem.

Strategicznie biorąc, między godziną 18.30 a 18.32 czasu miejscowego rozbity i zniszczony został reaktor atomowy „Ozyrys”, wybudowany w Iraku przez konsorcjum przedsiębiorstw francuskich. Na kopułę gmachu, ogromnego cementowego grzyba, spadły z centymetrową dokładnością najpierw izraelskie rakiety Szafir, a potem amerykańskie 900-kilowe bomby antybe-tonowe.

Dwuminutowy huragan nad Tamuzem wywołał naturalnie kolosalną burzę w świecie. Podobnie jak po uratowaniu 100 zakładników izraelskich z łap Amina w Entebbe w Ugandzie, tak i po Tamuzie szaty się rozdarły i cały glob potępił Izrael.

Dwa rządy okazały się bardziej moralnie oburzone od innych: Francja, która dostarczyła reaktor i ZSSR, który dostarczył Irakowi wszystkie inne rodzaje broni.

W istocie świat dał prawdziwy festiwal hipokryzji. Nigdy jeszcze tak wielu polityków tak bardzo nie kłamało. Choć mówili coś wprost przeciwnego, wszyscy oni z rozmaitych powodów zadowoleni byli z kompromitacji i Amina w Entebbe i Saddama w Tamuz, z uratowania zakładników, ukarania terrorystów i ze śmierci Ozyrysa. Brutalnie mówiąc, wszyscy odechnęli z ulgą na wiadomość, że Izrael zrobił za nich niebezpieczną i mokrą robotę i że wyzwolił cywilizowany świat z pierwszej próby międzynarodowego terroryzmu atomowego.

Panowie Amsel, Pharabeau i Sené, wybitni fizycy związani z CNRS, najpoważniejszym instytutem badawczym Francji, naukowcy całkowicie niezależni zredagowali przed, a ogłosili po rajdzie na Tamuz raport o groźbie Ozyrysa, który, według nich, „byłby w stanie umożliwić Irakowi wyprodukowanie bomby atomowej”. W konkluzji nazywają oni Ozyrysa „atomowym Sarajewem”.

Krytycy Izraela wysuwali rozmaite argumenty, ale jako główny ten, że po Tamuzie Izrael będzie stale narażony na arabskie akty zemsty i gwałtu. Zupełnie jak w dowcipie o pokerzysty, którego w klubie lordów złapano na szulerstwie. Lordowie dali oszustowi rewolwer do ręki i powiedzieli: „Pan wie,

co człowiek honoru powinien uczynić w tej sytuacji”. Pan wiedział. Wziął rewolwer i wszedł do pokoju obok. Rozległ się strzał, po czym drzwi się otworzyły, pokerzysta wrócił do stolika i zaczął rozdawać karty. Zdumionym lordom niedoszły samobójca wyjaśnił: „Chybiłem”. „Panie, oburzyli się lordowie, przecież panu teraz nikt ręki nie poda”. A na to niefortunny strzelec: „A gdybym trafił, to ktoś by mi rękę podał”.

Mniejsza, to było dawno. Ważna jest konkluzja i lekcja. W gruzach Ozyrysa spoczęły na dłuższy czas (jak dziś wiadomo nie na tak długo) plany Saddama zagarnięcia ropy z Zatoki Perskiej przy pomocy szantażu atomowego i wykończenia państwa Izrael przy pomocy „arabskiej” bomby atomowej. W ciągu 120 sekund Izrael odwieśił (powtarzam — prowizorycznie) znad swej głowy widmo atomowego miecza Damoklesa.

Znad swej, ale i naszej głowy także. Operacja Ozyrys została przeprowadzona 7 czerwca 1981 roku. Dziewięć lat później, 13 września 1990, kiedy piszę te słowa, można sobie wyobrazić jak by Zatoka Perska i reszta świata wyglądały, gdyby operacji Ozyrys nie było albo się nie była udała.

W mitologii egipskiej Ozyrys był jednym z najważniejszych bóstw. Syn Geba (ziemia) i Nut (niebo), brat i mąż Izydy, Ozyrys zabity został przez swego brata Seta w walce o władzę nad Egiptem. Izyda pozbierała porzucane części ciała i przywróciła życie i świeżość ofierze bratobójstwa. Wskrzeszony Ozyrys stał się wówczas władcą świata pozagrobowego i sędzią umarłych.

Saddam też postanowił wskrzesić Ozyrysa. I atomowego (procedura jest w trakcie) i chemicznego (już żyje). Gdyby zamiast się fałszywie oburzać, nie dopuszczono do jego wskrzeszenia, albo — w ostatecznej hipotezie — powtórzono w odpowiednim czasie i po odpowiednim przygotowaniu (patrz model operacji z 7 czerwca 1981) zniszczono w zarodku chemicznego Ozyrysa, świat zaoszczędziłby sobie bardzo niebezpiecznej awantury, kolosalnych kosztów, ludzkich cierpień i dramatów, groźby gospodarczego kryzysu.

We wrześniu 1990 roku, z powodu politycznej i wojskowej ślepoty i nieodpowiedzialności, świat musi zaczynać na nowo. Świat znowu stanął przed wyzwaniem i zastanawia się, czy nie trzeba będzie znowu siłą odesłać Ozyrysa do jego pozagrobowego królestwa.

Noc druga: upał po zimnej wojnie

Proszę o chwilę uwagi. Czy mogą sobie państwo wyobrazić, co by się działo, gdyby Saddam najechał Kuwejt dwa czy trzy

lata temu? Najlepszy scenariusz tej hipotetycznej sytuacji przeczytałem w... *Nouvelles de Moscou*, tygodniku agencji „Nowosti”, do niedawna słynącej nie z satyry, a wprost przeciwnie, z wcale nie śmiesznej dezinformacji.

W skrócie wyglądał on tak:

a) Po aneksji Kuwejtu rząd sowiecki ogłasza zdecydowany protest przeciwko agresji imperializmu zachodniego na rewolucyjny i postępowy Irak.

b) *Prawda* drukuje leninowską analizę starcia sił imperiaizmu amerykańskiego z całym postępowym obozem wyzwolenia narodowego.

c) Rodzi się spontaniczny ruch ochotników dla udzielenia pomocy bratniemu Irakowi. Kreml czeka tylko na zaproszenie.

d) Ambasador sowiecki w ONZ bije pantoflem w pulpit i blokuje poprzez stosowanie weta wszelkie próby potępienia Iraku.

e) Na wniosek ZSSR większość w ONZ uznaje, że główną odpowiedzialność za napięcie ponosi syjonizm w sojuszu z Afryką południową i Pinochetem.

Stało się, jak wiemy, inaczej. Dlaczego?

Bowiem wojna między Irakiem i Kuwejtem to nie jest tylko sprawa między-arabska, to nawet nie jest wojna o naftę. Kryzys w Zatoce Perskiej to przede wszystkim pierwszy wielki konflikt międzynarodowy epoki po zimnej wojnie. Jeden z licznych i modnych proroków politologii amerykańskiej, Francis Fukuyama, niedawno ogłosił „Koniec historii”. To pomyłka, historia się dopiero zaczyna.

Agresja Iraku i aneksja Kuwejtu to coś nowego w politologii i w polityce. To przykład konfliktu nowego typu. To przykład węzła i sprzeczności interesów, które stanowią będą główne niebezpieczeństwo dla stabilności świata w ostatnim dziesięcioleciu XX wieku. A może i później. Nie trzeba sobie zwracać głowy i zastępować starych banałów nowymi kliszami. Układ i konflikty Wschód-Zachód nie zostały wcale zastąpione przez konflikt Północ-Południe albo bogaci-biedni. Irak bowiem nie jest ani „południe” ani biedny. Odwrotnie, to przykład tego, czym grozi bogactwo w niewłaściwych rękach.

Na obszarze tego co się mało precyzyjnie określa jako Trzeci Świat jest dziś 9 potencjalnych potęg nuklearnych, 14 — chemicznych, 15 — balistycznych, to znaczy dysponujących możliwością przenoszenia na odległość obu wymienionych rodzajów broni, nie mówiąc już o ładunkach „zwyczajnych”.

Saddam Hussein to właśnie prorok i prototyp tego nowego zagrożenia. Super-uzbrojony (cały majątek naftowy poszedł na broń, Irak ma już 70 miliardów dolarów długu, co jak na 17-milionowy kraj stanowi prawdziwe osiągnięcie) Saddam to dykta-

tor i demagog, zimny i cyniczny megaloman, terrorysta w polityce i w życiu, zdolny i gotowy do podpalenia świata dla zrealizowania swojego celu: doprowadzenia Iraku do rangi potęgi zdolnej nie tylko zagarnąć najbliższych sąsiadów, ale dzięki nafcie narzucić dyktat reszcie świata.

Ta reszta świata, a zwłaszcza oba supermocarstwa — jest to prawdziwa premiera — dały się całkowicie zaskoczyć. Można naturalnie snuć spekulacje; są takie, że USA i ZSSR wiedziały, co się szykuje, ale że miały interes w tym, aby do agresji doszło. Proponuję jednak, aby dziś zająć się faktami, a nie fantazją. Otóż, wiadomość o inwazji Iraku na Kuwejt, która — to nie jest fantazja — miała dla Saddama być tylko wstępem do zawładnięcia resztą półwyspu i połową światowych zasobów nafty, doszła do Bakera i Szewardnadzego, szefów dyplomacji super-potę, w chwili kiedy oddawali się rozkoszom łowienia nie wiem jakich ryb gdzieś na północy tajgi syberyjskiej. Sowiecki minister przyznał zresztą, że mimo dokładnych informacji o koncentracji wojsk Iraku na granicy Kuwejtu, nie wierzył w inwazję i kręcił z niedowierzaniem głową, kiedy Baker, z wędką w ręku, przeczytał mu depezę o ataku. Ich szefowie także próżnowali. Gorbaczow był na urlopie, a Bush wybierał się na upojne *rendez-vous* z panią Thatcher, gdzieś w dzikim pejzażu gór Colorado.

Jak mogło dojść do takiego zaskoczenia? Gdzie byli szpiegowie, sieć satelitów, zdolnych do sfotografowania numeru samochodowego z kosmicznej odległości? Czyż nie śledzili oni wszyscy ruchu każdego czołgu na całym półwyspie?

Wydarzenia nad Zatoką Perską to owoc nie końca historii, a końca zimnej wojny. Przez dziesięciolecia obie super-potęgi występowały przeciwko sobie. To prawda, że oba te państwa już nieraz bywały „obiektywnie” po tej samej stronie. Nie sięgając nawet do czasów koalicji antyhitlerowskiej, wystarczy przypomnieć równoległe *démarche* Chruszczowa i Eisenhowera, które zmusiło Anglię, Francję i Izrael do wycofania się w 1956 roku z awantury o Suez (i dało — przypomnijmy przy okazji — Moskwie wolną rękę w masakrowaniu powstania węgierskiego). To także właściwie wspólna akcja obu mocarstw powstrzymała wojska Izraela od ostatecznego uderzenia na Kair w wojnie kipurowej w 1973 roku.

Ale Saddam osiągnął lepszy wynik: sprawił, że oba mocarstwa wystąpiły obok siebie, ale po raz pierwszy razem, nie w obozach przeciwnych, a w tym samym, według podziału nie na klasyczny Wschód-Zachód, a na coś innego. Ale co?

Zobaczymy. W chwili pisania tych słów, pięć tygodni przed ukazaniem się październikowej *Kultury*, nie wolno ryzykować prognozy. Ale już widać, że zaskoczenie wobec tego „nowego”

odzwierciedla nie tradycyjną arogancję super-wielkich, a ich brak przygotowania do stawienia czoła zagrożeniom nowego typu u końca XX wieku.

Można to, naturalnie, spróbować wytłumaczyć. Wojna z komunizmem lub z kapitalizmem (punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, jak to ujmuje Lech Wałęsa) była stosunkowo prosta: stawka była znana, przeciwnik dokładnie określony, łatwy do rozpoznania. Sprostanie nowemu wyzwaniu jest bardziej skomplikowane: nie tylko nie ma naprzeciw nas monolitycznego bloku, ale wprost przeciwnie: w Trzecim Świecie w ogóle, a w „narodzie” arabskim czy „rodzinie” muzułmańskiej w szczególności, nie ma żadnej spójności ani geograficznej, ani kulturalnej, nie mówiąc już o politycznej.

Sowietów i Amerykanów stali zawsze, od końca wojny, twarzą w twarz i oko w oko. Kontrolowali wszystkie kryzysy, ale z dwóch przeciwnych stron. Teraz, powiedzmy od trzech lat, byli z kolei zajęci przede wszystkim dostosowywaniem się do nowej sytuacji, kiedy nie będą oko w oko, a łokciem przy łokciu. Kiedy więc trzeba było z tej nowej pozycji przeciwstawić się wspólnemu zagrożeniu, okazało się, że nie są na to przygotowani, że i Amerykanie i Rosjanie, ani razem, ani osobno, nie wiedzą jak to zrobić, nie wiedzą jak się zachować, ani wojskowo ani intelektualnie, wobec tej groźby jaką dla świata stanowi polityczna i ideologiczna „propozycja” Saddama Husseina.

Nafta, naturalnie, stanowi bardzo istotny wymiar kryzysu. Gdyby Saddam opanował cały półwysep, to kontrolowałby połowę rezerw naftowych globu i świat zachodni stałby się faktycznie, na jakiś czas przynajmniej, jego zakładnikiem. Ci bogaci, jak zwykle, dostosowaliby się w końcu do nowej sytuacji, i uniknęli, choć wielkim kosztem, katastrofy. Ci biedni — we wschodniej Europie np. — straciliby szansę względnie szybkiego oderwania się od dna, a prawdziwi nędzarze, w Afryce przede wszystkim, weszliby w strefę całkowitego zniszczenia.

Ale zastanówmy się. W 1973 i 1979 roku oba „szoki naftowe” zaskoczyły świat kapitalistyczny i spowodowały początek prawdziwego kryzysu gospodarczego, zahamowały naprawdę cykl rozwoju. A przecież Stany Zjednoczone nie wysłały wtedy ogromnej armady, Moskwa spokojnie zarabiała na podwyżce cen ropy, a ONZ nawet się nie obudziła z normalnego w tym gmachu odrętwienia.

Jest więc różnica. Polega ona na tym, że Saddamowi chodzi o coś innego niż kontrolę zasobów nafty czy dostęp Iraku do otwartego morza. Gdyby tak było, to Saddam dostałby na pewno od Kuwejtu jakiś korytarz, uzyskałby anulowanie długów, a nawet nowe kredyty. Nie, Saddamowi chodzi o coś więcej. Na to „więcej” świat się zgodzić nie mógł. Hegemoniczne ambicje

Saddama zakładały bowiem kwestionowanie — w imię „praw historycznych” — i obalanie granic państwowych, podbój a nawet aneksję słabych sąsiadów, branie zakładników, terror państwowy oraz — *last but not least* — swobodne użycie wszystkich rodzajów broni, z chemiczną i atomową włącznie.

Inaczej mówiąc, poza opanowaniem nafty Saddam chciał jeszcze rozwalić cały porządek świata, który właśnie raczkował w kierunku lądowiska w epoce po zimnej wojnie. Świat przestał stanowić amerykańsko-sowieckie kondominium. Imperium sowieckie się rozleciało. Komunizm leży w gruzach. Polska, Czechosłowacja itd. wracają do Europy. Wczorajszy wróg jest dziś sojusznikiem. Gorbaczow i Bush nie przestają sobie padać w ramiona. Wszystko się relatywizuje.

W takiej sytuacji bardzo łatwo podpalić świat. Demokracja wygrała zimną wojnę. Teraz stawką jest utrwalenie tego zwycięstwa. Temu celowi właśnie przede wszystkim zagraża Saddam Hussein i inni jemu podobni.

Dlatego trzeba się wyrażać jasno. To, co się dzieje w Zatoce Perskiej, to nie jest wojna USA z Irakiem. Tam naprzeciw siebie stoją dziś Saddam Hussein i cały cywilizowany (albo prawie) świat.

Strategicznym celem antysaddamowej koalicji nie powinno być ponowne zainstalowanie na tronie w Kuwejcie, czy w okolicy, skorumpowanych szejków i spetryfikowanie spróchniałego monopolu na bogactwo, płynące z przypadkowego ułożenia przez naturę tam właśnie, a nie gdzie indziej, naftowej bonanzy.

Celem koalicji powinno być usunięcie Saddama, zniszczenie, wszystko jedno w jaki sposób, to znaczy także wojskowo, jeżeli nie będzie innej rady, zdolności Iraku do burzenia zasad poszanowania prawa w stosunkach międzynarodowych, to znaczy pozbawienie go przede wszystkim super-arsenału w ogóle, a broni masowego zniszczenia w szczególności.

Jeżeli Saddamowi uda się zachować najmniejszą choćby korzyść z inwazji na Kuwejt, nie mówiąc już o utrzymaniu broni chemicznej i już niedługo atomowej, to zacznie padać domino, które nie wiadomo gdzie, jak i kiedy się skończy.

Mitterrand twierdzi, że świat wszedł w „logikę wojny”. Nieprawda, świat jest już nie w „logice”, a w stanie wojny z Irakiem. Błokada nie jest zabiegiem intelektualnym, a zwyczajnym aktem wojny. Bądźmy więc logiczni: celem wojny jest zwycięstwo. Ale trzeba tego chcieć. Zniszczenie, przy użyciu siły, irackiego arsenału chemicznego i atomowego, byłoby naturalnie operacją ryzykowną i kosztowną, także w bilansie ludzkim. Dlatego trzeba szukać innych możliwości osiągnięcia zwycięstwa. Ale pozostawienie takiej „brzytwy” w ręku chorobliwie ambitnego dyktatora na dłuższą metę okaże się jeszcze bardziej kosztowne.

Wybór jest dramatyczny, ale prosty:
 — zniszczyć go dziś, albo spotkać go znowu, ale jeszcze silniejszego, jutro;
 — uderzyć dziś albo cierpieć, a dla niektórych zginąć, jutro.

Noc trzecia: Kreml bez bieguny

Nie sędzę, aby nazwisko Alberta Makaszowa było powszechnie znane lub bardzo popularne w Polsce. Jest chyba wprost przeciwnie. A szkoda, bo tego człowieka warto poznać bliżej. Albert Makaszow jest tym generałem Armii Czerwonej, który publicznie uznał, że warto aby Gorbaczow zafundował sobie trzy tygodnie służby wojskowej. Makaszow postawił w ten sposób pod znakiem zapytania kwalifikacje strategiczne wodza naczelnego, którym jest prezydent ZSSR, czyli tenże Gorbaczow.

To właśnie generał Makaszow, dowódca okręgu wojskowego Wołga-Ural, przełamał milczenie tej „wielkiej niemowy” jaką być powinna armia ZSSR, stwierdzając że to, co Gorbaczow określa jako nowe myślenie dyplomatyczne, jest zwyczajną manipulacją nauki leninowskiej oraz krytykując, także publicznie, bo z trybuny zjazdu kompartii, politykę, która doprowadziła do utraty przez ZSSR krajów Europy wschodniej.

Mówiąc w wielkim skrócie, generał Makaszow jest jednym z rzeczników najbardziej konserwatywnego skrzydła Armii Czerwonej, to znaczy tej grupy, która przeciwna jest polityce zagranicznej Gorbaczowa niosącej groźbę tradycyjnych „sojuszy”, wycofania z zagranicy sowieckich tak zwanych doradców i utraty sowieckich pozycji w rejonie m.in. Środkowego Wschodu.

Ten krótki szkic powinien wystarczyć, aby dojść do wniosku, że przyszłość młodego, bo tylko 52-letniego generała nie wydawała się przesadnie radosna. A tymczasem to właśnie generał Makaszow obarczony został tajną misją specjalnej wagi, bo nie gdzie indziej a w Iraku i nie kiedy indziej, a w drugiej połowie lipca, to znaczy w chwili kiedy przygotowania do inwazji na Kuwejt musiały już być w decydującej fazie.

Można więc zadać dwa pytania. Pierwsze, co zrobił akurat generał Makaszow, i akurat w tej chwili w Iraku? I ważniejsze: czy i co — dzięki misji generała Makaszowa i jego kolegów, pozostających stale na miejscu — Związek Sowiecki wiedział o planach Saddama Husseina w ogóle, a o inwazji na Kuwejt w szczególności?

Odpowiedź nie jest łatwa, ale warto się nad nią zastanowić. Są tutaj dwie wielkie szkoły myślenia.

Pierwsza wychodzi z założenia, że dysponując kilku tysiącami doradców i specjalistów wszystkich dziedzin wojskowych i przemysłowych na miejscu, Moskwa nie mogła nie znać strategicznych i operacyjnych planów Saddama. Rosjanie, powiadają fachowcy, mieli swoich ludzi na wszystkich szczeblach drabiny władzy w Iraku, a przede wszystkim (Polacy to znają choćby z lektury Kuklińskiego w *Kulturze*) na samej górze wojskowej oraz w dziedzinie informacji i łączności wojskowej i KGB. Amerykanie uważają nawet (Polaków znowu nie powinno to dziwić), że Kreml ma swoich ludzi w najbliższym otoczeniu Saddama.

CIA twierdzi, że dostawy broni sowieckiej dochodziły do Iraku jeszcze w kilka tygodni po przyłączeniu się Rosji do embarga, i co ważniejsze, dostawy broni sowieckiej — ale także wschodniemieckiej, z demobilu już chyba — dla Iraku w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przed inwazją na Kuwejt były wielokrotnie wyższe niż przeciętna ostatnich lat, tak jakby ZSSR się spieszył i bardzo chciał uczestniczyć w przygotowaniu nieuniknionej już operacji. Utrzymanie, pod niepoważnym pretekstem konieczności respektowania kontraktów, doradców i ekspertów sowieckich w Iraku już po inwazji Kuwejt mogłoby potwierdzać tę tezę. Niektórzy specjaliści nie dziwią się, albowiem ich zdaniem, bez tych doradców wojskowa logistyka iracka nie mogłaby po prostu skutecznie funkcjonować.

No i nie należy lekceważyć argumentu gospodarczego i finansowego. Cena ropy na poziomie 28 dolarów za baryłkę, a kiedy piszę te słowa kosztuje ona już ponad 30, niesie nie tylko możliwość napięcia gospodarczego na zarozumiałym i triumfującym Zachodzie, ale oznacza przede wszystkim, w ciągu jednego roku tylko, 20 miliardów dolarów extra wpływów do pustej i wykrwawionej dewizowej kasy Kremla.

Po tym wszystkim, wniosek nasuwa się już sam: Kreml wiedział, że Saddam uderzy na Kuwejt.

Ale powoli. Ci, którzy uważają, że Moskwa działa w dobrej wierze i że Kreml mógł nie widzieć, iż Saddam szykuje aneksję Kuwejt, nie są pozbawieni argumentów. Zwolennicy przyznania Moskwie klauzuli domniemania niewinności powiadają, że liczba i ranga doradców sowieckich nie były wystarczająco wielkie, by musieli oni automatycznie znać plany Saddama. Satelity amerykańskie — dodają — latały stale nad Irakiem, a Waszyngton także dał się całkowicie zaskoczyć. Inwazja Kuwejt była zresztą na tak prostym poziomie operacyjnym, że przygotowania do niej można było ukryć pod pozorem byle manewrów.

To prawda, że Irak nie ma żadnego doświadczenia w prawdziwej nowoczesnej wojnie, że talenty operacyjne Saddama były w starciu z Iranem na poziomie operacyjnym pierwszej wojny światowej, ale stosunek sił był tak nierówny, Kuwejt był prze-

ciwnikiem, jeżeli w ogóle można używać tego określenia, tak słabym, że sztab Iraku był w stanie sam, bez sowieckich doradców, przeprowadzić uderzenie.

No i jeszcze ostatni argument, już z dziedziny czystej spekulacji, ale interesującej. Wojskowi sowieccy, tacy jak generał Makaszow właśnie, znali być może plany Saddama, ale Kremla o tym nie uprzedzili. Chcieli bowiem, z jednej strony, doprowadzić do konfliktu stawiającego Gorbaczowa w trudnej sytuacji wobec świata zachodniego, a z drugiej strony utrzymać pozycje strategiczne na Środkowych Wschodzie. Chcieli także utrzymać w Iraku swoich ludzi, aby uniemożliwić Zachodowi dotarcie do tajemnic sowieckiego sprzętu wojskowego, zwłaszcza rakiet. To wszystko nie byłoby naturalnie możliwe bez napięcia i konfliktu w tym rejonie świata.

No, ale trzeba już przerwać to ćwiczenie z dziennikarskiej analizy, bo taki podwójny proces można ciągnąć bez końca. Prawda, jak zwykle, leży gdzieś pośrodku. Moim zdaniem Moskwa prowadzi od początku grę podwójną, co nie jest może eleganckie, ale w tym wypadku nie jest karygodne, powiedziałbym że jest normalne. Dlaczego?

Moskwa, po pierwsze, może sobie na to pozwolić. Nie trzeba się dać zwieść retoryką dyplomatyczną. Kreml, sojusznik (na zasadzie traktatu o przyjaźni, podpisanego jeszcze w 1972 roku) i największy dostawca broni, utrzymał cały czas — także w czasie kryzysu — kontakt z Irakiem. Moskwa to dziś jedyna duża stolica mająca normalne stosunki z obu stronami w konflikcie.

Ale, przede wszystkim, Związek Sowiecki ma bardzo istotne powody dla szukania kompromisu, unikania sytuacji bez wyjścia, konieczności dramatycznego wyboru, wzięcia udziału czy też choćby sponsorowania akcji wojskowej. Moskwa chce więc utrzymać dobre stosunki ze światem arabskim, które i tak przechodzą przez trudną fazę, m.in. z powodu emigracji Żydów sowieckich i poprawy stosunków z Izraelem. Ale równocześnie Gorbaczow unika wszystkiego, co mogłoby naruszyć z tak wielkim trudem budowane zaufanie Zachodu.

To właśnie tłumaczy wielostronną i energiczną akcję dyplomatyczną Moskwy. To na Placu Czerwonym krzyżowały się drogi wicepremiera czy ministra Spraw Zagranicznych Iraku i ambasadora Arabii Saudyjskiej, który przyjechał z Waszyngtonu, bo nie ma jeszcze oficjalnych stosunków między Moskwą a Ryjadem. To także wyjaśnia groteskę sytuacji, w której Gorbaczow wysyła ostre ostrzeżenia do Saddama, a równocześnie popiera faktycznie pomysł Saddama o sprzężeniu sprawy Zatoki ze sprawą Palestyny, utrzymuje wojskowych doradców na miejscu lub oficjalnie nie gasi światła w ambasadzie sowieckiej w Kuwejcie, ale ewakuuje wszystkich absolutnie jej pracowników,

tak aby, broń Boże, nie doszło do konfliktu między dyplomatami sowieckimi a pozbawionymi — jak się okazało — delikatności żołnierzami Iraku.

Argument finansowy związany ze wzrostem ceny ropy jest kalkulacją słuszną, ale na krótką metę. Moskwa wie, że kryzys energetyczny czy recesja gospodarcza na Zachodzie, jeżeli w ogóle do czegoś takiego dojdzie (ja przypuszczam, że nie dojdzie) będzie krótkotrwała, że produkcja ropy wzrośnie, albowiem brak dostaw z Iraku i z Kuwejtu zostanie nadrobiony przez innych eksporterów, a jej ceny ustali się na niższym i bardziej realnym poziomie. Że więc, choć zastrzyk dewizowy jest zrządzeniem opatrności, to w polityce lepiej liczyć na dyplomację niż na opatrność.

Inaczej mówiąc, i takie rozumowanie Kremla wydaje mi się poprawne, na dłuższą metę to nie nagle i niespodziewane miliardy naftowe, a tylko fachowość i technologia Zachodu potrafią pomóc w wydobyciu się państwa sowieckiego z dna ekonomicznego i cywilizacyjnego. Tym bardziej, że Gorbaczow przecież wie, że jego własny przemysł naftowy jest w głębokim kryzysie, że produkcja spada i eksport spada i że jedynym sposobem zapobieżenia katastrofie energetycznej w ZSSR jest udział technologii i kapitałów zachodnich, amerykańskich i japońskich przede wszystkim, w dotarciu do nowych zasobów ropy i gazu i unowocześnieniu ich wydobycia.

W istocie, także w optyce Kremla, awantura arabska wykracza daleko poza ramy regionu. Gorbaczow to nie Makaszow, rzeczywiście nie służył nigdy w wojsku, ale nie potrzebuje nie tylko trzech, ale nawet ani jednego tygodnia ćwiczeń, aby wiedzieć, że dziś już wojsko nie wystarczy, że degrengolada systemu sowieckiego i implozja komunizmu sprawiły, iż mimo ciągle ogromnej sowieckiej potęgi wojskowej, świat z dwubiegunowego stał się jednobiegunowym.

Otóż, w tym nowym świecie faktycznie bez komunizmu — Chiny naturalnie istnieją, ale to inna sprawa — współzawodnictwo i w ogóle wstępny warunek przetrwania przenosi się nie tylko ze strefy ideologicznej (tego nie trzeba nawet udowadniać), ale także i ze strefy wojskowej do gospodarczej i technicznej. Jeżeli Związek Sowiecki lub Rosja chce przetrwać, nie mówiąc już o rozwijaniu się, to musi w tym świecie grać rolę lojalnego partnera. Na Stany Zjednoczone i ich mniej lub bardziej ociążających się sojuszników spada odpowiedzialność za wyeliminowanie dziś chemicznego a jutro atomowego szantażu ze strony brutalnej dyktatury, za uratowanie tego nowego, bardziej ludzkiego porządku na świecie, od groźby jaką dla jego przetrwania dziś stanowi Saddam Hussein, a jutro stanowiąc będą inne, jemu podobne, lokalne hitlerki czy stalinki.

W tym i w takim nowym, jednobiegunowym świecie, Związek Sowiecki, który mimo ogromnego potencjału wojskowego jest już tylko byłą super-potęgą, szuka z trudem miejsca dla siebie. Jego dyplomacja, pełna zakrętasów i zygzaków, może i powinna budzić podejrzania.

Moskwie nie wolno ufać i trzeba jej patrzeć na ręce. Trzeba na przykład domagać się coraz nowych dowodów niewinności, coraz nowych fantów lojalności. Zachód np. powinien domagać się od ZSSR tajemnic działania terrorystów z siatki irackiej, m.in. Abu Nidala, gościa kilku krajów byłej komunistycznej Europy, m.in. Polski, NRD i Węgier, hołubiących tych morderców nie bez zgody Moskwy naturalnie. Zachód powinien także skłonić Moskwę (może już skłonił) do ujawnienia zasięgu rażenia i zdolności przenoszenia przez sowieckie rakiety „ziemi-ziemia” SCUD B głowic z bronią chemiczną. ZSSR powinien także skończyć z przeciąganiem negocjacji w sprawie broni klasycznych i podobnych, i nareszcie uwolnić Europę wschodnią i Europę *tout court* od pancерnej chmury.

Ale Zachód nie powinien, naturalnie, stawiać Gorbaczowa w sytuacji bez wyjścia ani formułować warunków nie do przyjęcia. Zachód powinien — tym razem bez owijania w bawełnę i bez hipokryzji — wrócić do zasady *linkage*, to znaczy związku wszystkiego ze wszystkim, kategorię *do ut des* w polityce i gospodarce. Zachód powinien więc się domagać, aby dla udowodnienia swej lojalności Moskwa uczyniła dokładnie to, co chciałby uniemożliwić generał Makaszow i jego koledzy w mundurach i bez.

Kryzys w Zatoce Perskiej to pierwsza naprawdę definitywna, jeżeli coś takiego w ogóle w polityce istnieje, szansa wyjścia Związku Sowieckiego w świat oparty na prawie. To historyczna okazja i nie wolno jej zaprzepaścić ani przez strach w formułowaniu wymagań i dowodów uczciwej gry, ani przez ich przesadne formułowanie.

Jak będzie, okaże się już niedługo. Albo w toku rozmów w ciszy gabinetów dyplomatycznych, albo już na placu boju... w Zatoce Perskiej i gdzie indziej.

Noc czwarta: Saddam Frankenstein

W roku 1971 aneksja Kuwejtu przez Irak była jeszcze ciągle marzeniem Saddama, a on sam tylko wicedyktatorem. Jego żmartenia dotyczyły wówczas przede wszystkim Kurdów. Udając, jak dziś, męczennika pokoju, wysłał wtedy delegację siedmiu duchownych muzułmańskich do przywódcy kurdyjskiego, też mułły, a zarazem generała i bohatera artykułów w

prasie sowieckiej, Mustafy Barzaniego. Jeden z wysłanników zgodził się, na prośbę Saddama, przekazaną przez szefa jego bezpieki, Nazima Kzara, na wmontowanie mu pod skórę mikro-magnetofonu, aby móc dysponować pełnym zapisem rozmowy z Barzanim. Kzar wyjaśnił mu, co ma robić i jaki guziczek ma dyskretnie pocisnąć, aby taśma ruszyła. Kzar tylko zapomniał dodać, że naciśnięcie guziczka uruchamia nie tylko taśmę, ale eksploduje także bombę umieszczoną w magnetofonie.

Kismet, czyli los uratował Barzaniego. Wysłannik Saddama nacisnął guzik akurat w chwili, kiedy służący podawał herbatę i zasłonił Barzaniego. Mułła i służący zginęli, a Kurdowie powiedzieli *incz Allah* i zrozumieli sens pokojowej polityki i charakter Saddama.

Tylko Zachód nie rozumiał. Wylatujący w powietrze od bomby Saddama iracki mułła i kurdyjski służący to bowiem symbol polityki i metod nowego dyktatora na Środkowym Wschodzie. Od tej chwili nikt nie powinien był nie wiedzieć, a tym bardziej udawać, iż nie wie, że kiedy Saddam mówi o pokoju, to należy zacząć szukać bomby w najbliższym otoczeniu.

A tymczasem, jak gdyby nigdy nic, Sowiety i Zachód włożyły Saddamowi w ręce bomby, które on potem, dosłownie i w przenośni, ukrył pod skórą milionów ludzi, i które dziś grożą już nie Kuwejtowi, ale Arabii Saudyjskiej i całej zatoce, a nawet, w pewnym sensie, reszcie świata.

To dzięki nam, „białym” z północy, Saddam ma dziś milion uzbrojonych po zęby żołnierzy, setki raket, więcej czołgów niż Francja i Anglia razem, więcej samolotów niż Włochy, ma broń chemiczną, którą wie jak się posługiwać, czego dał dowód gazując 5.000 z tych bezbronnych Kurdów, których nie udało mu się zlikwidować podskórnymi bombami.

To my daliśmy mu broń, i to na kredyt, dzięki której ten dyktator bez skrupułów stał się potęgą, prawdziwą super-potęgą regionalną. A przy tym Saddam Hussein nie kupował broni w tajemnicy. Zamówienia Iraku były błogosławieństwem producentów broni na całym świecie, z Polską na skromnym miejscu włącznie.

Któż nie pamięta uścisków między „socjalistami” Saddamem i Breżniewem? Fakt, że Saddam wymordował wszystkich faktycznie komunistów irackich, nie miał wtedy żadnego znaczenia. Rewolucja światowa była ważniejsza. Moskwa śniła od zawsze o dostępie do ciepłych mórz. Nareszcie pojawiła się taka szansa. Marszałek Breżniew zasypał więc Irak bronią: czołgi, Mig, helikoptery, rakiety, a nawet, pierwszy raz poza granicami ZSSR, Tupolewy 22 i Suchoi 25. Wynik: po stronie Iraku — największa potęga w tej części świata; po stronie ZSSR — 2,5 miliarda dolarów oraz zaawansowane pozycje strategiczne.

Któż nie pamięta serdecznych uścisków między Sergem Dassault (ojciec nazywał się w młodości Bloch), producentem francuskich Mirage'ów, a Saddamem? Wszystko się nadzwyczajnie ułożyło. Francuskie sumienie było wyjątkowo nieskalane, albowiem de Gaulle uznał, że po wojnie sześciodniowej Izrael jest „pewny siebie i się wywyższa”, więc można zbroić jego wrogów. Moralne zastrzeżenia upadły i Francja też załała Irak bronią. Kogo tam nie było? Wszyscy byli, od gaullisty Chiraca do socjalisty Chevènement, poprzez centrystę Barre'a. I czego tam nie było: samoloty, helikoptery, rakiety Exoset, no i znany nam już Ozyrys. Reszta świata już stała w kolejce: Brazylia, Chiny, Afryka Południowa, Jugosławia, Austria, no i wszystkie chyba kraje świetlanej przyszłości z Europy wschodniej.

Wszyscy pocieszali się: a) nadzieją, że Saddam zapłaci *cash*, albo naftą; b) myślą, że broń ta służyć będzie do poskromienia oszalałych ajatollów z Teheranu.

Nikt nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy.

Ani kiedy już po wojnie z Iranem Saddam Hussein nie zdemobilizował wojska, a wprost przeciwnie.

Ani kiedy zaczął grozić wypaleniem połowy Izraela.

Ani kiedy zaczął denuncjować groźbę, jaka dla bezpieczeństwa Iraku płynęła rzekomo nie tylko z naftowej polityki, ale z nielegalnego — według niego — samego istnienia Kuwejtu.

Ani kiedy Saddam ogłosił, że granice Kuwejtu są „historyczną niesprawiedliwością”, bo zostały narzucone przez brytyjską dekolonizację (zapomniał dodać, że to samo dotyczy granic i powstania Iraku).

Ani kiedy odkryto, że niezależnie od dostaw, że tak powiem, oficjalnych, Irak zorganizował na kolosalną skalę przemysł sprzętu wojskowego w ogóle, a części do jakiegoś superdziała w szczególności. Nie wiadomo było nawet dokładnie do jakiego działa. Ciągłe nie wiadomo, mimo że zrodziły się poważne podejrzenia, kiedy konstruktor tego działa, kanadyjski inżynier Gerald Bull, zastrzelony został w „niewyjaśnionych okolicznościach” w Brukseli.

Ani kiedy powieści korespondenta londyńskiego *Observera*, który nieostrożnie zapędził się w okolice bazy pod Bassors, chyba centrum przygotowań do inwazji Kuwejtu.

Czy ktoś wtedy przestał traktować Irak Saddama Husseina jak każde inne zwykle państwo, czy ktoś przerwał wtedy dostawy broni dla Iraku, czy ktoś zastanowił się nad przeznaczeniem tego kolosalnego arsenału? Dziś już wiadomo o co chodziło. Ale dziś jest za późno. Trzeba płacić.

Czy ktoś wtedy zastanowił się nad tym, kim jest Saddam Hussein? Nikt. Dziś już wiadomo, Ale tu także jest już za późno. Ta spóźniona znajomość jest wyjątkowo kosztowna.

On sam, Saddam, uważa się skromnie za Nabuchodonozora. Dał się nawet z nim razem „sfotografować” na jednym afiszu. To wyjątkowe zdjęcie, bo obie postacie dzieli jakieś 2,5 tysiąca lat. Król Mezopotamii Nabuchodonozor uczynił z Babilonu największe miasto świata, ale przede wszystkim zdobył Jerozolimę i uprowadził do Babilonu króla Judy, Joakima i wielu potomków znakomitych rodów żydowskich. Czyli zrobił to, o czym marzy jego następca Saddam, któremu — jak na razie — z całego dorobku Nabuchodonozora udało się jedynie wziąć zakładników i to nie z Jerozolimy.

Niektórzy znawcy porównują go z Hitlerem. Istotnie zachodzi tu wiele analogii. *Blitzkrieg* na Kuwejt, zdradziecka napaść i aneksja przypominają lata 30-te, a zwłaszcza wrzesień 1939. Branie zakładników także stanowi specjalność obu Führerów. Palenie Kurdów nasuwa krematoryjne wspomnienia. No i specyficzny stosunek do Żydów też łączy obie te postacie. Także zapowiedź powołania specjalnego trybunału międzynarodowego dla sądenia zbrodniarzy wojennych, za jakich kiedyś świat uzna Saddama i jego zbirów, coś nam przypomina. Bez żadnych aluzji warto jednak w tym miejscu przypomnieć, że na liście winnych w Norymberdze znaleźli się także producenci i dostawcy broni. I gazu.

Inni wolą porównywać Saddama do Stalina. *Toż krasiwio*. Także nie bez racji. Jak Stalin, Saddam likwidował świadków i wykonawców swoich zbrodni. Np. znany nam już Kzar, który wykonywał najbrudniejszą robotę za Saddama, nie tylko w odniesieniu do opozycjonistów i Kurdów, ale także Żydów (to on zorganizował i dyrygował masowym wieszaniem Żydów na centralnym placu w Bagdadzie w 1969 roku), sam został rozwalony przez Saddama w 1972 roku. Dokładnie jak oprawcy stalinowscy po zamordowaniu Kirowa czy masakrze katyńskiej. Ale nagły zwrot i pojednanie się z Teheranem, w wojnie z którym w ciągu ośmiu lat Saddam posłał do raju ponad milion muzułmanów, czyż nie jest doskonałym odtworzeniem paktu Hitler-Stalin z 1939 roku? A propaganda? Różnica polega na zasięgu mediów, telewizja jest szybsza i planetarna, ale Saddam głośzący dziecko angielskie przed kamerą CNN, czyż to nie słynny film ze Stalinem unoszącym w ramionach, chyba na trybunie zjazdu kompartii, kazachską dziewczynkę? A poputczyki? Były kolaborant Hitlera, teraz kolaborant i gość Saddama, niejaki Waldheim, czyż nie jest to postać z kategorii zachodnich gości Gorkiego zwiedzających gułag i wystawiających Stalinowi świadectwo moralności? Może dziś już Havel rozumie, że Waldheim nie wziął jego lekcji moralności na poważnie i że zamiast jechać do Salzburga, Havel — tak jak Bush — powinien był zamknąć drzwi przed Waldheimem, a na pewno nie

ściskać mu dłoń przed telewizjami całego świata.

Ktoś inny jeszcze porównał Saddama z Ceausescu. I tu nie brak racji. Umiłowanie luksusu (właśnie buduje sobie pałac na miarę Nabuchodonozora i Ceausescu: marmur portugalski, dekoratorzy belgijscy), likwidowanie opozycji, groteskowe powoływanie się na rodowód w historii (Ceausescu wywodził Rumunów z Daków, a siebie samego od Stefana Wielkiego i rozmaitych bałkańskich drakuli), ale najbardziej ich zbliża mafijność struktury władzy. Tak jak Ceausescu oddał władzę w ręce rodziny i ziomków z tej samej rodzinnej wiochy i powiatu, tak Saddam otoczył się przede wszystkim własną rodziną, a także jego ziomkami, mafią i klanem ludzi pochodzących z miasteczka Takrit i jego okolic. To tam właśnie, 150 km na północny zachód od Bagdadu, urodził się nowoczesny Saladyń (do którego też zresztą Saddam się przyznaje i który się też w Takrit, nieco wcześniej, urodził). To klan z Takrit obsadził wojsko, bezpieczeństwo i propagandę. Zupełnie jak w Bukareszcie: szwagier jest ministrem obrony, brat przyrodni — szefem bezpieczeństwa i szpiegostwa, itd. Nie wiadomo czy Saddama spotka taki sam koniec jaki spotkał Ceausescu. Ale Saddam — jak się okazuje — jest nie wiadomo dlaczego wyjątkowo wrażliwy akurat na analogie rumuńskie. Jeszcze przed inwazją, po ostatnim raporcie Amnesty International o prawach człowieka, Voice of America porównał Saddama i Ceausescu. Saddam się obraził i zrugął ambasadora USA. Rząd amerykański natychmiast go naturalnie przeprosił. Dziś ma nadzieję, że losy obu tyranów będą jednak podobne...

Pierwowzórów więc nie brak. Wybór jest duży. Ja mam inną, własną propozycję. Proponuję Frankenstein. Skonsultowałem najlepsze źródło, to znaczy „Słownik mitów i tradycji kultury” Kopalińskiego i nabrałem pewności siebie. Frankenstein to tytułowy bohater powieści „Frankenstein, czyli Nowoczesny Prometeusz” napisanej przez Mary Shelley (drugą żonę angielskiego poety). Książka wyszła w roku 1818. Opisuje losy Frankenstein, genewskiego studenta, który zdobył sekret ożywiania materii martwej. Ze zwłok branych z cmentarza tworzy potwora, który czuje się nieszczęśliwy i samotny, i mści się na swoim stwórcy popełniając szereg okropnych zbrodni. W końcu odbiera sobie życie. I świat oddycha.

Mrs. Shelley napisała książkę z nudów po nieudanym urlopie w Szwajcarii. Losy książki, zwłaszcza w wersji filmowej (któż z mojego pokolenia nie pamięta Borysa Karloffa) potoczyły się dziwnie, albowiem nazwisko Frankenstein zaczęło oznaczać, i do dziś oznacza, potwora, a nie jego twórcę.

Mniejsza, niech tak zostanie, mnie to odpowiada. To świat stworzył Saddama Frankenstein. Francuzi chcieli mu dać reak-

tor atomowy, Rosjanie i Francuzi dali mu rakiety i samoloty, Niemcy z obu stron muru, bez żadnych wówczas istniejących różnic ideologicznych, dali mu fabryki gazów trujących (Libii, przypominam w tym miejscu, także dali Amerykanie, a jakże, oni także, dali mu sporo technologii wojskowej, cały Wschód szkolił, a potem wspomagał terrorystów. Austria i Europa zachodnia w ogóle torowały drogę na salony Arafatowi, który dziś jest najbardziej bezwarunkowym sojusznikiem Saddama (i który będzie kierować państwem palestyńskim, jeżeli to on zostanie jego szefem, tak jak Saddam rządzi Irakiem), cały świat udzielał gospodarczej pomocy, tak aby tyran rósł w potęgę. No i wyrósł.

Kopaliński informuje, że film o Frankensteinie miał tak szalone powodzenie, iż firma Universal postanowiła nakręcić drugą część. Producent doszedł był do wniosku, iż uśmiercenie potwora w pierwszej części było handlowym szaleństwem i spokojnie przywrócił Frankensteinowi do życia, dodając mu, dla okraszy, powabną narzeczoną. Wcale nie wykluczone, że pod wpływem Saddama powstanie jeszcze trzecia część, już z żoną, no i dziećmi, któreśmy oglądali w telewizji.

Nie wiem, czy Saddam Frankenstein także czuje się samotny i nieszczęśliwy, ale świat powinien pomóc mu w samobójstwie i nie wskrzeszać go, nawet dla, najważniejszych w naszym pragmatycznym świecie, celów handlowych. Czas gra dla Saddama: impas polityczny nie może trwać wiecznie, pobyt wojsk amerykańskich na pustyni nie może trwać długo, coraz mniej ludzi będzie uważać, że warto umierać za Kuwejt, embargo będzie coraz mniej skuteczne, sowiecka lojalność wobec Zachodu coraz bardziej chwiejna. Gorbaczow będzie coraz mniej wieczny.

Wiem, że żadna inwazja w całej nowożytnej historii nie potrafiła się długo utrzymać. Ale co to znaczy długo? Jak to liczyć? Czy zabory trwały długo? A okupacja hitlerowska? A „przyjaźń” z ZSSR? Wiadomo, choć też to trudno obliczyć, że zrzucanie pęt kosztowało miliony ludzkich istnień i lata zacofania. Jeżeli więc w końcu Saddamowi uda się przeżyć i utrzymać — powtarzam — choćby niewielką korzyść z aneksji Kuwejtu, to nie on i nie Irak, a świat popęlni samobójstwo. Ale to już nie będzie na ekranie, a w życiu. Nie na niby, a naprawdę. A na Sądzie Ostatecznym proszę pamiętać, że ja byłem przeciw...

Leopold UNGER

Pisane 13 września 1990

I co dalej?

Czerwiec 1990. Johannesburg — serce rewolucyjnej klasy robotniczej Afryki Południowej (tu w ogromnej większości czarnoskórej). I cóż to znaczy? W biednych dzielnicach nadal biednie, w brzydkich brzydtko, w bogatych bogato, w czarnych czarno, tylko w białych już nie tak biało!

Gdzieś w Welkom wybucha bomba, ale w nocy i w biurach. W Meyerton fabrykę kafli pładruje własna załoga, żądając podwyżki płac. W Soweto i Aleksandrze uczniowie szkół średnich strajkują domagając się od Departamentu Szkolnictwa i Nauki nowych podręczników i ławek, w szkołach które sami zniszczyli. Rząd odwołuje trwający od kilku lat stan wyjątkowy. Zadowolenie z tego powodu wyrażają w TV biali, czarni oraz przywódcy różnych partii i organizacji. W prowincji Natal w walkach klanowych Zulusów tudzież walkach plemiennych — Zulusi z „Inkhata” versus Xosa z UDF (Zjednoczony Front Demokratyczny) — ginie ponownie kilkuset ludzi. Były sekretarz generalny „Inkhata”, dr O. Dhlomo, mówi: „W tym momencie naszej historii potrzebujemy zgody pomiędzy wszystkimi partiami i organizacjami”. Bantustany deklarują chęć włączenia się w państwo RPA. Nelson Mandela w podróży po Europie, USA i Afryce nawołuje do utrzymania sankcji ekonomicznych przeciwko Republice Południowej Afryki. Nikt jednak nie jest już przekonany o konieczności i skuteczności takiej taktyki. 14 grudnia 1989 Zgromadzenie Ogólne ONZ uchwaliło deklarację, nawołującą do położenia kresu *apartheidowi* drogą rozmów. Do Południowej Afryki przylatuje grupa ekspertów ONZ-u celem zebrania informacji o posunięciach mających zakończyć *apartheid*. Minister Konstytucyjnego Rozwoju i Planowania, dr G. Viljoen, wyznaje: „*Apartheid* nie jest dłużej teorią, której powinno się dać szansę. Tę szansę miał i egzaminu nie zdał”.

Afryka jest najbiedniejszą częścią świata. Jest także miejscem, gdzie narodził się człowiek — przodek nowoczesnego *homo genus*.

Republika Południowej Afryki jest cudem gospodarczym kontynentu afrykańskiego i najbardziej krytykowanym państwem afrykańskim.

Czy istnieje naród południowo-afrykański? Nie. Południowa Afryka to mozaika: cztery rasy, dwanaście narodów, trzy tysiące plemion, osiemset języków. Najliczniejsi są Zulusi — siedem

milionów, następnie biali — pięć i pół miliona, potem Xosa — cztery miliony. Jest także dwa miliony mieszkańców, milion Hindusów, są Chińczycy, Malajczycy. W jednym kraju cały świat! I nikt tu nie jest obcy, ale też nikt nie może rościć sobie wyłącznych praw do tej ziemi. Wszyscy są przybyszami, którzy dawno utracili więź ze swoim pierwotnym terytorium i macierzystym szczeblem. Afrykanerzy też stali się plemieniem Afryki, o własnym języku i folklorze. W RPA nie ma walk niepodległościowych, które wstrząsają światem — tu toczy się walka klasowa, walka o równe szanse we własnym kraju. *Apartheid* zniknie dopiero wtedy, gdy biały uzna za równego sobie czarnego, będącego na tym samym co on poziomie umysłowym.

Pięć lat temu rządząca Partia Narodowa zdecydowała — wobec upadku *apartheid'u* — że jej naczelnym zadaniem nie jest obrona przywilejów Afrykanera, lecz ochrona cywilizacyjnych wartości państwa. Dlatego cały obecny wysiłek rządu skierowany jest na przesunięcie punktu ciężkości i rasowości na jakość rządu i na rozszerzenie demokracji, poprzez włączenie czarnoskórych współziomków do społeczeństwa na jednakowych prawach obywatelskich.

Za cztery lata Rząd Narodowy ma przedstawić propozycję nowej konstytucji, co do której społeczeństwo wypowie się w referendum. Patriotyzm, tożsamość narodowa, poczucie wspólnoty narodowej — wartości tak potrzebne przy budowie odpowiedzialnego za całość państwa rządu — istnieją częściowo. Bo komu zależy na Południowej Afryce jako kraju?

Ann Sandenberg, ekonomistka z Santon, mówi: „Na pewno zależy wyższej klasie i partiom postępowym. Konserwatyści natomiast potrzebują RPA jedynie dla zachowania swej rasy i kontynuowania sposobu życia. Czarni z kolei myślą tylko o sobie i władzy, bowiem koncept narodu nie istnieje w tradycji Afrykańczyka z południa Afryki. Państwo jest dla niego opresorem, a jego rękami są biali i wszyscy inni przedstawiciele państwa. Afrykańczyk przywiązany jest do ziemi, na której żyje i której pragnie, a nie do państwa czy kraju. Zmiany systemowe oznaczają dla niego szansę zdobycia tego, czego zawsze pożądał”.

Wielu ludzi nadal opuszcza Południową Afrykę, zwykle jednak z myślą o powrocie, gdy czas przemian się skończy. Wierzą, że wówczas ich kraj będzie rajem ekonomicznym świata. Licznie powracają emigranci sprzed paru lat, gdyż „nigdzie tak dobrze się nie żyje, jak tu” — mówią. Przybywają nowi, w tym i Polacy (w czerwcu 1990 r. pięćdziesiąt polskich rodzin sponadził ISCOR*). 11 lutego, po 27 latach nieobecności, odzyskał wolność były przywódca zbrojnego skrzydła ANC, Nelson Man-

* ISCOR — stalownia RPA.

dela. Dwa lata przygotowywał się do tego dnia: żył w wygodnej willi, gdzie leczył gruźlicę pod okiem lekarza, miał służbę, przyjmował dziennikarzy, bezpośrednia linia telefoniczna łączyła go z siedzibą ANC w Lusace, prowadził rozmowy z rządem RPA.

Fano Diakonos, właściciel rzeźni w Durbanie, mówi: „De Klerk zrobił z Nelsona Mandeli zwyczajnego człowieka. Inni prezydenci RPA przekształcili go w symbol, trzymając go tyle lat w więzieniu. Z chwilą uwolnienia Mandela przestał być symbolem. Zakłopotał ANC, które wolało go w więzieniu, gdzie uosabiał wszystkie żądania organizacji. Rząd RPA uwalniając Mandelę zapobiegł jego śmierci w więzieniu, a tym samym uczynienia żeń męczennika. To stary schorowany człowiek. Zbyt długo przebywał poza rzeczywistością, by mógł kontrolować Afrykańczyków. Dla świata jest głosem, którego się słucha, lecz siła i decyzja należą już do młodszych. Nie liczy się bowiem także Oliver Tambo, umierający na raka przywódca ANC. U siebie Mandela nie jest ważny i nie jest już popularny. Nie ma recepty na dylemat południowoafrykański, czym rozczarował młodych — zarówno białych, jak czarnych, którzy swoje niezadowolone okazały w dniu 17 marca, ignorując koncert muzyki rozrywkowej, którego honorowym gościem był właśnie Mandela. Zwykle na owe *Pop Music Show* przychodzi ze 100.000 młodziarzy, głównie czarnej; owego dnia doliczono się zaledwie 10.000. ANC pomniejszyło jego rolę, ofiarując mu funkcję wiceprezydenta. Widzę Mandelę w roli pośrednika pomiędzy ANC a rządem RPA. Klucz jednak jest w rękach młodszych. Mandela nie pochodzi z wyboru mas i masy za nim nie pójdą. Jest wielkim człowiekiem i dobrym politykiem, który zdaje sobie sprawę, że nastął czas negocjacji z białymi. Według mnie fakt, że nawołuje do nacjonalizacji, gdy cała Europa Wschodnia i ZSSR krzyczą NIE!, jest tylko ustępstwem na użytek mas. Mandela wie doskonale, że nacjonalizacja równałaby się katastrofie gospodarczej kraju. Myślę, iż wódz Buthelezi zostanie wykorzystany przez rząd, z uwagi na jego przekonanie, że bez współpracy z białymi nie da się rządzić tym krajem”. Podobne zdania słyszy się często.

Nelson Mandela podkreśla potrzebę jedności czarnych, która ma ułatwić nacisk polityczny. W praktyce jedność nie jest jeszcze możliwa, gdyż konflikty pomiędzy plemionami, czy nawet klanami, są bardzo stare i głębokie. Dlatego też tak trudna jest sprawa głosowania. System: jeden człowiek — jeden głos nie jest możliwy ani obecnie, ani w najbliższej przyszłości, z uwagi na bezpieczeństwo i dobrobyt kraju. Głosowanie bowiem odbywać się będzie z pozycji rewanżu, a nie przydatności dla państwa. John Leburu, czarny nauczyciel ze Swaziland'u, mówi, że: „takie głosowanie zaostrzy walki plemienne.

ANC i UDF są opanowane przez plemię Xosa, które pragnie władzy, ale nigdy nie stworzyło państwa. Zulusi mieli swe państwo i nie uznają władzy Xosa. Skończy się wówczas wszystko na systemie jednopartyjnym”. Niektórzy dopuszczają taką możliwość prawa wyborczego, ale pod warunkiem, że czarni się połączą i będzie im zależało na RPA jako na ich kraju, a nie jedynie na władzy. W 1984 roku rząd RPA zaakceptował postulat głoszący, że wszyscy Południowoafrykańczycy powinni brać udział w zarządzaniu krajem. Ówczesny prezydent, Botha, powołał komisję do utworzenia izby czarnej reprezentacji. Przeciwnicy rządu spowodowali odrzucenie tego planu. Utworzono wówczas trzyizbowy system sprawowania władzy z udziałem Hindusów i Metysów. Dziś ta sama opozycja — konserwatyści i AWB (Afrykański Ruch Oporu) — robi wszystko, co możliwe, by oddalić czas nieuniknionych zmian. Próbują rozbić rządzącą Partię Narodową, osamotnić De Klerk'a. Wierzą w raporty przewidujące zdziętkowanie ludności murzyńskiej przez AIDS jeszcze przed końcem obecnej dekady. Zaopatrują się w broń, głosząc, że będą walczyć do ostatniej kropli krwi. Prasa i TV coraz częściej donoszą o konfiskacie amunicji i aresztowaniu jej białych właścicieli (wypuszczanych za wysoką grzywną). Ich „Czarnym” odpowiednikiem jest PAC (Panafrykański Kongres), który uważa, że dla białych nie ma miejsca w Południowej Afryce.

Jan Aukema, biznesmen z Johannesburga uważa, że: „PAC, przeciwny wszelkim ustępstwom i pragnący całej władzy dla czarnych, ma sporo zwolenników wśród młodzieży miejskiej. Przywódcy PAC starają się prowokować, urządzając masowe demonstracje, które kończą się zwykle plądrowaniem sklepów i podpalaniem domów. Oczywiście policja musi interweniować — są zabici i ranni. To może spowodować załamanie się rozmów. AWB (nazywana przez anglojęzycznych białych *Afrikaners Without Brain*) jest drugim zagrożeniem rozmów”. Jest to partia dość liczna. Niedawny jej wiec pod pomnikiem Voortreker zgromadził 130.000 osób. Robią wiele hałasu, co wykorzystują niektórzy dziennikarze, żądając bardzo wysokich honorariów za swoje artykuły. Jednakże nie obawia się białych, ani nie widzi niczego dobrego dla czarnych z walki z białymi. Nie sądzi, by w razie potrzeby De Klerk zawałał się przed użyciem wojska dla poskromienia tak białej prawicy, jak i czarnej lewicy.

Biali ekstremiści obawiają się czarnych dlatego, że nie mają pewności, czy będą w stanie rywalizować z nimi na wolnym rynku ekonomicznym. Ubodzy czarni i biali będą się ubiegać o te same prace z powodu tego samego niewysokiego poziomu wykształcenia. Przykładem może być zawód kierowcy ciężarówek, kasjerki. Natomiast ludzie z wyższym wykształceniem,

lekarze, prawnicy, architekci, księgowi etc. nie będą sobie wrogami. Biała prawica to przede wszystkim niższa klasa społeczna. Równouprawienie obywatelskie sprawia, że tracą poczucie wyższości. Nade wszystko jednak tracą dużą część swojego majątku. Coraz więcej dzielnic Johannesburga i innych miast, zamieszkałych przez średnią klasę białych, otrzymuje status tzw. *grey area*, co w praktyce oznacza teren dostępny dla mieszkańców wszystkich ras, w tym i czarnej. Dom, który kosztował wczoraj 150.000 randów, dziś, z racji *grey area*, ma wartość o połowę niższą.

Prezydent De Klerk ma przede wszystkim dwa problemy: 1) jeżeli pójdzie w zmianach za szybko — straci głosy prawicy, 2) jeśli zbyt wolno — straci głosy lewicy.

Jan du Plessis, farmer, mówi: „Biały reżim południowoafrykański jest nadal bardzo silny: wielka, świetnie wyćwiczona armia, nowoczesne czołgi, doskonała policja. Stosuje niejako 'pół-liberalną rękę', ale jest czujny. Zmian całkowitych oczekuję w przeciągu pięciu lat. Znam Murzynów mego kraju dobrze. To inteligentni, rozpolitykowani ludzie. Doskonale wiedzą, co Kaunda w Zambii i Mugabe w Zimbabwie zrobili ze swych krajów. Oni tego nie chcą. Większość jest za zachodnim stylem ekonomii. W RPA konfrontacja pomiędzy białymi i czarnymi nigdy nie była tego typu, co choćby w sąsiednim Zimbabwie. Tu są walki plemienne i klanowe na tle rywalizacji, zazdrości i przeszłości. Murzyni wiedzą dobrze, że najlepszym rozwiązaniem byłby rząd koalicyjny. Wiedzą także, iż nie są w stanie zapewnić wysoko wykwalifikowanej kadry technicznej. Nie obawiam się triumfu ANC w wyborach. Nie jest już popularną organizacją w RPA. Również Nelson Mandela jest tylko mitem. Przeciwnikiem ANC jest wielka czarna klasa średnia, która nie jest zainteresowana w komunizmie ani socjalizmie. Bo fakt, że stali się zamożnymi nawet w *apartheidzie*, świadczy o ich nieprzeciętnej inteligencji. Nie chcą też stracić swego dorobku. Inni przeciwnicy to Zulusi, Ndebele, Tswana, Północni Soto — w sumie 10 mln ludzi, odwiecznych wrogów dominującego w ANC i UDF plemienia Xosa; także potężny, liczący około 5 mln członków, kościół zionistów i około 2 mln mieszanców (zwanych tutaj kolorowymi), z których większość mówi w domu językiem afrikaans i uważa się za lepszych od Murzynów. Ludzie chcą stabilizacji i w sumie nie jest to sprawa rasy, ale jakości przyszłego rządu. Bo gdy załamuje się jakość rządu, załamuje się i gospodarka, wraz z nimi jakość życia, niszczy dorobek pokoleń”.

Cała obecna strategia Rządu Narodowego polega na rozpoznaniu ryzyka, które należy podjąć, by zapobiec niebezpieczeństwu. Tym ryzykiem są w obecnej chwili zalegalizowane organizacje i ich wypuszczeni na wolność przywódcy, którzy by

może nie będą w stanie zmienić starej taktyki zbrojnego terronu na rozmowy przy stole.

Również Burowie chcą walczyć — do ostatka! — o ile zmiany okażą się zbyt wielkie.

Pesymiści uważają, że Południowa Afryka nie będzie bezpiecznym krajem w ciągu najbliższych 10-ciu lat. Spodziewają się rozlewu krwi, dopuszczają możliwość wojny domowej, a nawet puczu wojskowego. Twierdzą, że toczące się w miastach murzyńskich walki są nie tylko prowokacją PAC czy UDF, ale i policji, której zależy na wykazaniu nieodpowiedzialności Afrykańczyków, bowiem „policja i wojsko to konserwatyści”. Przewidują akcje ekstremistów; z jednej strony AWB i Partii Konserwatywnej, z drugiej — PAC, anty-białej, skrajnie radykalnej. Uważają, iż przyszłość RPA zależy w dużej mierze od poparcia USA i całej Europy dla polityki de Klerka. Mówią, że „jeżeli reformy nie dadzą spodziewanych rezultatów w postaci zniesienia sankcji i pewnego choćby poparcia państw europejskich, większość białych zdecyduje się na walkę. Mają jeszcze siłę i środki na to, by stłumić każdy bunt murzyński, który obecnie nie uzyska poparcia ZSSR”.

Zdając sobie sprawę z upadku *apartheidu*, wobec którego jedynym rozsądnym posunięciem jest dojście do porozumienia z czarnymi przywódcami, większość nieczarnej ludności RPA akceptuje zmiany systemu. Niemniej widzą w tym zło konieczne. Andrzej, jeden z nowych polskich emigrantów, zauważył, że: „Gdy się żyje wewnątrz RPA, nie odczuwa się niepokoju. Ludzie — wszystkich barw skóry — są dla siebie grzeczni, uprzejmi. Radio i TV starają się tak podawać wiadomości, by każdą niepomyślną wiadomość równoważyła optymistyczna”.

Minister G. Viljoen dodał: „Myślę, że wielu ludzi nie jest w stanie pojąć głębi przemian dokonujących się w naszym kraju. Ryzyko jest wielkie. Ale musi się powieść. Wierzę, że w końcu wszystkie grupy ludności, łącznie z białą, będą czuły, że warto i można tutaj żyć”.

Małgorzata DZIEWIĘCKA

Maun, czerwiec 1990.

List z Londynu (20)

Niepisana, oparta na doświadczeniach, brytyjska konstytucja daje premierowi bardzo szerokie uprawnienia. Ma on przez siebie wyselekcjonowany rząd, ale każdego ministra może w każdej chwili zmienić, posiada więc w rządzie konieczną do rządzenia większość i może — prawie samodzielnie — przeprowadzać w kraju zmiany w zgodzie ze swoją wizją polityczną.

Do najważniejszych przywilejów premiera należy wybór dnia, w którym odbędą się powszechne wybory. Kadencja parlamentu trwa 5 lat i tego okresu przekroczyć nie można, ale każdy wcześniejszy termin zależy wyłącznie od premiera. Może wybrać miesiąc, w którym popularność rządu jest największa, albo raczej niepopularność najmniejsza, bo tak prawie zawsze jest. By naprawdę rządzić, trzeba ściągać podatki, przeprowadzać przez parlament niepopularne uchwały, czasem wysyłać nawet żołnierzy na pozornie niepotrzebne wojny i tak dalej. Opozycja krytykuje wszystko, nawet z dobrobytu zrobiono tutaj argument przeciwko rządowi.

Trzecia kadencja rządów Margaret Thatcher to rekord niebywały. Brytyjczycy tego nie lubią i choćby z tego tylko powodu konserwatyści powinni przegrać wybory, które odbędą się w przyszłym roku. Znosi się na to, bo we wszystkich ankietach Partia Pracy ma przewagę kilkunastu punktów. Najbardziej popularnym polem ataków była i jest sprawa podatków komunalnych od posiadanych nieruchomości. Dotychczas płaciło się na podstawie wyceny domu, teraz płaci się od mieszkających w nim dorosłych ludzi. Pozornie nowy system jest sprawiedliwszy, w praktyce uderza w biedniejszych, bo oni najęściej zaludniają własne domy i mieszkania.

Bardzo czułym politycznym problemem jest jednocząca się Europa, a w jej ramach przede wszystkim Niemcy i Francuzi. Opozycja czai się na błąd premiera i ostro ją zaatakowano, gdy w Bruges wypowiedziała się przeciwko zwolennikom zjednoczonej Europy, bo oznacza to ograniczenie brytyjskiej suwerenności.

Jednak ten atak nie był aż tak brutalny jak zwykle, a wyglądał zupełnie blado, gdy szereg miesięcy później znacznie ostrzej wystąpił członek gabinetu, Nicholas Ridley.

Ten zupełnie się wściekł, przyrównując dzisiejszych niemieckich przywódców do Hitlera, a Francuzów do ich wiernych pudli. Musiał z gabinetu ustąpić, skarcono formę jego wypowiedzi, ale większość poważnej prasy zdecydowanie go poparła. „Obudził brytyjską opinię publiczną”... „W zjednoczonej Europie Wielka Brytania straci swą suwerenność i niepodległość”.

Ridley jest bliskim przyjacielem Margaret Thatcher i podziela jej poglądy, czyżby powiedział to, na co ona nie mogła sobie poz-

wolić? Chyba tak, bo — niezależnie od poglądów — jest ona dobrym taktikiem politycznym i wie, że każda uwaga o zagrożonej suwerenności trafi na przychylny grunt wśród szerokich mas społeczeństwa. I tak się stało. Podrażnienie europejskich sojuszników, ustąpienie ministra i krótki kryzys gabinetowy nie zaszkodziły konserwatystom. Odwrotnie. Podskoczyli o kilka punktów w opinii publicznej.

Natomiast w jednej sprawie tutejsi politycy są jednomyślni: agresja Iraku. Rząd natychmiast zareagował na amerykańskie szybkie wystąpienie, poparł prezydenta Busha i wysłał na Bliski Wschód jednostki lotnictwa i kilka okrętów. Dziś Amerykanie są „policjantami świata”, ale przecież jeszcze kilka lat po ostatniej wojnie rolę tę spełniało Brytyjskie Imperium.

W życiu politycznym na całym świecie wysokie stanowiska są wykorzystywane dla własnych celów i Wielka Brytania, choć bogata i zasobna, nie jest od tego wolna. Ostatnio Partia Pracy słusznie oskarżyła Partię Konserwatystów, że jej ministrowie najpierw pracują nad zdenacjonalizowaniem różnych gałęzi przemysłu, a później ustępują z gabinetu i w tych, prywatnych już, przedsiębiorstwach obejmują doskonałe płatne, dyrektorskie stanowiska. Tak postąpił Peter Walker, który był w swoim czasie ministrem od spraw środków napędowych, a został dyrektorem Brytyjskiego Gazu. Norman Tebbit, były minister przemysłu, objął dyrektorstwo Telekomunikacji, a Sir Norman Fowler, który był ministrem transportu, dołączył do prywatnego już przedsiębiorstwa.

Jednak natychmiast przypomniano, że Partia Pracy nie jest lepsza. Jej przywódca i premier, Harold Wilson, który nagle, bez podania powodu, ustąpił z premierostwa w roku 1976, przed odejściem załatwił dla swej sekretarki i przyjaciółki tytuł Damy i członkostwo Izby Lordów. James Callaghan, ostatni socjalistyczny premier przed panią Thatcher, wyciągnął swego zięcia z telewizji i zrobił go brytyjskim ambasadorem w Waszyngtonie, najpoważniejszym dyplomatycznym miejscem na świecie.

W roku 1984 Arthur Scargill, przywódca Związku Górników, ogłosił strajk generalny i spodziewał się, że zniszczy ustrój społeczny i polityczny swego kraju. Demagog i komunista, wcale nie krył się ze swymi planami. Na jego zebraniu inny komunista, ówczesny prezes związków zawodowych, zwrócił się do policjantów: „Bracia, porzućcie tę pracę, gdy my uchwycimy władzę, powierzymy wam ochronę naszych interesów we właściwy sposób, a nie w roli faszystów, jak to się wam nakazuje obecnie”.

Przez cały kraj przeszła fala niepokojów, strajk trwał, sowiecka

telewizja pokazywała masowe starcia policji ze strajkującymi, ale rząd się nie ugiął. Miał zawczasu przygotowane zapasy węgla, wytrzymał i po roku strajkujący przegrali. Doszło do rozbicia, powstał osobny Demokratyczny Związek Górników, liczący ponad 20.000 członków, z nim nawiązała współpracę Rada Węgla, liczba górników Scargilla skurczyła się do 58.000.

Jego kontakty z Libią, jego apel do górników sowieckich i otrzymanie od nich miliona funtów, jego nawoływanie do przewrotu społecznego, wszystko to lawirowało na granicy zdrady własnego kraju, ale rząd nie reagował. Z typowym brytyjskim spokojem czekał na rozwój wypadków.

Minęło kilka lat i sprawa powróciła na pierwsze strony wielkich dzienników. W międzyczasie badano gdzie, w jakich krajach Scargill ma ukryte konta bankowe. Wyłonił się polonik, bo jedno z kont odkryto w Narodowym Banku Polskim, powołano specjalną komisję sędziego Gavina Lightmana, która miała zbadać, co stało się z milionami funtów.

Odkrycia były zaskakujące. Okazało się, że ponad milion funtów od sowieckich związków zawodowych, przeznaczony dla najbardziej uderzonych strajkiem górniczych rodzin, nigdy do nich nie dotarł. Pieniądze te miały jakoby wpłynąć do Międzynarodowej Organizacji Górników w Paryżu, której Scargill także jest prezydentem. On i jego zastępca mieli z zebranych sum otrzymać pożyczki na własne domy.

Dotychczas, na kongresach, Scargill potrafił się obronić, ale tym razem nawet dla jego najbliższych przyjaciół tego wszystkiego było już za wiele. Specjalna konferencja zajmie się całą aferą, a Związek Górników już przygotował sądowy wniosek przeciwko swemu przywódcy, zmierzający do odebrania mu prawa do dysponowania pochowanymi pieniędzmi.

W tym samym czasie na przeciwnym biegunie kapitalistycznego świata rozegrał się finał sprawy, która od trzech lat wstrząsała londyńską City. W roku 1987 odkryto, że dyrektor olbrzymiej firmy Guinness, chcąc wykupić szkockich producentów whisky (*distillers*) sztucznie, przekupstwami, podniósł wartość firmowych akcji.

City korzysta z olbrzymich przywilejów, tam znajduje się jedna z największych giełd świata; kto jest wtajemniczony, ten może w ciągu kilkunastu godzin, nawet bez kapitału, zrobić majątek, ale czystość operacji jest podstawą i gwarancją całego systemu. Dyrektor Guinnessa, Ernest Saunders, który jako dziecko przyjechał do Londynu z Wiednia i nazywał się inaczej, został wyrzucony, kilku innych milionerów, wmieszanych w spis, których łapówki wyniosły po kilka milionów, znalazło się w stanie oskarżenia.

Przetrząsnięto wiele bankowych kont, przesłuchano setki świadków, sam tylko przewod sądowy przed ławą przysięgłych trwał 112

dni i kosztował 25 milionów funtów, i ostatecznie zapadły wyroki. Saunders dostał 5 lat więzienia, Anthony Parnes, makler giełdowy, 2 i pół roku, a Gerald Ronson, dyrektor wmieszanej w aferę firmy, 1 rok i 5 milionów funtów grzywny. Czwarty oskarżony, Sir Jack Lyons, z powodu ciężkiej operacji zostanie osądzony kilka tygodni później. Każdy z winnych zapłaci 440 tysięcy funtów kosztów.

Takiej sprawy, przeprowadzonej w obronie kapitalistycznego stylu zachodniego życia, nie było jeszcze w Londynie. Nie skorzystano z żadnych form ułatwienia skazanym pierwszym, najgorszym dni. Policyjna karetka zabrała ich wprost z sali do więzienia w Brixton, gdzie po rewizji i kąpieli musieli się przebrać w niebieskie więziennicze bluzy.

Jakże dzisiejszej Polsce, stawiającej dopiero pierwsze kroki na drodze do normalnego życia, potrzebne są te dwa przykłady spokojnego, skutecznego działania.

Pomoc niesiona Polsce przez Zachód w formie kursów, by umożliwić przebudowę całego systemu politycznego i ekonomicznego, zaczęła się w roku ubiegłym. Uczestniczy w tym kilka krajów i tysiące ludzi. Dotknąłem zaledwie tych spraw, rozmawiałem tylko z trzema osobami, ale już można rzucić pierwsze światło na ten, tak ważny, problem.

Jan Krok-Paszkowski (lat 65) przez 14 lat pracował w Monachium, w Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa, później przez 19 lat w BBC, gdzie doszedł do stanowiska szefa wydziału południowo-wschodniej Europy (Bałkany), by jeszcze na rok powrócić do Monachium i wejść do zespołu dyrekcji amerykańskiej.

Był w Warszawie przez 2 tygodnie, prowadząc kurs dla dziennikarzy i kierowników Polskiego Radia i Telewizji. Otrzymał 19.000 dolarów od amerykańskiej fundacji — The German Marshall Fund — ma mieć jeszcze dalszych 7 kursów, do stycznia przyszłego roku. Jego wstępne doświadczenia:

„Dwa podstawowe punkty mego kursu: polityka redakcyjna związana z kierowaniem danym zespołem i rola dziennikarza, wykonywanie fachu, który jest tak ważny w społeczeństwie. Odzew ze strony polskiej był doskonały, miałem ponad 30 słuchaczy z całego kraju, byli bardzo zainteresowani, choć niektórzy zupełnie surowi. Do dalszych kursów przywiązuję dużą wagę. W tym wstępnym okresie The German Marshall Fund przeznaczył na Polskę 563 tysiące dolarów”.

— Roman Sławiński (lat 42), długoletni wysoki urzędnik Grindlays Bank w Londynie, który przed kilkoma laty stworzył własną agencję konsultacyjną, a obecnie przestawił się całkowicie na Polskę tworząc wraz z kilkoma przyjaciółmi Polish Investment

Company. Szwajcarski bank kupił jej akcje za £ 1.250.000, jest więc kapitał zakładowy.

Celem kompanii jest organizacja kursów, szukanie zachodnich inwestycji na Polskę i udzielanie porad. Gdy chodzi o kursy, wtedy kompania zwraca się do funduszu brytyjskiego, nazywanego „Know How Fund” (wiedzieć jak), przy Foreign Office, który podniesiono do 50 milionów funtów na 5 lat. Ostatnio, na zaproszenie polskiego Ministerstwa Przemysłu, kompania włączyła się w problem zmiany struktury przedsiębiorstw państwowych. Kursy dotyczące bankowości i szkolenia kierowników przedsiębiorstw, zainteresowanie z polskiej strony jest wielkie, na kurs przychodzi około 30 osób. Kompania spodziewa się w pierwszym roku straty do pół miliona funtów, ale później powinny być dochody, bo Polska, zaczynająca od zera, to dziewiczy i obiecujący teren.

— Joanna Mierzejewska (lat 39), architekt-urbanista z Wrocławia, spędziła w Wielkiej Brytanii, głównie w Londynie, dwa tygodnie na kursie zorganizowanym dla 12 architektów z Polski przez British Council. Sfinansował kurs „Know How Fund”.

Warunki były dobre: mieszkanie w pojedynczych pokojach w hotelu w centrum Londynu; na dwa pozahotelowe posiłki dawano £ 24,00 dziennie plus £ 100 kieszonkowego na cały pobyt. Transport do satelickich miast wokół Londynu zapłacono.

Wykłady były ciekawe i bardzo potrzebne, zajęcia praktyczne i oglądanie nowych osiedli i miast dobrze zorganizowane, pożytek z całości znaczny.

Te trzy przykłady to tylko małe wycinek wielkiej akcji, która się bardzo rozszerza i w której z terenu Wielkiej Brytanii biorą udział przedstawiciele pierwszego polskiego pokolenia urodzonego tu po wojnie, mający dziś około 40 lat i zajmujący już wysokie stanowiska na różnych odcinkach tutejszego, bogatego życia.

Józef GARLIŃSKI

Kraj

Regionalizacja i federalizacja

ZACZNIJMY OD GÓRNEGO ŚLĄSKA

Do niedawna największym problemem Górnego Śląska były stosunki narodowościowe. Gazety pełne były artykułów, wskazujących na rzeczywiste i rzekome niebezpieczeństwa, związane z różnorodnością etniczną tego regionu, przy czym autorzy ograniczali się z reguły do prostego przeciwstawienia Niemców Polakom i *vice versa*, i ewentualnego zauważania tzw. „śląskich Ślązaków”, które to określenie miało oznaczać ludzi o odrębnym poczuciu narodowym, ani polskim, ani niemieckim. Największe nasilenie sprzeczności, zbliżone chwilami do jawnego antagonizmu, wystąpiło w czasie kampanii w wyborach uzupełniających do Senatu na Opolszczyźnie. Obecnie, kilka miesięcy później, sytuacja jest zupełnie inna i można patrzeć na jej rozwój z pewną dozą optymizmu. W ostatnim okresie bowiem rozpoczęte zostały procesy integracji ludności górnośląskiej, widoczne zarówno w codziennych kontaktach pomiędzy różnymi grupami etnicznymi, jak i w wydarzeniach tak spektakularnych, jak zorganizowana przez katowicki Związek Górnośląski na Górze Świętej Anny dwudniowa impreza, której bodajże szczytowym punktem było ekumeniczne nabożeństwo w intencji wszystkich Górnoślązaków, poległych w okresie powstań i plebiscytu, niezależnie od ich opcji narodowej. Jeszcze kilka miesięcy temu byłoby to zupełnie niemożliwe.

Procesy integracyjne na skalę całego Górnego Śląska, podzielonego obecnie pomiędzy pięć województw: katowickie, opolskie, bielsko-bialskie, i w niewielkich częściach krakowskie i częstochowskie, umożliwiła zmiana stanowiska Związku Górnośląskiego. Związek ten, posiadający już ponad 50 kół terenowych, stał się znaczącą siłą polityczną. Początkowo jego program,

wyrośli i odnoszący się do mieszkańców tej części Górnego Śląska, która już przed wojną należała do Polski, ograniczał się do tamtejszych — polskich — tradycji. Chcąc jednak objąć cały obszar etniczny, rozszerzył swoją formułę i jest obecnie z założenia organizacją, opierającą się na wielorakich tradycjach kulturalnych: polskich, niemieckich i morawskich.

Organizacje górnośląskie, zarówno te, do których należą członkowie mniejszości niemieckiej, jak i polskie bądź „wielokulturowe”, skupiają w głównej mierze ludność rodzimą. Oprócz niej region zamieszkują Polacy ze Wschodu i z Polski Centralnej — repatrianci, imigracja zarobkowa, członkowie napływowej władzy administracyjnej i politycznej. Wbrew stanowisku, reprezentowanemu jeszcze niedawno przez sporą część Górnoszlązaków niemieckich, żyjących w Niemczech i należących do ziomkostwa, spora część ludności napływowej czuje się związana uczuciowo z Górnym Śląskiem i ma pełne prawo określania się mianem Górnoszlązaków. Świadczy to o tym, że ziemia ta, jej pejzaż i specyfika, a także jej kultura, wywierają silny wpływ integracyjny na przybyszy z Polski, tak samo jak w minionych wiekach wywarły wpływ na kolonistów z krajów niemieckich, którzy się tu po części spolonizowali.

W tym samym czasie, co wspomniane spotkanie na Górze Świętej Anny, odbyło się w Opolu sympozjum, zorganizowane przez tamtejszy Związek Górnoszlązaków. Na sympozjum reprezentowana była mniejszość na Rzecz Autonomii Śląska, kurię polską reprezentował sekretarz biskupa Nossola, ksiądz Hanich, obecni byli przedstawiciele rady miejskiej, a ponadto senator Góralczyk, naukowcy z Instytutu Śląskiego w Opolu, wicewojewoda opolski. Sporo miejsca w czasie obrad zajęła sprawa ewentualnej autonomii Górnego Śląska; o tym kompleksie tematycznym jednak za chwilę.

Wiadomo, że mniejszość niemiecka na Górnym Śląsku niemal całkowicie pozbawiona jest własnej warstwy inteligencji. Istnieją różne powody takiego stanu rzeczy: co najmniej od początku bieżącego wieku zdobycie wykształcenia nieuchronnie prowadziło do przyjęcia opcji polskiej lub niemieckiej. Ci, którzy poczuli się do związków z niemiecką, wyemigrowali, pozostali zaś ci, którzy czuli się raczej Polakami. Dopiero w ostatnim czasie pojawiła się alternatywa: wielu wykształconych Górnoszlązaków podkreśla właśnie swoją górnośląskość, co zostało właściwie ocenione przez działaczy mniejszości niemieckiej, i można odnieść wrażenie, że opolski Związek Górnoszlązaków znalazł się na dobrej drodze, by stać się czymś w rodzaju koordynatora działalności kulturalnej mniejszości.

Rzecz jasna, zauważalne są dopiero początki współpracy. Nie wszystkie źródła nieufności zostały usunięte. W niektórych

miejsowościach Opolszczyzny, w których mniejszość w wyborach samorządowych uzyskała większość głosów, mieszkańcy nie czując się Niemcami czują się poddani presji środowiskowej. Znane są także podobne odczucia z drugiej strony. Ważne jest jednak to, że wzajemna nieufność zelżała, że napięcia nie są już tak ostre jak podczas kampanii wyborczej, i że podjęto pierwsze próby współpracy. Daleko jeszcze do tego, aby Górnoszlązacy działali wspólnie we wszystkich istotnych sprawach swojej ziemi, przejście jednak przez mniejszość odpowiedzialności komunalnej w wielu gminach stworzyło nową jakość, uświadamiając wszystkim wspólny cel, jakim jest dobro regionu i jego wszystkich mieszkańców.

Podstawowym problemem Górnego Śląska nie są sprawy narodowościowe, jak to często przedstawia prasa w Polsce, a zwłaszcza w Niemczech, lecz zanieczyszczenie środowiska naturalnego. Pod koniec czerwca kierownik katowickiego Sanepidu, Bernard Cimander, przedstawił sejmowej komisji zdrowia dane, dotyczące stanu środowiska na Śląsku. Są to liczby przerażające: otóż roczne stężenie dwutlenku siarki przekracza normę 4,5-krotnie, a stężenia obliczane na dobę dochodzą do 11-krotnej wartości, określonej jako maksymalna według polskich norm, którym daleko do standardów europejskich. Stężenie ołowiu przekracza te normy dziewięć- i trzydziestokrotnie, a benzoapirenu: trzynasto- i trzydziestokrotnie. Dwie trzecie wód powierzchniowych na Górnym Śląsku nie nadaje się nawet do wykorzystania przemysłowego, ponieważ są to tzw. wody „pozaklasowe” — w ogóle nie mieszczą się w klasyfikacji wód pod względem czystości. Ołowiu w glebie jest kilka do kilkunastu razy więcej, niż dopuszcza norma. Najgorsze przy tym jest to, że prawie połowa powierzchni woj. katowickiego, to tereny wykorzystywane rolniczo. Wychodowane na nich rośliny zawierają ogromne ilości ołowiu i innych metali ciężkich. Szczególnie koncentrują się one w warzywach, uprawianych na Górnym Śląsku nieraz dosłownie w cieniu koksowni. Badania na temat karcenogenności substancji, znajdujących się w powietrzu górnośląskim, prowadzi Instytut Onkologii w Gliwicach. Prof. Mieczysław Chorąży poinformował w Warszawie, że pracownicy Zakładu Biologii Molekularnej odkryli ponad 100 substancji w powietrzu górnośląskim, z których wiele wykazuje działanie rakotwórcze. Nie zostały one do tej pory ujęte w normach polskich, chociaż na Zachodzie od dawna uznana została ich wysoka szkodliwość dla organizmu ludzkiego. Górnoszląscy lekarze od lat biją na alarm z powodu rosnącej ilości przypadków patologii ciąży, urodzeń martwych oraz dzieci niepełnosprawnych fizycznie i umysłowo. Wśród nich są dzieci z porażeniem mózgowym, wrodzonym kalectwem narządów ruchu, astmą, cukrzycą, wadami serca.

Naukowcy śląscy wykazali bez najmniejszych wątpliwości związek nadśmiertelności z zanieczyszczeniami środowiska naturalnego: dotychczas rządy centralne dla własnej wygody traktowały odrębnie dane resortu ochrony środowiska oraz resortu zdrowia.

Drugim kompleksem problemów górnośląskich jest sytuacja ekonomiczna. Bezrobocie w tym regionie ma najgłębsze przyczyny strukturalne. Gospodarka górnośląska, rozbudowywana z myślą o autarkii gospodarczej Polski Ludowej, zintegrowanej z gospodarką sowiecką i skazanej w dużej mierze na współpracę jedynie z innymi krajami bloku wschodniego, oparta została w głównej mierze na przemyśle ciężkim oraz wydobywaniu i przeróbce węgla. W latach kiedy stal można było kupować za granicą za bezcen, na Śląsku stawiano nowe huty, przestarzałe technicznie już w chwili budowy. Kiedy w świecie ograniczano zużycie węgla jako najdroższego i najbardziej zatrującego środowisko naturalne nośnika energii, na Śląsku budowano nowe kopalnie, a na dodatek w istniejących zaniechano stosowania na szeroką skalę podsadzki, co sprawiło, że miasta tego regionu wałęsają się na skutek szkód górniczych, tracąc mieszkania oraz — co jeszcze gorsze — infrastrukturę przestrzenną. Na obrzeżach miast stawiano osiedla potwornych betonowych pudeł, lecz zawsze brakowało środków na odpowiednią ilość szkół, przedszkoli, sklepów i punktów usługowych, więc mieszkańcy musieli zadowalać się tym, co pozostało w starych „poniemieckich” centrach. Obecnie trzeba wyburzać znaczną ilość tych obiektów. Miasta górnośląskie przypominają najgorsze slumsy i sytuacja będzie się dalej pogarszać w miarę technicznego zużywania się zbudowanych jeszcze przez Niemców instalacji wodnych i kanalizacyjnych. Gospodarka komunalna praktycznie bowiem nie istnieje.

Restrukturyzacja przemysłu oznacza malejące zapotrzebowanie na stal i węgiel. Tradycyjne podstawy przemysłu górnośląskiego tracą więc rację bytu. Nieuniknione — także z ekologicznego punktu widzenia — zamykanie hut, koksowni i kopalń narzuca konieczność zapewnienia zwolnionym pracownikom nowych miejsc pracy. Część zredukowanych może znaleźć zajęcie w usługach, ale ze względu na stosunkowo niski poziom wykształcenia ogólnego zakres przekwalifikowania nie osiągnie koniecznych rozmiarów. Należy więc liczyć się z tym, że bezrobocie na Górnym Śląsku będzie najgłębsze i najtrudniejsze do przezwyciężenia, ponieważ jego przyczyny leżą u podstaw strukturalnych zarówno w sensie gospodarczym jak i społecznym. W pierwszym okresie jednostronnie monetarnej reformy Balcerowicza wskutek oporu administracji przemysłowej, pochodzącej w większości z nomenklatury partyjnej, mechanizmy nieuniknionej recesji nie zadziałały na większą skalę w przemyśle ciężkim i wydobywczym, co sprawiło, że w pierwszych miesiącach roku

nie pojawiło się na Górnym Śląsku bezrobocie na wielką skalę. Obecnie jednak sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Szczególnie na Górnym Śląsku prowadzona w dogmatyczny sposób reforma oparta wyłącznie na mechanizmach monetarnych, bez elementów proefektywnościowych, musi doprowadzić do całkowitego załamania. Stanowi to ogromne niebezpieczeństwo nie tylko dla regionu górnośląskiego, lecz dla całego kraju.

Prasa katowicka zajmuje się ostatnio tym problemem. Najostrzejsze stanowisko zajął na łamach *Panoramy* ekonomista i socjolog Wojciech Błasiak, adiunkt na Uniwersytecie Śląskim, zajmujący się badaniem niedorozwoju Górnego Śląska w okresie powojennym. Błasiak napisał, że z wypowiedzi przedstawicieli rządu na sympozjum poświęconym restrukturyzacji przemysłu województwa katowickiego w kwietniu br. wynikało, iż region ten będzie traktowany jako, cytuję: „samowyniszczająca się enklawa surowcowo-przemysłowa, drenowana aż do ostatecznego ekologicznego, ekonomicznego i społeczno-kulturowego wyniszczenia”. Błasiak pisze dalej: „System podatkowy przedsiębiorstw i sposób odnotowania kopalń prowadzą do przechwytywania przez budżet państwa całości nadwyżek ekonomicznych, łącznie z częścią niezbędną na amortyzację. Prowadzi to do spotęgowania dekapitalizacji, czy wręcz złomowania ekonomicznego przestarzałego w dużej części przemysłu regionu. Wyszanie potencjalnych środków na rozwój powoduje brak jakichkolwiek możliwości restrukturyzacji wewnątrz przedsiębiorstw, a w konsekwencji i całego regionu”. W dalszym ciągu autor przewiduje, że długotrwałe, strukturalne bezrobocie na Górnym Śląsku doprowadzi do spotęgowania emigracji aż do opuszczenia zupełnie regionu przez ludność rodzimą. „Program rządowy — pisze Błasiak — skazuje ten region na proces wyniszczania zarówno ekologiczno-ekonomicznego, jak i społeczno-kulturalnego. Będzie to ostatni etap procesu kolonizacji wewnętrznej regionu, rozpoczętego w 1945. Koniec zwińczy dzieło długotrwałej, neokolonialnej eksploatacji”. Nie wszystkie tezy Wojciecha Błasiaka są bezdyskusyjne: myślę, że przedstawiona przezeń koncepcja „prywatyzacji pracowniczej” kryje w sobie spore niebezpieczeństwo. Przede wszystkim nie wiadomo, czy akcjonariat pracowniczy w warunkach braku kapitałów inwestycyjnych istotnie może stać się siłą przyspieszającą. Diagnoza jednak jest absolutnie prawidłowa: na Górnym Śląsku konieczne jest natychmiastowe rozpoczęcie dekolonizacji gospodarczej, społecznej i kulturalnej. Naukowiec z Uniwersytetu Śląskiego pisze: „Na początku lat osiemdziesiątych podjęte zostały z inicjatywy władz administracyjnych regionu szerokie prace studialne i koncepcyjne nad restrukturyzacją gospodarczą i przestrzenną województwa, które sprawiły, że w chwili obecnej jest to chyba jedyny region w

kraju, posiadający własny program działań rewaloryzacyjnych w zakresie gospodarki, ekologii i przestrzeni. Głównie za sprawą zespołu ekonomistów kierowanych przez profesora Andrzeja Klasika". Prof. Klasik, dodajmy, jest przewodniczącym Związku Górnośląskiego.

Zakończenie artykułu Błasiaka brzmi dramatycznie: „Moim zdaniem bowiem — pisze — rozpoczął się decydujący, jeśli wręcz nie dramatyczny okres przełomowy dla Górnego Śląska i Zagłębia. I albo będzie paroletni okres startu w przełamywaniu struktur 'kolonii wewnętrznej', albo ostatni etap neokolonialnych procesów, który doprowadzi do ostatecznego wyniszczenia regionu. I wbrew wygodnym złudzeniom, żywionym w stołecznym 'mieście-pasożycie', skutki takiego wyniszczenia ekonomicznego i społecznego dla reszty Polski będą bardzo groźne, wręcz nieobliczalne". Współbrzmi to z obawami, które zgłaszałem na łamach *Kultury*.

Nie dotarły do mnie żadne echa artykułów Wojciecha Błasiaka z Warszawy. Wygląda na to, że raporty naukowców górnośląskich traktowane są nadal niezbyt poważnie.

Na samym Górnym Śląsku występuje jednak zjawisko, które powinno zapoczątkować prawdziwą regionalizację. Od początku czerwca Katowice mają nowego wojewodę. Jest nim Górnoślązak, Wojciech Czech, architekt, który od kilku lat pracował w zespole, przygotowującym koncepcję nowego podziału administracyjnego Polski. Zgodnie z tym planem miałyby powstać tylko dwanaście do czternastu województw o kształcie ustalonym w zgodzie z kryteriami historycznymi i etnicznymi. Jednym z tych województw miałyby być województwo górnośląskie, obejmujące cały górnośląski obszar etniczny, od ziemi nyskiej poprzez opolską, raciborską, pszczyńską, cieszyńsko-oświęcimską aż do żywieckiej. Problemem byłoby tylko Zagłębie Dąbrowskie, które nie jest etnicznie górnośląskie — zostało przyłączone jednak do Górnego Śląska tak dawno, iż wytworzyły się pomiędzy nim a Katowickiem wielorakie więzy gospodarcze. Zagłębie spełniało po wojnie rolę policyjną względem Górnego Śląska: dostarczało kadr do milicji, bezpieczeństwa i administracji państwowej na Górnym Śląsku, ponieważ Polacy nie ufali ludności rodzimej — co można wyjaśnić w kategoriach psychologicznych tym, że najtrudniej jest o ufność w stosunku do ludzi, których się skrzywdziło. Warunkiem powodzenia odbudowy regionu jest jednak pojednanie i współdziałanie. Proponuje się więc przeprowadzenie w Zagłębiu plebiscytu na temat pozostania w województwie górnośląskim, bądź przyłączenia do Małopolski. Nie jest to stanowisko sprzeczne z postulatem odłączenia ziem obcych etnicznie: możliwość taka wchodzi w grę, ciężar decyzji przeniesiono jedynie na najbardziej zaintereso-

sowanych. Resentymenty nie powinny przesłaniać wspólnoty interesów.

Zespół katowicki założył sobie doprowadzenie tego projektu do sejmu za półtora roku. Wydaje się, że jest to termin zbyt odległy, ponieważ problemy Górnego Śląska trzeba zacząć rozwiązywać już dziś. Wydaje się, że plan ten nie powinien mieć zbyt wielu przeciwników w parlamencie: absolutna większość posłów i senatorów pochodzi z prowincji, spoza Warszawy, więc jest szansa, że regiony otrzymają większą samodzielność, a władza rządu centralnego zostanie ograniczona do tych spraw, które rzeczywiście trzeba rozwiązywać wspólnie. Silne państwa demokratyczne posiadają silne regiony — rządy centralne wyposażone w ogromny zakres władzy charakterystyczne są dla systemów autorytarnych. Poza tym wydaje się niemal pewne, że w przyszłej zjednoczonej Europie zmaleje rola państw, zwiększy się zaś rola regionów etnicznych.

Już obecnie żaden kraj wysoko rozwinięty nie ma struktury centralistycznej. Rola rządu centralnego ogranicza się na dobrą sprawę do polityki zagranicznej i obronnej. Centrala interweniuje tylko tam, gdzie bez jej interwencji doszłoby do mniejszej lub większej katastrofy, bądź też w sprawach o doniosłym znaczeniu dla całego państwa. Przykładem wzorowego funkcjonowania zdecentralizowanego organizmu państwowego mogą być Niemcy Zachodnie ze swymi *Landami*, z których każdy — zarówno bogate jak i biedniejsze — odnosi korzyści z pozostawiania w federacji. RFN nie posiada na dobrą sprawę jednej stolicy: Bonn jest siedzibą rządu i parlamentu, stolicą finansową jest Frankfurt i do pewnego stopnia Düsseldorf, kulturalną — Monachium, historyczną — Berlin, który najprawdopodobniej po zjednoczeniu przejmie rolę stolicy nominalnej, lecz rząd pozostanie w Bonn. Stolica żadnego kraju zachodniego nie jest tak wszechwładna jak Warszawa.

Czy coś z rozwiązań niemieckich mogłoby być przydatne dla Polski? Z całą pewnością przyjęcie zdecentralizowanego podziału administracyjnego wzorowanego na dysponujących dużą samodzielnością gospodarczą i pełną samodzielnością kulturalną *Landach* byłoby korzystne nie tylko dla Górnego Śląska, ale także dla Małopolski, Wielkopolski i Mazowsza.

Rozwiązanie proponowane w Polsce idzie we właściwym kierunku, jest jednak niewystarczające. Planowane sejmiki wojewódzkie nie będą miały władzy legislacyjnej, a wojewoda nadal ma być pierwszym urzędnikiem władzy centralnej w terenie. Jest to błąd, który stawia wojewodę na z góry straconej pozycji namiestnika. Regiony powinny posiadać własne sejmy, własne rządy i własne dochody. Sytuacja, w której centrala zbiera podatki i dzieli wszystko według własnego uznania, co dopro-

wadziło do sytuacji, w której województwo katowickie, dające jedną trzecią dochodu narodowego, otrzymuje z budżetu centralnego dwa do trzech procent środków, jest nienormalna i należy wprowadzić środki prawne w celu jej likwidacji.

Realizacja zmodyfikowanego programu usamodzielnienia regionów mogłaby oznaczać dla Górnego Śląska uzyskanie sporej samodzielności, i to w perspektywie stosunkowo krótkiego czasu. Samodzielność ta powinna obejmować sprawy gospodarcze, społeczne i kulturalne. Tymczasem obecnie np. kuratoria szkolne zostały wyjęte spod kompetencji wojewody — podlegają bezpośrednio Warszawie — i jest to przedstawiane jako sukces demokracji. Szkolnictwo powinno być domeną władzy terenowej, bo tylko wówczas będzie w stanie uwzględniać w wystarczającym stopniu treści regionalne, stanowiące spoiwo integracyjne ludności. W obecnym układzie istnieje teoretyczna możliwość, że nauczyciele nadal będą musieli podawać uczniom treści niezgodne z prawdą historyczną. Ba, nie jest to tylko teoria: dzieci autochtoniczne na Górnym Śląsku uczą się nadal, że ich dziadkowie należeli do niemieckiej „piątej kolumny”. Treści nauczania historii są niezróżnicowane, a z historii literatury — nie uwzględniają elementów wspólnych, polsko-niemieckich.

Nowe województwo górnośląskie liczyłoby 7,5 mln mieszkańców, tj. 20 % ludności Polski, i produkowałoby 60 % dochodu narodowego. Warunkiem byłoby oczywiście natychmiastowe zahamowanie procesów kolonialnych, w przeciwnym razie bowiem region mógłby nie dotrwać do nowej sytuacji i przyszły sejm wojewódzki byłby zmuszony zająć się administrowaniem masy upadłościowej. Jego zadania i tak będą zbliżone do tego.

Niezbyt optymistycznie nastroja decyzja Senatu sprzed wakacji: decyzja odprowadzania do budżetu centralnego środków, wpływających z tytułu kar za zanieczyszczanie środowiska naturalnego. Sumy te były niewielkie i miały jedynie symboliczną wartość: na uzdrowienie środowiska na Górnym Śląsku potrzebne są biliony. Te symboliczne sumy nie mają jednak także znaczenia dla budżetu centralnego i fakt, że region musi je odprowadzać, jest policzkiem władzy centralnej, wymierzonym w samorządność terytorialną. Jest to najbardziej dobitny dowód na to, że tzw. „władza obywatelska” nie zrezygnowała bynajmniej z centralizmu i nadal zamierza realizować mit o jedności narodu. Górnoślązakom i Małopolanom pokazano w Warszawie, gdzie jest ich miejsce.

Wspomniałem wcześniej o ruchu na rzecz autonomii Śląska. Ruch ten powstał w Rybniku i umacnia się. Jest jednak do przewidzenia, że stanie się dyżurnym chłopcem do bicia dla rządowych środków masowego przekazu. Wojewoda katowicki poczuł się zmuszony zdementować pogłoski, jakoby domagał się

autonomii dla Śląska. Autonomia w rozumieniu jej propagatorów, stwierdził, stanowi izolację a nie otwarcie. Ta w przedwojennej postaci nie jest na miarę dzisiejszych oczekiwań.

Osobiście uważam, że autonomia oznacza, iż określony region pozostaje częścią terytorium danego państwa, więc warto kruszyć kopii o słowa. Faktem jest, że specyfika Górnego Śląska, różniącego się od wszystkich innych ziem polskich, wymaga odmiennego traktowania tego regionu. Przy nowym podziale administracyjnym kształt samorządu regionalnego będzie jednak zależał od samego regionu, więc różnice pomiędzy zwolennikami jednej i drugiej koncepcji są w istocie różnicami terminologicznymi.

Różnica wynika z niecierpliwości: tam gdzie jedni chcą dążyć do zmian sposobami ewolucyjnymi, nie antagonizującymi resztę kraju, inni chcieliby osiągnąć wszystko prędzej. Moim zdaniem jedni i drudzy są potrzebni. Niedobrze byłoby jednak, gdyby mimo podobnego celu pomiędzy zwolennikami różnych dróg doszło do aktów wrogości.

Problem polega też na tym, że hasłem autonomii szermują działacze niemieckiego Związku Wypędzonych. Ostatnio, po oficjalnej zapowiedzi ostatecznego uznania granicy na Odrze i Nysie, zmieniły się ich oficjalnie głoszone cele, co uznała m.in. senator Dorota Simonides po dyskusji z udziałem sekretarza generalnego Związku Wypędzonych, Hartmuta Koschyka, lecz nie wiadomo w jakim stopniu te nowe deklaracje są szczerze. Gdyby *Bund der Vertriebenen* rzeczywiście zrezygnował z celów politycznych i skoncentrował się na wspólnej z Polakami i polsko myślącymi Górnoślązakami pracy na rzecz regionu oraz na pielęgnowaniu pomników kultury niemieckiej, to wyszłoby to na dobre zarówno Górnemu Śląskowi jak i samemu *BdV*.

Nikomiu na Górnym Śląsku — z wyjątkiem tej części ludności napływowej, która nie zdołała się zintegrować — nie trzeba tłumaczyć polsko-niemieckiej wspólnoty kulturalnej i historycznej tego regionu. Wielu poważnie myślących ludzi oczekuje wręcz, że zwiększy się niemiecka obecność na tym terenie, przy czym nie chodzi tylko o obecność gospodarczą, jakkolwiek tej naturalnie życzone by sobie najbardziej — do tej pory sprawa ta blokowana jest w dużej mierze przez stolicę. Wszystkie organizacje górnośląskie, a także nowe władze wojewódzkie w Katowicach spodziewają się, że niemieckie siły demokratyczne, a nie tylko związki, kierujące się w przeszłości jawnie resentymentami, pomogą Górnoślązakom w rozwiązaniu ich problemów, m.in. identyfikacyjnych.

Sprawą o znaczeniu podstawowym są trudności, wynikające z faktu, że ci Górnoślązacy, którzy czują się Niemcami, nie posiadali w całym okresie po drugiej wojnie światowej możli-

wości rozliczenia się z własną przeszłością w okresie panowania narodowego socjalizmu. Na terenie kończącej się NRD, gdzie ostatnio notuje się wzrost nastrojów szowinistycznych, sprowadzono to rozliczenie do gestów obrządkowych, o znaczeniu niemal magicznym. W Polsce było bodaj jeszcze gorzej: nie uznając, że żyją w niej w ogóle Niemcy, uniemożliwiono im przeprowadzenie analizy przeszłości. W tej sytuacji nastroje, panujące wśród starszego pokolenia Górnoślązaków niemieckich, i tak nie są jeszcze najgorsze. W każdym razie wielkie korzyści mogłyby przynieść np. wykłady na temat demokracji zachodnioniemieckiej, zorganizowane dla środowisk niemieckich przez instytucje bońskie, nie zmierzające do stworzenia na Górnym Śląsku przewagi niemieckiej. Chodzi o to, by wyeliminować postawę traktowania Republiki Federalnej jako „Reichu”; nie służy ona bowiem nikomu: ani Niemcom, ani Polakom, ani Górnoślązakom.

Z pewnością nie byłoby niczym złym, gdyby polityka zachodnioniemiecka starała się działać na rzecz większej podmiotowości Górnego Śląska, który jest terenem wspólnych interesów historycznych i kulturalnych, a co za tym idzie — na rzecz unowocześnienia polskiego modelu demokracji, i gdyby przeciwdziałała tendencjom, zakłócającym te procesy. Sprawa jest zbyt delikatna, by zostawić ją wyłącznie środowiskom, które przez dziesięciolecia stawiały sobie cele rewizjonistyczne, nawet gdyby teraz miały one zmienić język. Zaszłości minionych okresów odebrały im wiarygodność i musi upłynąć sporo czasu zanim będą one traktowane z większym zaufaniem.

Rozwój sytuacji na Górnym Śląsku, charakteryzujący się rosnącym zbliżeniem różnych grup etnicznych, stanowi szansę na zbudowanie podstaw trwałego porozumienia między Polakami i Niemcami, i to zarówno na Górnym Śląsku, jak i w wymiarze międzynarodowym. Po raz pierwszy pojawiła się np. konkretna możliwość wspólnego prowadzenia badań regionalnych: historycznych i etnograficznych. Proces zbliżenia już się rozpoczął: jego tempo i sukces zależy głównie od strony niemieckiej. Sprawą zasadniczą jest faktyczne uznanie zarówno przez Polaków, jak i przez Niemców odrębności etnicznej Górnoślązaków, którzy jako grupa, posiadająca nie podawane w wątpliwość prawo do rozwoju własnej kultury, mogą odegrać wielką rolę integracyjną w Europie Środkowej. Poparcie przez Niemców tych dążeń wymaga wielkiej delikatności, aby ludność napływowa na Górnym Śląsku nie czuła się wyrzucona poza nawias. Nie należy zapominać, że ostatecznym celem jest jedność Europy; większa samodzielność Górnoślązaków, ale także Małopolan, Wielkopolan i innych, podobnie jak Słowaków, Meklemburczyków i innych grup etnicznych, jest tylko warunkiem i środkiem, prowadzącym do tego celu.

I jeszcze jedna sprawa: moje uparte nawoływanie do pojednania Polaków i Niemców nie jest tylko wyrazem osobistych pragnień, lecz posiada mocne podstawy w okolicznościach obiektywnych. Polska przejęła ziemie, które przez kilkadziesiąt lat związane były z Niemcami. W Polsce żyje około półtora miliona osób, dla których językiem ojczystym jest polski. Pół miliona obywateli zachodnioniemieckich posiada paszporty polskie. Książki telefoniczne w Zagłębiu Ruhry zawierają więcej nazwisk o brzmieniu polskim niż niemieckim. Nie ma w Europie dwóch narodów, które byłyby połączone tak ścisłą „unią personalną”, jak polski i niemiecki. Najwyższy czas wyciągnąć z tego praktyczne wnioski po obydwu stronach. Dla Polski Niemcy mogą stać się bramą do Europy, dla Niemiec Polska może być praktycznym sprawdzianem ich wielokrotnie deklarowanej dobrej woli.

Aspirując jednak do Europy, Polska powinna stworzyć u siebie europejskie standardy, w tych zaś nie ma miejsca na centralizm. Zasady regionalizacji i federalizacji powinny zostać wpisane do nowej konstytucji.

Stanisław BIENIASZ

Ignorancja, arogancja, cynizm

W wypowiedziach amerykańskich *businessmen*ów i ekonomistów na temat szans i problemów stojących przed polską gospodarką przewija się wyraźnie jeden wątek: niezależnie od oceny sytuacji ogólnej, prawie wszyscy twierdzą, iż największą przeszkodą do pokonania jest katastrofalny stan etosu pracy na wszystkich szczeblach i we wszystkich dziedzinach. Nie brak pieniędzy, infrastruktury czy technologii, ale właśnie nieumiejętność pracy. Nie chcę się tu wdawać w szczegółowe rozważania na temat pojęcia „etyka pracy”, bo jest to zagadnienie obszerne i kontrowersyjne. Nie obejdzie się jednak bez kilku, choćby wstępnych — wyjaśnień.

Otóż nasze rozumienie norm etycznych dotyczy tylko ich części, że tak powiem, negatywnej. Tej, którą można by podsumować przysłowiem „Nie czyn drugiemu, co tobie niemiłe”. Natomiast zapominamy o normach pozytywnych, które — parafrazując powyższe — uogólnić by można dyrektywą „Czyn drugiemu, co i tobie byłoby miłe”. Na dodatek, przynajmniej w naszym kręgu kulturowym, zasady etyczne kojarzone są zwykle z dość niekonkretnymi sferami duchowego i intelektualnego życia człowieka; z sumieniem, wiarą, światopoglądem. Ich strona praktyczna nie zwraca szczegól-

nej uwagi. Nic też dziwnego, iż wielu z nas nie bardzo wie jak się ustosunkować do pojęcia „etyka pracy”. Bo z jednej strony *etyka* — bezinteresowna dobroć, sumienie, piekło, niebo, a z drugiej *praca* — pragmatyka, pot, brudne ręce, itp. Pomieszanie teologii z teleologią.

Tymczasem okazuje się, że pojęcie to ma sens, nawet jeśli różni się on nieco od sensu przypisywanego tradycyjnej etyce. Etyka pracy jest po prostu częścią tzw. etyki utilitarnej, która opiera się nie tylko na tradycyjnym „łagodzeniu nieszczęść”, ale i na „pomnażaniu szczęścia”. Sztandarowym wręcz przykładem wcielania ideału pomnażania szczęścia jest protestancka etyka pracy — skuteczne, lecz dość nienaturalne, i przez to raczej trudne do powielenia, nastawienie do pracy jako źródła sukcesu (bogactwa, sławy, władzy, itp.). Nie lekceważąc tego ostatecznego celu pracy — „pomnażania szczęścia” — mnie chodziłoby raczej o zwykły szacunek dla pracy. Szacunek, który powinien obowiązywać bez wyjątku wszystkich, także tych, którzy miejsca pracy tworzą i nimi dysponują, którzy pracę oceniają. Przykład jak wiadomo idzie z góry, naturalne więc powinno być wymaganie szacunku do pracy przede wszystkim od władz państwowych.

Małym lecz bardzo istotnym (i, rzekłbym, wdzięcznym) polem obserwacji jest reprezentacja Polski i jej różnorodnych interesów za granicą. Nie myślę tu o tysiącach tzw. szarych obywateli, którzy nawet jeśli dobrego imienia Polsce i Polakom nie przydają, to jednak reprezentują wyłącznie samych siebie. Myślę o przedstawicielach i delegacjach oficjalnych różnego rodzaju i szczebla — politykach, dyplomatach, parlamentarzystach, naukowcach, przedsiębiorcach, związkowcach. Do legend już należy „rozbijanie się” licznych i liczebnych delegacji po całym niemalże świecie. Oszczędność tymczasem jest również elementem szacunku dla pracy — *penny saved is penny earned*, jak mawiają Anglosasi, mając na myśli właśnie grosze, centy i kopiejki. Przyjmijmy jednak, że to tylko problem przejściowy i zajmijmy się pracą naszych reprezentantów, kiedy się już na owej „zagranicy” znajdują. Obserwacje moje będą wprawdzie dość wyrwykowe, myślę jednak, że miarodajne. Fakty bowiem znam bądź z autopsji, bądź z prasy, bądź też z innych wiarygodnych źródeł.

Generalnie rzecz biorąc, sytuacja prezentuje się co najmniej „niewesoła”. Nie zawsze wynika to ze złej woli, co jednak — w tej konkretnej sytuacji — nie umniejsza winy. Nie nawołuję do ukarania winnych, chciałbym tylko pomóc tym, którzy tego potrzebują, w uświadomieniu sobie rozlicznych błędów i potknięć, niedopuszczalnych przecież w sprawach tak istotnych i w tak istotnej dla Polski chwili. Staram się unikać konkretnych przykładów (nazwisk, itp.) oraz porównań (zwykle zresztą niekorzystnych) z reprezentantami innych krajów wyzwalającej się Wschodniej Europy, w zamian podejmując próbę pewnej ogólnej typologii zachowań i charakterów.

Przede wszystkim uderza bardzo rozpowszechniona *ignorancja*. Najłagodniejszą jej postacią jest typ szlachetnego człowieka, który podjął się służby publicznej z pobudek patriotyczno-etycznych, nie bardzo jednak wie, w jaki sposób służyć skutecznie. Często jest to intelektualista, który — owszem — lubi i potrafi porozmawiać o problemach filozoficznych, historycznych czy światopoglądowych (czyli dla amerykańskiego *businessman'a* o „dubach smalonych”), lecz zwykle nie ma bladego pojęcia, jak funkcjonuje życie polityczne i gospodarcze w tzw. normalnych krajach. Typu tego nie da się niestety — i ze zrozumiałych względów — uniknąć w okresie (miejmy nadzieję) przejściowym, trzeba jednak wiedzieć, jak jego minusy ograniczyć do minimum. Dla przykładu tylko można by tu podać powoływanie grup ekspertów — także zagranicznych, także z Polaków zamieszkałych za granicą — którzy z równie niekomercyjnych pobudek mogliby oddać niejednokrotnie nieocenione usługi.

Dość podobną w charakterze postacią jest typ działacza ukształtowanego przez wieloletnie przebywanie „w podziemiu”. Niektórzy przedstawiciele tego gatunku nie wiedzą nawet, że wciąż myślą kategoriami podziemia, inni świadomie nie chcą tego podziemia opuścić. Ten typ charakteryzuje się przede wszystkim swoistym zachowaniem i wyglądem zewnętrznym. Tu właśnie należałoby umieścić wszystkich brodatych, odzianych w swetry i džinsy panów, którzy przyjeżdżają rozmawiać o pieniądzach, inwestowaniu i *business'ie*... Możemy myśleć o sobie nawzajem co nam się żywnie podoba, musimy jednakże pamiętać, iż jesteśmy w sytuacji pententa, a tu nikt nie potraktuje poważnie kogoś, kto według tutejszych norm nawet poważnie nie wygląda. Mam na myśli tylko zwykłą przyzwoitość i zachowanie się zgodne z przyjętymi w danym kraju obyczajami (a nie podziemny luz). Myślę też o pewnej minimalnej dozie prezencji. Nie wymagam aż elegancji, choć od czołowych polityków i dyplomatów powinno się tego wymagać, chciałbym tylko, aby te garnitury, jeśli już konieczne szare, były choć dobrze skrojone, żeby marynarki nie wystawały spod zimowych kurtek, żeby wpływowych gości nie przyjmować w pantoflach nocnych (tzw. ciapach).

Inną postacią arogancji jest swoista rutyna, czy może raczej rutynowość. Reprezentant tej formacji robi niby wszystko, co do niego należy, ale jakby z przymusu. Niekoniecznie musi to polegać na tzw. „odwalaniu roboty”, choć i takie przypadki się zdarzają, ale na źle pojętym zawodowstwie. Dość ciasny horyzont, brak jakiegokolwiek entuzjazmu, zasiadanie na laurach, kiedy świat nieubłaganie biegnie do przodu. Na szczeblu, o którym mówię, nie wystarczy być zawodowcem. Nie wystarczy przygotować dobrego referatu, trzeba go jeszcze w odpowiedni sposób wygłosić (dykcja, akcent, słyszalność, perswazja słowna i pozasłowna, itp.). Nie wystarczy rozesłać powielonych informacji, trzeba jeszcze, aby wszystkie kopie były sensownie ułożone oraz... czytelne. Nie wystarczy ogłosić, że koniec z kłamstwem (to nic nie znaczy) trzeba jeszcze mówić prawdę.

I wreszcie ignorancja *sensu stricto*. A raczej dwa jej rodzaje. Z jednej strony typ człowieka, który zdaje sobie sprawę ze swojej niewiedzy, lecz nic albo niewiele robi, aby się czegoś nauczyć. Czasem ze wstydu, a czasem z lenistwa. Z drugiej strony typ, który nie kryje się specjalnie ze swoją niewiedzą, a nawet często stara się czegoś naprawdę nauczyć. Niby to bardziej etyczna postawa, ale czy możemy sobie pozwolić, aby reprezentowali nas tacy właśnie ignoranci? Czy w grę nie wchodzi zbyt dużo? Nie ma co liczyć, że „a może się uda”, wypowiedzi i decyzje muszą być przemyślane i szczegółowo opracowane, zachowania odpowiednio zaaranżowane albo, jeśli konieczne, wyuczone.

Inną bardzo niebezpieczną, choć nieco mniej rozpowszechnioną cechą naszych reprezentantów jest *arogancja*.

Bufonada jest łatwa do zaobserwowania i prawdopodobnie najbardziej szkodliwa. Bufon jest bufonem niezależnie od sytuacji (chyba że przyciśnięty do muru), zachowuje się tak samo w kraju jak i za granicą. Różnica jest taka, że w kraju co najwyżej można go nie lubić, natomiast za granicą nie załatwia się z nim interesów. Bufon poucza wszystkich wokół siebie, na wszystkie pytania ma jedną i tę samą odpowiedź, jego paternalistyczne zachowanie idzie w parze z brakiem wychowania i, co może najważniejsze, z głęboką ignorancją spraw, które reprezentuje. Uważa się nie tylko za bohatera (a nawet zbawcę) ale i za zdobywcę, uśmiecha się pobłaźliwie i denerwuje, jeśli jego opinii podać w wątpliwość. Tymczasem wcale nie potrzeba świętej skromności, wystarczy umiarkowanie, przyzwoitość i trzeźwość.

Inną formę arogancji reprezentuje dość często spotykany typ, który zachłysnął się swoim nagłym powodzeniem, wpływami i władzą. Typ taki nie wie, że sprawowanie władzy — także królewskiej — to ciężka praca, więc często i szybko się męczy i wtedy nic go już nie obchodzi poza własną pozycją. Z pięcioma potencjalnymi dobroczyńcami porozmawia jeszcze uprzejmie i rzeczowo, szóstego już zbyje byle czym, a siódmego po prostu zignoruje. Gdyż jest już wieczór, a tam jeszcze wódka czeka. Niecierpliwość i pogarda dla wszystkiego, co nie jest „grubą rybą” wyłażą spod niedbale rozluźnionego krawata tegoż wędkarza.

Swoisty typ arogancji zaobserwować można zwłaszcza u wielu przedstawicieli tzw. starych kadr — ludzi, którzy pozostali na swoich stanowiskach jeszcze z czasów PRL-u. Często otrzymali je „za zasługi” i profesjonalizm nigdy ich nie charakteryzował. Nie zależy im specjalnie na jakości, czasem po prostu nie wiedzą, jak się do rzeczy zabrać, bywa iż nie jest im obcy cynizm. Przyzwyczajeni do tego, że wszystko właściwie uchodzi „na sucho” i że nic praktycznie nie ma większego znaczenia, nie wykazują żadnej inicjatywy i nie robią więcej niż napisane w dyrektywach. A jakość tego co robią wciąż niewiele lepsza od prl-owskiej. W tej akurat kategorii sytuacja się powoli zmienia, już dzisiaj jednak zauważyć można pierwsze oznaki świadczące, iż ktoś tam niezbyt dobrze wie, o co w

tym wszystkim chodzi — czy naprawdę czerwona legitymacja musi być zastępowana znaczkiem z wizerunkiem w klapie?

Wreszcie ostatnia, bardzo popularna, forma arogancji — wywodzące się z polskiego populizmu poczucie spełnionej misji. Wyraża się to owym „przedmurzem chrześcijaństwa” i innymi dyrdymałami typu „uratowaliśmy was od czerwonego, zrobiliśmy to ogromnym kosztem, więc teraz płacie, bo nam się należy”. Albo banialukami o tonącym, który jeśli mu nie podać ręki, to sam ją złapie i w topiel wciągnie.

Niestety trzeba też powiedzieć, że wśród reprezentujących polskie interesy ludzi znajdują się także zwykli *cwaniacy*. Parafrazując oklepaną lecz jakże trafną definicję, cwaniak jaki jest każdy widzi, nie ma więc powodu, aby wyliczać wszystkie jego cechy. Warto jednak uświadomić sobie, że cwaniak działa tylko i wyłącznie dla swojego dobra. Dobro wspólnego interesu, który ma reprezentować jest (bywa) tylko produktem ubocznym jego działań. Nie wzywam do kryształowego altruizmu — nie wiem nawet czy jeszcze gdzieś istnieje — zwracam tylko uwagę na problem o potencjalnie bardzo przykrych konsekwencjach.

Trzeba by jeszcze wspomnieć o rzeczywiście rozpowszechnionym antysemityzmie — to zresztą temat na całą książkę. Trzeba by wspomnieć o braku manier, braku gustu, o „harcerstwie” i naiwności niektórych naszych przedstawicieli, myślę jednak, że to też smutna konieczność okresu przejściowego. Podobnie zresztą jak okropna wręcz nieznajomość języków obcych. Panowie, uczcie się! (Bo *consequent* w języku angielskim wcale nie znaczy *konsekwentny*). Jeśli nie chcemy, aby Amerykanin nadal opowiadał *Polack jokes*, jeśli nie chcemy aby Francuz nadal używał porównania *saoûl comme un Polonais*, jeśli nie chcemy aby Niemiec...

Krzysztof HARIASZ

Czytając prasę

Grafik Konstanty Sopoćko opowiada w swych wspomnieniach o zdarzeniu z czasów, gdy był kierownikiem artystycznym ilustrowanego piśmka dla młodszych dzieci *Płomyczek*. Wiadomość o śmierci Stalina dotarła do redakcji w momencie druku numeru. Natychmiast przygotowano nowe materiały — zdjęcie nieboszczyka w czarnej ramce na pierwszą, żałobne pienia na następne strony — wysyłając je do drukarni w Krakowie z instrukcją zmian treści numeru. W nocy jeden z redaktorów przypomniał sobie z przerażeniem, że wśród zatwierdzonych dawniej

do druku bajek był też wierszyk:

*Kogutek wpadł w pokrzywy
i leży jak nieżywy.*

Zaalarmowani członkowie redakcji po próbach nocnych telefonów udali się o świcie pierwszym samolotem do Krakowa w pogoni za kogutkiem.

W prasie PRL znaczenie artykułów zależało niemal zawsze nie tylko od ich treści, lecz i od sąsiedztwa i daty druku. Działająca w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Alicję Lisiecką, z chwilą gdy przestała być potrzebna, usunięto z redakcji *Nowej Kultury*, ponieważ jako zastępca naczelnego redaktora dopuściła do zamieszczenia przychylniej recenzji z książki Adama Ważyka w numerze z datą 22 lipca. Można było chwalić apolityczną powieść Ważyka, byle nie na początku maja i nie w drugiej połowie lipca.

Ze wszystkich pism najlepiej radziła sobie *Polityka*. Zawsze była pismem partyjnym, wyrażającym opinie Biura Politycznego. Równocześnie na jej łamach, zwłaszcza na stronach drugiej i ostatniej, nader dyskretnie lecz regularnie grasował kogutek, nadając całoci ponurego przesłania delikatny odcień niepowagi. Paru stałych autorów w rodzaju Hanny Krall i Andrzeja K. Wróblewskiego wyraźnie nie żywiło upodobania do kłamstwa, a zawsze ciekawe felietony Macieja Iłowieckiego, wolne przez lata od wszelkiej tendencji politycznej, byłyby ozdobą każdego pisma. Właściwy twórca *Polityki*, założonej przez Stefana Żółkiewskiego — Mieczysław Rakowski — gdyby nie był tam posłany przez partię, ze swoim ciężkim piórem i zwyczajem zwracania się w gruncie rzeczy raczej do instancji partyjnych niż do czytelników, nie miałby chyba szans na debiut w tym piśmie. Dzięki swym wpływom politycznym mógł swoim współpracownikom zapewnić starannie skalkulowaną swobodę. W pierwszych latach Gierka Daniel Passent wydrukował przymilny opis posiadzenia gabinetu Jaroszewicza, ale przeprowadzając wywiad z Maciejem Szczepańskim pozwalał sobie na jawne szyderstwa. Passent, gorliwie zwalczający Wolną Europę, zarazem zjednywał licznych czytelników morderczymi żartami z towarzyszy Kąkola, Gaworskiego czy Drozdowskiego. Żarty skończyły się 13 grudnia. Kto nie miał ochoty kłamać, opuścił redakcję. Pozostali zdecydowanie wspierali stan wojenny, nie pozwalając sobie jednak na entuzjazm. Na zwolnione miejsca natychmiast awansowali nowi ludzie jak satyryk Groński, który przybył tu z trzeciorzędnych *Szpilek*. Przed wyborami 4 czerwca *Polityka* w sposób inteligentny i stonowany brała udział w kampanii strony komunistycznej. Natychmiast po wyborach przybrała pozę bez-

stronnego obserwatora. Zaczęła się też zamieniać w Hyde Park. Rzetelne reportaże z dzisiejszej Polski sąsiadują tu z łzawymi tekstami o krzywdach czynionych zasłużonym towarzyszom. Trzeźwe rachunki dokonanych przez system spustoszeń mieszają się z wprawkami w odnawianiu komunistycznej retoryki. Właściwą politykę pisma prowadzą dwaj felietoniści z ostatniej strony, Passent i Toeplitz. Obserwowanie Passenta, który unikając wszelkich gwałtownych ruchów, ciągle w tym samym miejscu, przestępując z nogi na nogę, potrafi całkowicie zmieniać pozycję, jest szczególnie rozrywką. I Toeplitz i Passent zaczęli szybko udzielać poparcia a nawet pochwał rządowi, łącząc je z drobnymi lecz jadowitymi uwagami na temat Lecha Wałęsy. Intryga odniosła skutek stwarzając wrażenie, że zasłużeni przedstawiciele starego systemu doskonale się czują w nowej sytuacji, przyczyniając się do niesnasek w obozie Solidarności.

Nie ulega kwestii, że kłótnie i swary, bo przecież nie dyskusje, zapoczątkował *Tygodnik Solidarność*, redakcja *Gazety Wyborczej* szybko jednak zniżyła się do poziomu tych połajanek. Nie do mnie należy rozstrzygnięcie, czy *Gazeta* ma prawo do używania znaku związku, jestem jednak pewna, że redakcja *Tygodnika* nie pamięta lub nie przywiązuje wagi do sensu słowa używanego w tytule swego pisma. Ostatnio skwapliwie pisuje się tam o Tysolu, ludziach Tysola. To upiorne słowo jest najczystsza kontynuacją nowomowy. Mniejsza o posła Michnika, który nie jest dzieckiem i jakoś lepiej lub gorzej sobie poradzi z napaściami. Szczerze mnie jednak zbrzydził tekst o pani Annie Walentynowicz w 34 numerze *Tygodnika* z 24 sierpnia. Przykro jest się dowiadywać, że ta osoba, mająca swoje miejsce obok Wałęsy w indeksie nazwisk każdej poważnej książki na temat najnowszej historii, źle się czuje w dzisiejszej Polsce. Rozgoryczona pani Walentynowicz mówi — a wierzę, że dziennikarz zapisał jej wiernie — zdania jaskrawo niemądre. Rzecz w tym, że Grzegorz Nawrocki udaje fałszywie szacunek dla swej rozmówczyni i wyciąga od niej, skłania ją do mówienia głupstw, które skwapliwie zapisuje. Teresa Torńska nie ukrywała przed rozmówcami swoich opinii. Myślę, że zapisywałam podobne rozmowy na użytek szerszej publiczności tylko, gdyby były prowadzone z kimś, kto stoi na czele ruchu zagrażającego Polsce. Mającej prawo do naszego szacunku pani W. powiedziałabym w oczy, dlaczego się z nią nie zgadzam i wtedy może ogłosiłabym nasz dialog. Może jeszcze napisałamby prywatne listy do Wałęsy i Kuronia, pytając ich czy nie chcieliby się zdobyć na jakieś gesty. Wypychanie zaś na widok publiczny osoby w złym stanie ducha odczuwam tak, jak gdyby ktoś na mnie kierował reflektory w chwili, gdy naciągnęłam jedną pończochę, a drugą jeszcze trzymam w ręku.

Teraz, gdy oba pisma — niegdyś nasze — zapomniały gdzie jest główny przeciwnik, gorsze chwile przeżywa także *Tygodnik Powszechny*. TP przez cały okres PRL był najważniejszym pismem dzięki swej bezkonkurencyjnej pozycji moralnej. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych, z chwilą rozprzegania się cenzury, *Tygodnik* potrafił błyskawicznie opanowywać nowe obszary rozważań o prawie i gospodarce. Od czasu powołania rządu Mazowieckiego *Tygodnik Powszechny* przyjął jednak postawę wuja, dumnego i niezmiernie zadowolonego, że ktoś z młodszych członków rodziny objął ster rządów. Redakcja ogłosiła wprawdzie, że ludzie przyzwoici mają prawo krytykować poszczególne posunięcia rządu, sama jednak nie zdobyła się na istotną krytykę czy dyskusję w żadnej kwestii i nie zdołała wypracować partnerskiej postawy wobec rządu, jaką zachowuje na przykład konserwatywny *Daily Telegraph* w stosunku do pani Thatcher. Z tej słabości trzech naszych pism skorzystała niezwłocznie *Polityka*, zapraszając do współpracy i prosząc o wywiady nieposzlakowanych przedstawicieli szerokiej opinii publicznej. I te zaproszenia zostały na ogół przyjęte. Jest naturalne, że Passent i Teoplitz starannie troszczą się o interesy dawnej nomenklatury i autorytet urzędu prezydenta. Prezydenta Jaruzelskiego. Nie ma nic złego w tym, że Mieczysław Rakowski znajduje miejsce, w którym może opowiadać o swoich dobrych intencjach. Mniej mi się podoba, że te zabiegi są legitymowane przez to, że równocześnie w tym samym miejscu ksiądz Henryk Jankowski opowiada o charakterze Wałęsy, a ksiądz profesor Pasierb ocenia tydzień w telewizji, choć miałby do dyspozycji ambonę, katedrę uniwersytecką i kilkanaście pism katolickich. Wołałam, gdy w roku 1983, przed drugą pielgrzymką Ojca św., pewien wiejski proboszcz spytany, jak jego parafia przygotowuje się do tej wizyty, odpowiedział — według relacji reporterki: z panią redaktor *Polityki* nie muszę i nie mam ochoty rozmawiać. Podobnie nie mam ochoty czytać teraz pochwał udzielanych Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu przez Kazimierza Koźniewskiego. Oczywiście obaj księża mówią rzeczy godziwe i ciekawe, a fakt ich występowania w *Polityce* nie dowodzi, że stali się krypto-komunistami. Tyle, że przy tej okazji stworzyli złudne wrażenie, że Teoplitz jest właściwie kimś do nich podobnym.

Skoro *Tygodnik Solidarność* jest nie tyle krytyczny, co nieuprzejmy wobec rządu, *Tygodnik Powszechny* zbyt familiarny, *Gazeta Wyborcza* uchodzi za organ jednej tylko grupy, a *Rzeczpospolita* jest dziennikiem urzędowym, pani minister Izabella Cywińska wybrała sobie *Politykę*, by na jej łamach — co ważne — nie w wywiadzie, bo ministrowie powinni oczywiście odpowiadać na pytania wszystkich pism, lecz w napisanym przez sie-

bie artykule zaproponować rozżalonym twórcom pakt. Bardziej naturalne wydało mi się, że Czesław Kiszcak — wtedy jeszcze minister — wysyłając list do Jerzego Giedroycia w sprawie nieporozumień we własnej rodzinie udostępnił go zarazem *Polityce*, załączając przy okazji drugi list, do redaktora Grońskiego, autora felietonu o pani generałowej, wyrażając żal i ubolewanie, że G. „nie zadzwonił do niego jak czyni bardzo wielu jego kolegów, redaktorów *Polityki*, bo przecież w osobistej rozmowie mógłbym wyjaśnić wiele nurtujących go wątpliwości”.

Nie zapoznałam się z propozycjami pani minister, bo nie życząc sobie, by dla odbycia poważnej rozmowy wciągano mnie do bramy kamienicy, w której mieści się kantor wymiany walorów, bądź do hallu ambasady sowieckiej. A *Polityka* ma coś z ducha obu tych instytucji. Zarówno kantory jak ambasada działają skutecznie, posługując się dziś metodami niekonwencjonalnymi. Latem drugi sekretarz ambasady sowieckiej odwiedził w Legnicy głodujących członków KPN, mówiąc im, że bardzo mu się podoba hasło: Sowietci do domu — bo on też chciałby wrócić do domu. Uczciwi Polacy, którzy przez 45 lat nie mieli żadnej możliwości pracy w służbie dyplomatycznej, przyjęli — jak doniosła prasa — z żywym zadowoleniem tę wypowiedź, nie zadając pytania, czy to rzeczywiście tak trudno uzyskać odwołanie z placówki zagranicznej. Zapewne zresztą coraz częściej nadużywana forma działalności publicznej, jaką stały się głódówki, osłabia sprawność władz umysłowych. A właśnie trzeźwość umysłu przydałaby się najbardziej w chwili, gdy teksty minister Cywińskiej, wiceministra Marka Dąbrowskiego, księdza profesora Pasierba, barda Wolnej Europy Jacka Kaczmarskiego i poetki Julii Hartwig zasłoniły dokładnie czerwony grzebyk kogutka, sprawiając, że *Polityka* staje się najbardziej wpływowym tygodnikiem w Polsce.

Zofia ZIEMIĘCKA

10.9.1990

Dlaczego lubię Australijczyków

Przed wielu laty, niedługo po przyjeździe do Australii, zaangażowany byłem w projekcie modernizacji części sydneyjskiej fabryki środków piorących Colgate-Palmolive. Wymagało to częstych spotkań z dyrekcją techniczną — moim rozmówcą był nieżyjący już dzisiaj dyrektor produkcji, pięćdziesięciokilkuletni Fred Baker. Sympatyczny człowiek, starej daty inżynier, od wielu lat na tym samym stanowisku.

Kiedy zadzwoniłem któregoś dnia, prosząc o następne spotkanie, zaproponował abym przyjechał około 10-tej rano — wypijemy razem sakramentalną *morning tea*. Fred czekał na mnie i zaraz udaliśmy się do wielkiej sali kantyny-jadłodajni, gdzie schodziło się na posiłki kilkuset robotników fabryki.

Fred szedł przodem. Kiedy weszliśmy do kantyny, była jeszcze zupełnie pusta. Na drugim końcu sali ujrzeliśmy dwie pracownice mocujące się z wielkim, ciężkim kotłem z herbatą, który trzeba było przenieść na inne miejsce. „O, jak dobrze — wykrzyknęła jedna z nich. — Fred, pomóż nam przenieść ten kocioł”. Mój dyrektor produkcji bez słowa złapał za kocioł i spełnił prośbę kobiety. Druga z nich nie była chyba Australijką; wnioskując z czarnych włosów, niskiego wzrostu i korpulentnej tuszy — pochodzić musiała z Włoch, Grecji lub innego kraju śródziemnego.

Przybyły niedawno z Europy — oniemiałem. Fredowi nie tylko żadna korona z głowy nie spadła (solennie zapewniam, że w ogóle jej nie zauważyłem!), ale zwrócenie się o tego rodzaju pomoc do dyrektora technicznego fabryki było dla tej australijskiej robotnicy czymś zupełnie naturalnym. Co myślała sobie w tym momencie ta druga, nowo-Australijka, Pan Bóg tylko raczy wiedzieć.

Po pięciu latach nasze bieżące paszporty wygasły. Zachodziła konieczność wyrobienia sobie nowych. Formalności takie można w Australii załatwić także na... lokalnej poczcie. Najpierw otrzymaliśmy oczywiście odpowiednie formularze, które trzeba było wypełnić. Aby je oddać, razem ze zdjęciami, należy umówić się na rozmowę z kierownikiem poczty. Ustaliliśmy więc datę spotkania i za tydzień czy 10 dni, kiedy mieliśmy już wszystko gotowe, o określonej godzinie zjawiliśmy się w naszym lokalnym urzędzie pocztowym. Po kilku minutach *Postmaster*,

Sprawy i troski

OŚWIADCZENIE

Pragnę poinformować, że Wydawnictwo Polonia (Polonia Book Fund Ltd.) zakończy swoją działalność wydawniczą 31 grudnia br. i następnie ulegnie likwidacji jako podmiot gospodarczy w Wielkiej Brytanii. Kurczący się rynek czytelniczy na emigracji, przy nieunormowanym jeszcze krajowym, to warunki trudne do dalszego rozwijania inicjatywy wydawniczej. Przeobrażenia polityczne w kraju powodują jednocześnie, że istnienie Polonii staje się mniej nieodzowne niż w minionych latach.

Dla przypomnienia. Wydawnictwo Polonia założył w 1959 roku śp. Andrzej Stypułkowski i prowadził firmę do swojej przedwczesnej śmierci w 1981 r. Od 1982 r. pracami wydawnictwa kieruje niżej podpisany. Katalog wydawniczy Polonii zawiera przeszło 100 tytułów autorów polskich i obcych.

Wszelkie bieżące zobowiązania wydawnicze Polonii będą wykonane.

Zamykając wydawnictwo, chcielibyśmy podziękować tym wszystkim autorom, którzy powierzyli Polonii swoje dzieła, współpracownikom krajowym, którzy — narażając często własne bezpieczeństwo — wspierali nasz wysiłek wydawniczy w Polsce, i wreszcie licznym przyjaciółom wydawnictwa na emigracji, bez których działalność nasza byłaby niemożliwa.

Czytelników zainteresowanych emigracyjnym ruchem wydawniczym chciałbym dodatkowo poinformować, że będę kontynuował swoją pracę wydawniczą — wraz z przyjaciółmi w kraju — pod znakiem Wydawnictwa Puls.

Jan CHODAKOWSKI

Dyrektor Wydawnictwa Polonia

młody, rudy Szkot, otwierał nam drzwi i zaraz znaleźliśmy się w jego nowoczesnym i ładnie urządzonej biurze. Sprawdził nasze papiery, złożyliśmy żądane podpisy i po 5-ciu minutach sprawa była załatwiona. Paszporty otrzymaliśmy pocztą po tygodniu — przyniosła nam je wraz z innymi listami nasza miła listonoszka.

Któregoś ranka, idąc po odbiór poczty ze skrytki pocztowej, zobaczyłem naszego rudego kierownika zamiatającego schody oraz wejście i część chodnika przed budynkiem swej poczty. Jest to w tej dzielnicy spora instytucja, zatrudniająca 10 czy 15 osób, z których — zupełnie prawdopodobnie — kilka w tym samym czasie nie miało nawet co robić (było jeszcze 10 minut do otwarcia poczty). Kiedy pozdrowiłem go uwagą, iż przyjemnie jest widzieć kierownika poczty z miotłą w ręku — nie bardzo w ogóle wiedział, o czym mówię. „W taki ładny dzień dobrze jest popracować trochę na powietrzu” — odpowiedział. To, że „nie licuje to z jego stanowiskiem”, że mógłby wykonanie tej pracy polecić komuś z podwładnych, w ogóle nie przyszło mu do głowy.

W części Sydney, gdzie mieszkam, na obszarze pięciu czy sześciu kilometrów kwadratowych znajduje się szereg kościołów protestanckich: anglikańskich, prezbiteriańskich, różnych. Wśród nich od czasu do czasu kościół rzymskokatolicki, jeden czy dwa kościoły obrządku greckokatolickiego, ze trzy czy cztery synagogi. Cerkwi prawosławnych w tej części miasta nie ma. Nieliczne meczety czy świątynie buddyjskie znaleźć można w innych, odległych ode mnie dzielnicach.

Różnorodności kościołów i innych świątyń odpowiada kalejdoskop szkół prywatnych: katolickich, protestanckich, żydowskich i innych. Ale w katolickim gimnazjum *Sacre Coeur*, gdzie uczy Carla, wielu nauczycieli, podobnie jak ona, to nie-katolicy, wyznawcy innych religii lub niewierzący. W szóstej klasie państwowej szkoły powszechnej 11-letnia Danielle co czwartek po szkole idzie na zajęcia świetlicowe do pobliskiego *Church England*. „Dzisiaj mogliśmy wyjść wcześniej — mówi Danielle — mieliśmy inną nauczycielkę, bo nasza wychowawczyni, pani Chaimowicz, obchodzi swoje żydowskie święto”.

W fabrykach, z którymi mam do czynienia, obok Australijczyków oraz robotników różnych narodowości europejskich pracuje dużo Azjatów: Chińczyków, Wietnamczyków, Filipińczyków. W sklepach, urzędach, restauracjach, środkach komunikacji miejskiej mamy na co dzień do czynienia z personelem wielu narodowości, białych i kolorowych, pracujących razem w warunkach harmonii i koleżeństwa. Mimo, że jestem biały i zupełnie bezpiecznie można by wobec mnie wyrazić się drwiąco czy

obraźliwie o ludziach kolorowych, nigdy się z tym nie spotkałem. Nigdy, w ciągu 30 lat życia w tym kraju. Podobnie nie słyszałem nigdy wypowiadanych przez kogokolwiek obraźliwych epitetów wobec osób trzecich, w rodzaju „brudny Arab” czy „parszywy Żyd”.

Australia nie jest bynajmniej — jak by z tego wynikało — jakimś rajem na ziemi. Na uniwersytetach, gdzie azjatyccy studenci znajdują się często w czolówce, pojawiają się czasem napisy *Asians go home*. Prasa doniosła ostatnio, że jakiegoś irańskiego robotnika w kopalni w Zachodniej Australii dyskryminowali (z uwagi na jego pochodzenie) miejscowi koledzy. Zaskarżył ich do sądu. Wygrał i uzyskał odszkodowanie w wysokości \$10.000. Są to jednak wypadki sporadyczne. Mowy nie ma o tym, aby zdążających w sobotę do synagogi, w jarmułkach oczywiście, licznych Żydów ktoś obrzucał drwinami lub wyzwiskami.

Toczy się tu obecnie dyskusja na temat coraz liczniejszej imigracji ajzatyckiej. Wyrażane są obawy, czy jest to właściwa polityka, czy można liczyć na integrację tych ludzi w społeczeństwie o pochodzeniu europejskim, o tradycji judeo-chrześcijańskiej. Na co dzień, w stosunkach między ludźmi, panuje jednak, jak dotąd, prawdziwa tolerancja i zasada *live and let live*. Nie ulega kwestii, iż fakt, że odmienna rasa czy wyznanie nie wiążą się tu — jak często w innych krajach — z wyraźnie gorszą sytuacją materialną, odgrywa w tym niemałą rolę.

W biurze dzwoni telefon. „Tu John Brown z firmy... Chciałbym dowiedzieć się, czy możecie mi pomóc rozwiązać następujący problem?”. „Hello, John, jestem George...” — przedstawiam się. W dalszej rozmowie jesteśmy już tylko „John i George”. Kiedy za kilka dni odwiedzam go (po raz pierwszy) w jego biurze, rozmawiamy już jak starzy znajomi. W korespondencji handlowej do adresata zwracam się wyłącznie przez „Jim” czy „Jack”. Bardzo rzadko, może w niektórych oficjalnych dokumentach, obowiązuje zwrot po nazwisku. Zgłaszająca się do szpitala na badanie 40-letnia kobieta podaje lekarzowi swoje papiery. Nazywa się Anne Taylor. Lekarz, najprawdopodobniej, będzie ją z miejsca nazywał „Anne”. W pracy, w biurze, sklepie czy fabryce wszyscy mówią sobie po imieniu. Podobnie na Uniwersytecie. Kierownik katedry, profesor, wielki naukowiec, ogłoszenie o specjalnym seminarium podpisuje tylko: Charles Birch. Gdyby ktoś nie wiedział, kim jest, mógłby go wziąć za studenta lub członka administracji. Europejskie „panie profesorze”, „panie doktorze”, „panie inżynierze” nie tylko nie jest używane, ale na tle ogólnie panującej bezpośredniości brzmi sztucznie, obco, napuszenie.

Ale ta bezpośredniość to nie tylko duch angielskiego języka ze znanym *you* w drugiej osobie liczby pojedynczej i mnogiej. To także wyraz równości i egalitarnego ducha, o których była mowa przedtem. Występując w wywiadzie telewizyjnym lub radiowym, premier mówi o swoim ministrze per „Paul” czy „John”, a reagując na ostatnią krytykę przywódcy opozycji, Andrew Peacock, powie np.: „Wypowiedź Andrew jest jak zwykle cyniczna i błyskotliwa, ale nie opiera się na faktach” (czy coś w tym rodzaju).

Od tego ogólnego bardzo ułatwiającego życie „tykania się” istnieją ważne wyjątki. W urzędzie państwowym, w banku, w liniach lotniczych itp. do p. John Smith nikt nie powie „John” — tylko „Mr. Smith”. Zaś policjant przeglądający jego prawo jazdy nie pozwoli sobie nawet na „Mr. Smith”. Jego obowiązkiem jest zwrócenie się do obywatela przez „Sir”.

„Jesteś tu od tylu lat — mówi przybyły niedawno, zupełnie dobrze mówiący po angielsku, nowy emigrant Polak. — Załatw mi jakąś pracę”. „Załatw”. To określenie tutaj w ogóle nie pasuje. Tu się w tym sensie niczego nie „załatwi”. Mogę mu poradzić gdzie (w jakich gazetach) najlepiej szukać ogłoszeń pewnego typu pracy. Mogę z nim razem przejrzeć „żółte strony” książki telefonicznej, kopalnię wiadomości i informacji. Mogę wreszcie pomóc sformułować jego podanie o pracę oraz *curriculum vitae*. To wszystko. Gdybym zadzwonił do kolegi — dyrektora fabryki i powiedział: „mam tu znajomego, który niedawno przyjechał, zdolny inżynier” — taka forma polecenia na ogół nie tylko nie pomoże, ale może nawet zaszkodzić. Oznacza bowiem, że staram się załatwić sprawę w sposób nie będący tu w użyciu, wbrew przyjętym zwyczajom. Niepodobiestwem jest, aby mój znajomy czy przyjaciel przyjął kogoś do pracy dlatego, że ja go o to proszę. Człowieka ocenia się na podstawie tego, czym się wykaże. Nie tylko i nie tyle za pomocą dokumentów, ale tym co potrafi robić. Nikt oczywiście nie zatrudni tu lekarza czy inżyniera bez uznanego dyplomu, ale sam dyplom nie wystarcza. Liczy się człowiek i jego umiejętności. W tym sensie każdy ma szansę, bez względu na to skąd przybył i jak długo jest w tym kraju. Warunkiem będzie oczywiście dostateczny stopień znajomości języka. Sam zainteresowany musi się jednak ubiegać o interesującą go pracę i umieć sprzedać swoje kwalifikacje, swoją przydatność w określonej sytuacji.

Mój syn, po zdobyciu dyplomu uniwersyteckiego z wyróżnieniem, zatrudniony był przez rok jako asystent na innym uniwersytecie, tu w Sydney. Akurat bowiem potrzebowano zastępstwa dla nieobecnego wykładowcy. Praca ta bardzo mu odpowiadała, byli z niego zadowoleni i chętnie by tam został na

stałe. Cóż, kiedy nie było jeszcze ogłoszenia tego etatu. Miałem wówczas na tym samym uniwersytecie przyjaciela, profesora, członka Rady Uniwersyteckiej, nestora tej instytucji. Znał i lubił naszego Tadeusza. Do głowy by mi jednak nie przyszło prosić mojego profesora o „wstawienie się” za Tadeuszem lub o „poparcie” czy „załatwienie” jego sprawy.

Niedawno miałem możliwość wypełnienia ankiety na temat wielokulturowości, rozesłanej do różnych osób i organizacji przez dr. Jerzego Klima z Canberry. Zawierała ona szereg pytań o to jak funkcjonować powinna, a jak działa w praktyce polityka wielokulturowości. Na końcu ankiety umieszczone było ciekawe pytanie: *Jakie są podstawowe cechy kultury australijskiej, jacy są Australijczycy?* Pytanie to było szczególnie interesujące nie tyle dlatego, że Australia jest krajem (narodem) młodym. Dawało ono przede wszystkim okazję do spojrzenia z pewnego dystansu na ludzi, wśród których żyję i których zalety i wady mam możliwość odczuwać na co dzień. Z ducha pytania wynikało, że chodzi głównie o próbę rozpoznania cech pozytywnych i z tego punktu widzenia podszedłem do wypełnienia tej części ankiety. Po jej wysłaniu dyskutowałem na ten temat nadal z wieloma osobami różnych narodowości. W ten sposób doszedłem do zweryfikowania i ostatecznego sformułowania kilku podstawowych cech Australijczyków. Oczywiście wszelkie próby uogólnienia cech kulturowych czy narodowych nie oznaczają, że posiadają je wszyscy ludzie należący do danej kultury czy narodu. Zawsze można wskazać na przypadki odbiegające od stereotypu. Warto zauważyć, że choć dziś Australia to zlepek kultur i narodowości, dominującą kulturą jest tu nadal kultura anglosaska. Podlega ona oczywiście wpływowi innych grup etnicznych składających się na Australię, ale bardziej widoczny jest wpływ tej dominującej kultury na nowoprzybyłych. Cechy kultury, jej zalety czy wady, nie muszą być „zasługą” lub „winą” jej reprezentantów. Cechy te wynikają z historii oraz obecnych warunków (środowiska) danego kraju. Zalety mogą nawet niekiedy być skutkiem wad, czy odwrotnie. Zobaczymy to na konkretnych przykładach. Wiele cech jest wyraźnie spokrewnionych ze sobą, wiążą się wzajemnie. Jakże są więc te cechy kultury australijskiej, jacy są Australijczycy?

Równość. Nie ulega wątpliwości, że Australia jest jednym z najbardziej egalitarnych krajów na świecie. Każdy czuje się tu równy wobec każdego, bez względu na wykształcenie, zawód czy wykonywaną pracę, pochodzenie, religię itp. Widać to na każdym kroku, a najlepiej chyba w stosunku pracownika do pracodawcy i odwrotnie. Jednym ze źródeł tej postawy (a jest ich wiele) może być także panujący w Australii antyintelektualizm.

Zasada „fair go”. Australijczyków nie interesuje „historia” danego człowieka, jego zasługi przeszłości czy stosunki. Panujący duch wymaga, aby każdego traktować tak samo, aby *każdemu dać szansę*.

Tolerancja. W tym wielokulturowym i wieloreligijnym kraju panuje zdecydowana tolerancja. Australijczycy i różne grupy etniczne mogą się „trzymać swoich”, czy to współziomków czy współwyznawców, bo to jest postawa naturalna. Nie ma jednak mowy o wyszydzeniu czy dyskryminowaniu innych tylko dlatego, że wyglądają czy zachowują się inaczej. Każdy ma tu prawo żyć własnym życiem. Warto zauważyć, że taka postawa tolerancji nie musi wynikać tylko z anglosaskiej tradycji. Z pewnością jest ona spowodowana także dobrymi warunkami tego kraju, w którym jest jeszcze wiele miejsca i możliwości. Wynikać może ona także z obojętności i braku zainteresowania dla innych kultur (tak długo, jak „nie wadzą”) oraz z bardzo słabego poziomu ogólnego nauczania w tym kraju.

Skromność. Australijczycy to ludzie umniejszający czy bagatelizujący swoje osiągnięcia. W wypadku bohaterstwa czy pomocy innym w życiu codziennym bynajmniej nie oczekują publicznego uznania, nagród, pochwał czy zaszczytów. Pod tym względem Australijczycy często wolą pozostać *incognito*.

Bezpośredniość. W życiu codziennym Australijczycy to ludzie bardzo bezpośredni, unikający pretensjonalności i nie zwracający uwagi na niepotrzebne formy. Cecha ta wiąże się niewątpliwie z panującym tu duchem egalitaryzmu.

Pogodność. Słońce, stosunkowa łatwość życia. A także brak *nadmiernej* pogoni za pieniądzem i w ogóle wolniejsze tempo — wszystko to powoduje pogodę ducha. Określana jest ona świetnie angielskim powiedzeniem *easy going*. Tacy właśnie są Australijczycy.

Sympatia dla ludzi „pod wozem”. Człowiek uważany za poszkodowanego przez los (*underdog*) tradycyjnie może liczyć na sympatię przeciętnego Australijczyka. Los ten nie musi przy tym koniecznie być wynikiem tzw. obiektywnych trudności. Może być na przykład skutkiem życiowego błędu czy choćby kolizji z prawem.

Zahartowanie i samowystarczalność. W stosunku do przyrody, klęsk żywiołowych i tym podobnych okoliczności Australijczycy wykazują „twardość”. Nie narzekają, znoszą z pogodą ducha pionierskie warunki, suszę, pożary, powodzie. Nie są „rozpieszczeni”. Przyzwyczajeni są poza tym do polegania na sobie samych. Wyraża się to w zaradności technicznej i umiejętności (a w każdym razie gotowości) do samodzielnego rozwiązywania problemów tej natury.

Wszystkie wymienione cechy mają charakter pozytywny.

Posiadają jednak oczywiście Australijczycy także kilka powszechnie obserwowanych wad. Do nich należy przede wszystkim *brak ciekawości świata i ludzi*. Wydaje się, że należy to złożyć na karb nie tylko insularnego charakteru kultury anglosaskiej, ale — w dużym stopniu także na karb bardzo niskiego poziomu ogólnego nauczania (a więc wykształcenia). Inną wadą jest *brak wizji i szerokiego spojrzenia, brak ambicji*, a także *pewien stopień lenistwa*. Ta ostatnia cecha jest z pewnością elementem wspomnianej już przedtem bardzo przyjemnej cechy *easy going*. Wreszcie irytującą wadą jest *nieumiejętność przyjmowania krytyki czy śmiania się z samych siebie* i inne pokrewne temu kompleksy.

Wszystkie omówione tu typowe cechy Australijczyków trzeba, rzecz jasna, rozpatrywać w porównaniu i na tle typowych cech innych kultur czy narodowości. Właśnie w takim porównaniu wykazują Australijczycy w sumie wiele zalet i wypadną bardzo pozytywnie w tego rodzaju „międzynarodowej konkurencji”. Kulturowo są oni od nas Polaków (jak i od większości Europejczyków) bardzo różni. Nie jest więc dziwne, że pod wieloma względami mogą być dla nas obcy. A jednocześnie zdecydowanie dają się lubić.

Jerzy BONIECKI

Sydney, czerwiec 1990

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

O religii bez namaszczenia

Katolicy, prawosławni, unicy i inni

To, co się dzieje w sferze religijnej tuż za naszą wschodnią granicą, jest doskonałą ilustracją całego splotu zagadnień — teologicznych, społecznych, historycznych — które można by objąć ogólnym mianem *religia a kultura*. Oczywiście można traktować religię jako tylko jeden z elementów kultury, ale jest ona również (jak twierdził Arnold Toynbee w kontekście historii powszechnej, a Christopher Dawson w odniesieniu do historii Europy) twórcą kultury — albo kultur. Religia (każda religia) pretenduje zawsze do jakiegoś poza-ziemskiego pochodzenia i apeluje do poza-ziemskiego autorytetu; kultura zastana jest zatem dla religii ziemskim surowcem, który usiłuje przeniknąć i przetworzyć, a równocześnie ten surowiec staje się niezbędnym dla niej środkiem wyrazu jej poza-ziemskich intuicji i narzędziem do realizowania jej posłannictwa. Z tego punktu widzenia kultura jest literą, w którą wciela się duch.

Brzmi to wszystko trochę abstrakcyjnie, ale sądzę że bez takiej siatki pojęć ogólnych niepodobna zrozumieć konkretnych faktów, które się dookoła nas dzieją. Przejdźmy zatem do konkretów. Siatka przyda się później.

Mam na myśli w pierwszym rzędzie sytuację Kościoła greckokatolickiego (albo Kościoła katolickiego obrządku słowiańskiego, czyli. tzw. unitów) w sowieckiej (jeszcze) republice ukraińskiej, zwłaszcza jej zachodniej części, której stolicą jest Lwów. Kościół ten, dzieło Uni Brzeskiej z roku 1596, nigdy nie miał łatwego życia, nawet w dawnej Rzeczypospolitej (warto przejrzeć odpowiednie stronicę w dziele Pawła Jasienicy). W zaborze rosyjskim został zakazany już w roku 1839 i ówcześni unicy zostali zmuszeni do powrotu do prawosławia albo do zadeklarowania się jako rzymscy katolicy, a tym samym jako

Polacy. Przetrwał w zachodniej Ukrainie, która znalazła się pod zaborem austriackim (i dlatego nazywa się dziś często ukraińskim Kościołem katolickim) aż do roku 1946, gdy na nim rękę położył Stalin. Formalnie (i materialnie) był to znowu przymusowy powrót do prawosławia i odtąd Kościół greckokatolicki istniał formalnie tylko wśród ukraińskiej diaspory w zachodniej Europie i w Ameryce. Teraz, za Gorbaczowa, okazało się, w jak ogromnej mierze ten Kościół przetrwał w podziemiu na swym rodzimym gruncie. Nielegalne nabożeństwa i nauka wiary dokonywały się w prywatnych mieszkaniach i po lasach, odnawiały się szeregi prześladowanego kleru i w porozumieniu z Watykanem byli wyświęceni nowi biskupi. Arcybiskup Slipyj po latach katorgi znalazł się w Rzymie, gdzie obecnie jego następcą jest kardynał Lubacziwskij, ale pozostał w podziemiu arcybiskup Wołodymyr Sterniuk. Przymusowy powrót do prawosławia okazał się płytkim pozorem. Gdy tylko nadarzyła się okazja, prawosławny proboszcz kościoła Przemienienia Pańskiego we Lwowie, Jarosław Czuchnyj, zadeklarował się ukraińskim katolikiem i, o dziwo, cała parafia poszła za nim*. Od tego czasu taka przemiana dokonała się w całym szeregu zachodnioukraińskich parafii.

Do tej pory (początek lipca 1990) brak jeszcze formalnego uznania ukraińskiego Kościoła katolickiego przez władze sowieckie; dozwolona jest tylko rejestracja grup wyznaniowych nieprawosławnych, często bardzo małych, i władze cerkwi rosyjskiej stawiają silny opór. Toczy się walka o dusze i walka o cerkwie. Wyłonione w niedawnych wyborach władze miejskie Lwowa, o silnym zabarwieniu narodowo-ukraińskim, nie tylko uznały katolicką przynależność kościoła Przemienienia i kilku innych, ale przyznały stronie unickiej jej historyczną katedrę św. Jura, lecz prawosławny biskup odmawia przekazania katedry. Podobnie przedstawia się sytuacja w innych częściach zachodniej Ukrainy: władze lokalne są często przychylnie unitom, wbrew nakazom płynącym z góry od władz republiki ukraińskiej w Kijowie. Celem pohamowania odpływu wiernych od prawosławia utworzono w Kijowie osobny egzarchat ukraiński, dając tym samym Cerkwi ukraińskiej pewien, przynajmniej formalny stopień niezależności od patriarchatu moskiewskiego, ale skoro metropolita Filaret odprawia nabożeństwa w języku rosyjskim, nie wydaje się by był to zabieg bardzo skuteczny. Niezależnie od tego wypłynął na powierzchnię w samej Ukrainie autokefaliczny ukraiński Kościół prawosławny, który dotychczas istniał tylko na ucho-

* Ks. Czuchnyj oświadczył, że nie mogąc wstąpić do katolickiego seminarium wstąpił do prawosławnego. Ważność święceń kapłańskich obu wyznań jest uznawana przez obie strony. Jak to jest w zwyczaju w Kościołach wschodnich, ks. Czuchnyj jest żonaty i ma czworo dzieci.

dźstwie. Zdołał nawet odbyć się w Kijowie sobór, na który został zaproszony rezydujący w Stanach Zjednoczonych 92-letni arcybiskup Mstysław Skrypnyk. Władze sowieckie nie dopuściły do przyjazdu arcybiskupa, a reprezentujący go w Kijowie biskup Zytomierza Bodnarczuk został przez Cerkiew rosyjską ekskomunikowany. Arcybiskup Skrypnyk cieszy się ogromnym mirem wśród ukraińskich nacjonalistów; jest on sostrzeńcem Symona Petlury, wybitnego przywódcy niepodległej republiki ukraińskiej z lat 1918-1920 i sojusznika Piłsudskiego w czasie jego wyprawy kijowskiej.

Watykan jest żywo zainteresowany w całej tej sytuacji — nie tylko w trosce o rozwój odradzającego się Kościoła unickiego na Ukrainie. Watykanowi zależy również na dobrych stosunkach z patriarchatem moskiewskim w ramach wielkiego planu „polityki wschodniej” papieża Jana Pawła II, zmierzającej do pojednania z całym prawosławiem oraz zjednoczenia i rechrystianizacji całej Europy. I tak w pierwszej połowie marca doszło do czterostronnej konferencji z udziałem przedstawicieli patriarchatu moskiewskiego, wspomnianego egzarchatu kijowskiego, unitów i Watykanu. Delegacji watykańskiej przewodniczył sekretarz kongregacji dla spraw Kościołów wschodnich, arcybiskup Mirosław Marusyn, sam Ukrainiec, a delegacji Kościoła unickiego arcybiskup Sterniuk. Niespodziewanie doszło do konfliktu między obu ukraińskimi katolikami. Marusyn, niewątpliwie zgodnie ze swymi instrukcjami, zajmował stanowisko bardzo pojednawcze, godząc się na załatwienie tylko najbardziej palących problemów praktycznych, takich jak podział kościołów między oba wyznania, podczas gdy arcybiskup Sterniuk i towarzyszący mu biskupi unicy domagali się nade wszystko prawnego uznania ukraińskiego Kościoła katolickiego i zwrotu jego własności skonfiskowanej przez bezprawny synod 1946 roku na rzecz Cerkwi prawosławnej. Po kilku dniach arcybiskup Sterniuk oskarżył swoich partnerów o bojkotowanie zasadniczego problemu i wraz ze swą delegacją wycofał się z rozmów, uznając wszystkie dotychczasowe postanowienia za nieważne.

Następny akt dramatu rozegrał się w Watykanie. 25 czerwca papież przyjął na audiencji 30 ukraińskich biskupów (w tym 10 z samej Ukrainy) z kardynałem Lubacziwskim na czele. Przypomnił im, że Cerkiew prawosławna, jakkolwiek nie bez winy wobec unitów, też była zniewolona i cierpiała prześladowania. Wzywał zatem do przebaczenia win, podkreślając że zadaniem unitów jest stanowić nie przeszkodę, lecz pomost między katolicyzmem i prawosławiem. Kardynał Lubacziwskij w odpowiedzi przyrzekł, że ukraiński Kościół katolicki pójdzie po linii wskazanej przez papieża, lecz podkreślił, że w tej chwili ten Kościół musi wciąż jeszcze walczyć o swe prawo do istnienia.

Tymczasem nastąpiła zmiana na kluczowym stanowisku prawosławnego patriarchy Moskwy. Miejsce zmarłego patriarchy Pimena, obciążonego przez własny kler zarzutami wiernopoddańczej polityki wobec Breżniewa, zajął dotychczasowy metropolita Leningradu, Aleksy II, przez wielu uważany za umysł stosunkowo niezależny. Nowy patriarcha w pierwszym wywiadzie prasowym udzielonym *Izwiestiom* zajął stosunkowo ugodowe stanowisko wobec ukraińskich katolików, lecz o możliwości formalnego uznania unickiego Kościoła nie wspomniał. Wezwał tylko do wznowienia czterostronnych rozmów, które w marcu zakończyły się niepowodzeniem.

Tak się przedstawia sytuacja w chwili pisania artykułu. W ciągu najbliższych tygodni czy miesięcy zapewne ulegnie daleko idącym zmianom, chyba w kierunku większej wolności religijnej. Ale nie sądzę, by uległ zmianie charakter rozgrywki i jej ogólna atmosfera. Spójrzmy zatem na tę rozgrywkę poprzez pryzmat pojęć ogólnych, o których była mowa na wstępie.

Z czysto religijnego punktu widzenia sytuacja jest paradoksalna. Wszelkie spory religijne, w których nie tylko dochodzą do głosu, ale grają kluczową rolę partykularne interesy wyznaniowe, są religijnie kontr-produktywne. Są wprost zaprzeczeniem religii, bo podkopują samą jej rację bytu. Zwłaszcza w chrześcijaństwie, które jest przecież religią miłości i nakazuje miłość nawet wobec nieprzyjaciół. Rację więc miał papież, napominając biskupów unickich, by wybaczyli winy swoim prawosławnym braciom i stali się pomostem między zachodnim katolicyzmem a wschodnim prawosławiem. Ale i papież oczywiście nie rezygnuje z żądania restytucji niezależnego Kościoła katolickiego obrządku słowiańskiego na Ukrainie czy Białorusi i innych obszarach Związku Sowieckiego, czy w ogóle krajów wschodniej i południowo-wschodniej Europy. Samo pojęcie unitów jako pomostu między Zachodem a Wschodem było zawsze i jest nadal kontrowersyjne. Prawosławni, nie tylko Cerkwi rosyjskiej, która w czasie unii była jeszcze na Ukrainie nieobecna, ale i prawosławni dawnej wielonarodowej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej zawsze patrzyli na Unię Brzeską jako na podstępny zabieg łacinników, mający na celu pozabawienie tych nacji ich religijnej i narodowej tożsamości. Jakiegokolwiek autentycznie religijne motywy kierowały tymi, którzy przystąpili do unii, pamiętajmy, że Unia Brzeska była dziełem ery kontrreformacji i motywy polityczne i natury kulturowej też grały w niej niemałą rolę. Sami „unicy” przy tym bardzo nie lubią tej nazwy, właśnie dlatego że sugeruje im rolę pomostu. Dla nich ich grekokatoli-

czyż jest istotnym elementem ich własnej religijnej i kulturowej tożsamości, ukraińskiej, białoruskiej czy jeszcze innej, i odrębności zarówno od prawosławia jak i od łacińskiego Zachodu. Jest charakterystyczne, że gorliwa katolickość ukraińskich unitów idzie w parze z daleko idącą nieufnością do Watykanu. Wyzwoliwszy się z okowów rosyjskiego prawosławia, nie chcą popaść z kolei w całkowitą zależność od Rzymu. Przynajmniej od czasów kardynała Slipyja domagają się ustanowienia dla siebie osobnego patriarchatu z siedzibą w Kijowie, na równych prawach ze starożytnymi patriarchami chrześcijańskiego Wschodu, Konstantynopola, Antiochii i Jerozolimy (papież jest patriarchą Kościoła zachodniego). Żądaniu temu od lat dają wyraz grekokatolicy ukraińskiej diaspory. Dotychczas Rzym odmawiał, motywując to tym, że patriarchat jest pojęciem także terytorialnym, a ukraiński katolicyzm nie dysponował do tej pory właściwym sobie terytorium. Teraz, jak widzieliśmy, ta sytuacja ulega radykalnej zmianie i należy się spodziewać ustanowienia ukraińskiego patriarchatu w Kijowie w najbliższej przeszłości.

Patriarchat, struktura kościelna, język liturgiczny, styl liturgii i sztuki kościelnej, specyfika organizacyjnej dyscypliny — to wszystko są elementy lokalnej kultury, a równocześnie, jak powiedzieliśmy na wstępie, litera w której wyraża się duch, alfabet do wyrażania wewnętrznej treści religii w sposób zrozumiały dla miejscowych wiernych i bliski ich sercu. Kilkuwiekowa już historia Kościoła unickiego, często nad wyraz tragiczna, wykazała jak ważna dla jego wyznawców jest ta jego kulturowa litera. Jeśli na Ukrainie od lat 44, a na Białorusi przez okres już trzykrotnie dłuższy pielęgnowali tę swoją tradycję w ukryciu, nieraz za cenę życia i osobistej wolności, to nie tylko z wierności dla Rzymu i uniwersalnych prawd chrześcijaństwa. Walczyli także o swoją kulturową i narodową tożsamość, która jest dla nich nierozzerwalnie związana z ich chrześcijaństwem. I żaden chrześcijanin nie ma prawa oskarżać ich o wyznaniowy partykularyzm, bo żadne chrześcijaństwo nie może się obyć bez swego specyficznego kulturowego wyrazu. W ramach katolicyzmu dominująca w nim jego forma łacińska, która do niedawna wydawała się nam epitomem powszechności Kościoła (i do dziś nie wyrzekła się całkowicie tych aspiracji) też jest regionalnym tylko wytworem historii zachodniej Europy od czasów cesarstwa rzymskiego poczawszy, wyrazem kulturowym chrześcijaństwa bardzo odległym od atmosfery kulturalnej starożytnego Bliskiego Wschodu, zwłaszcza samego Izraela, w której chrześcijaństwo pierwotnie wyrosło. Wyszliśmy tu od kulturowego dziedzictwa katolickich unitów, ale to samo oczywiście stosuje się do prawosławia, zarówno Cerkwi rosyjskiej jak i prawosławia konstantynopolitańskiego, i do innych Kościołów wschodnich. Każda z

tych tradycji kulturowych jest na swój sposób cenna i dla miejscowych chrześcijan niezbędna. Stosuje się również do historycznych Kościołów protestanckich, które w ciągu kilku wieków, które upłynęły od reformacji, zdołały wytworzyć swoje własne tradycje kulturowego wyrazu wewnętrznych treści chrześcijaństwa. W rzeczy samej wydaje się, że różnice wyznaniowe, które obecnie stanowią przedmiot ekumenicznych dialogów, to w większej mierze różnice natury kulturowej, różnych tradycji kościelnych, niż natury ściśle religijnej, dogmatycznej czy moralnej. Jest rzeczą zgoła zdumiewającą, w jak wielkim stopniu w Kościołach oddzielonych od Rzymu, na skutek rozłamu Wschód-Zachód w XI wieku i na skutek Reformacji w wieku XVI, zasadnicze treści chrześcijaństwa zostały zachowane w stanie zasadniczo nienaruszonym. Rozłożenie akcentów jest często inne, ale niekoniecznie sprzeczne; sądzę, że na to różne rozłożenie akcentów trzeba raczej patrzeć jako na przejaw wewnętrznego bogactwa chrześcijaństwa, źródło wzajemnej nauki i duchowego postępu.

Co więcej, jesteśmy obecnie świadkami powstania nowych form kulturowych chrześcijaństwa, opartych na miejscowych przedchrześcijańskich tradycjach, w młodych Kościołach katolickich i protestanckich Trzeciego Świata, zwłaszcza w Afryce. (Kto wie, czy nie należałoby tu również zaliczyć całkiem nowych form życia religijnego, jakimi są tak zwane wspólnoty podstawowe (*comunidades di base*) w od wieku katolickich krajach Ameryki Łacińskiej?) Określa się to zjawisko mianem inkulturacji. Rzym całkiem wyraźnie zaakceptował zasadę inkulturacji w do niedawna wyłącznie misyjnych (i choćby dlatego niechętno europeizowanych) krajach afrykańskich, lecz w obawie przed naruszeniem czystości wiary stosuje tę zasadę nader ostrożnie, jeśli nie wprost bojaźliwie. Nielepiej chyba przedstawia się problem inkulturacji w Kościołach protestanckich Trzeciego Świata.

Oczywiście, niebezpieczeństwo że kulturowy wyraz chrześcijaństwa może zniekształcić jego wewnętrzną treść nie jest wyimaginowanym niebezpieczeństwem. Ale narażone na nie są nie tylko Kościoły lokalne czy mniej lub bardziej autonomiczne społeczności oddalone od centrum, ale i samo centrum. Historia Kościoła roi się od błędnych decyzji i orzeczeń papieży i soborów (myślę, że nie potrzeba tego udowadniać). A jednak nie jest to największe niebezpieczeństwo. Błędy, dlatego że są błędami, nie mają siły przetrwania, zapadają w przeszłość i zostają zapomniane, choć rzadko są *explicite* odwoływane. Ale warto tu przypomnieć formalne zdezawuowanie wyroku na Galileusza za obecnego pontyfikatu, czy też (co ważne w naszym bieżącym kontekście) również niedawne odwołanie klątwy, jaką w XI

wieku rzuciły na siebie wzajemnie Rzym i Konstantynopol. Wewnętrzna prawda chrześcijaństwa jest dość silna, by wypłynąć na wierzch i zdusić błąd: w języku teologicznym nazywa się to opieką Ducha Świętego nad Kościołem. Jest jednak inne niebezpieczeństwo, chyba nie mniej groźne, jeśli nie groźniejsze. Jest nim (zwykle nieświadoma) absolutyzacja kulturowego wyrazu wiary i stawianie go w praktyce ponad wewnętrzną treścią wiary. Absolutyzacja własnej tradycji kościelnej, własnej instytucji, własnego wyznania. Mówiąc znowu językiem teologicznym, jest to forma bałwochwalstwa, jako że coś, co nie jest Bogiem i odgrywa w stosunku człowieka do Boga rolę służebną, staje się czymś tak drogim sercu, że staje się przedmiotem bezkrytycznej czci — czyli idolem. Grzech przeciwko drugiemu przykazaniu. To ten grzech leżał u podstaw wojen religijnych i inkwizycji, choć to były tylko dwa najjaskrawsze i najbardziej antychrześcijańskie jego konsekwencje, które dziś mamy na szczęście za sobą. Ale czy działalność IRA i zajadły antypapizm sekt protestanckich z Północnej Irlandii nie jest ich przedłużeniem aż po dzień dzisiejszy? Zwykle jednak borykamy się dziś z tą pokusą w mniej jaskrawych formach. By ograniczyć się do przykładów z obszaru, na którym w tym artykule skupiliśmy uwagę: z jednej strony prawosławie wciąż jeszcze na usługach sowieckiego imperializmu i rusyfikacji, z drugiej strony wychodzący z podziemia Kościół greckokatolicki jako forpoczta ukraińskiego nacjonalizmu. O co właściwie biją się wyznawcy jednej i drugiej strony, biorąc się za łby dokoła zamkniętej na cztery spusty katedry św. Jura we Lwowie?*

Jest wiele przykładów takiej inwersji priorytetów na innych obszarach chrześcijańskiego świata. Problem jest generalny. Ma on swój aspekt społeczny, duszpasterski i w ostatecznej instancji

* Od czasu napisania artykułu grekokatolicy weszli w fizyczne posiadanie katedry. Odbyło się to w drodze *sui generis* religijnego zamachu stanu. 12 sierpnia trzydziestotysięczny tłum przemaszerował z innego lwowskiego kościoła do katedry i zajął gmach. Arcybiskup Sterniuk i inni duchowni nie wzięli udziału w tej akcji, ale byli w niej czynnie zaangażowani czołowi przedstawiciele władz miejskich Lwowa. W niedzielę 19 sierpnia arcybiskup wraz z pięciu innymi biskupami i 35 księżmi koncelebrował pierwsze od z górą 44 lat grekokatolickie nabożeństwo w katedrze św. Jura. Było to coś w rodzaju ukraińskiego święta narodowego z udziałem około 300.000 ludzi z całej Ukrainy. Wywołało to ostre protesty ze strony Cerkwi prawosławnej. Patriarcha Aleksy oświadczył, że akcja ukraińsko-katolicka spowoduje pogorszenie stosunków Cerkwi z Watykanem.

Podobna manifestacja grekokatolicka odbyła się 6 sierpnia w Mińsku. Była to również narodowa manifestacja białoruska. W odczuciu miejscowej ludności Cerkiew prawosławna jest rosyjska, rzymski katolicyzm jest polski (msze są odprawiane prawie wyłącznie po polsku), a grekokatolicyzm jest białoruski.

teologiczny. W płaszczyźnie społecznej okazuje się, że inkultura, symbioza religii z miejscową czy regionalną kulturą, z jednej strony tak pożądana i nawet niezbędna, ma swoją drugą stronę medalu, która może być bardzo ciemna. Gdy religia staje się nośnikiem i sztandarem tożsamości kulturowej grupy społecznej, pada ofiarą aspiracji politycznych tej grupy i to może pociągać za sobą bolesną kompromitację religii. Taki jest los lokalnego protestantyzmu i katolicyzmu Północnej Irlandii (przy czym odór politycznego konfliktu o Ulster rzutuje również w niemałym stopniu na cały katolicyzm irlandzki). Taki od kilku wieków jest los Cerkwi moskiewskiej. Ale polityzacja religii odegrała niemałą rolę w historii całego chrześcijaństwa. Na przykład fundamentalny dla naszego ściślejszego tematu fakt zerwania instytucjonalnej więzi między Rzymem i Konstantynopolem w XI wieku był spowodowany w znacznie większej mierze względami natury politycznej (po obu stronach) niż różnicami doktrynalnymi. Wysoce abstrakcyjny spór teologiczny o *Filioque* był, jeśli nie pozorem, to przynajmniej stosunkowo drugorzędym akompaniamentem. I konsekwencje tego faktu trwają już od blisko tysiąca lat. Ale nawet w sferze czysto religijnej różne społeczności, różne wyznania, poszczególne instytucje i obrządk, nawet kościoły lokalne tego samego wyznania mają tendencję do stawiania się *sui generis* podmiotami politycznymi. Mogą one harmonijnie współpracować na rzecz podmiotu religijno-politycznego wyższego rzędu, ale mogą też między sobą współzawodniczyć, kłócić się i nawet walczyć pomiędzy sobą, aż do wojen religijnych włącznie. Z tego faktu polityzacji religii dopiero stosunkowo niedawno zaczęliśmy sobie zdawać sprawę (i to wciąż jeszcze dosyć mgliście) i przedsięwziąć środki zaradcze. I to jest duszpasterski aspekt problemu. Jednym ze środków zaradczych o zasadniczym znaczeniu jest współczesny ekumenizm. Ale rzecz ciekawa, że także dialog ekumeniczny nieraz do złudzenia przypomina dyplomatyczne rokowania między państwami, przy czym każda ze stron, przy licznych i niewątpliwie szczerych objawach dobrej woli, niemniej zazdrośnie strzeże zachowania swej odrębności. Są nieliczne wypadki fuzji lokalnych Kościołów protestanckich. Ale sławny Brat Roger, przeor ekumenicznej wspólnoty w Taizé we Francji (która na przełomie bieżącego roku odbyła swoje największe do tej pory spotkanie europejskie we Wrocławiu — 50.000) skarżył się kiedyś, że w ciągu ćwierćwiecza, jakie upłynęło od Drugiego Soboru watykańskiego, ani jeden Kościół protestancki nie pojednał się definitywnie z Kościołem katolickim. (Przy czym Brat Roger też nie jest katolikiem, ale nie tu miejsce, by wchodzić w jego motywacje i jego wizję katolicyzmu Kościoła). Prawdziwy ekumenizm to oczywiście drażnienie w głąb w ciągłym poszukiwaniu istotnej, wspólnej

wszystkim chrześcijańskiej prawdy, niezależnej od kulturowo-politycznych uwarunkowań. Ważnym drogowskazem w tym poszukiwaniu jest chyba następujący *passus* z ewangelii św. Marka (Mk.9.38-40; w nieco odmiennej wersji u św. Łukasza, 9,49-50):

Jan powiedział: 'Panie, widzieliśmy człowieka, który nie jest jednym z nas, a wyrzucał diabły w twoim imieniu. Ponieważ nie jest jednym z nas, zakazaliśmy mu'. Ale Jezus odrzekł: 'Nie zakazujcie; ktokolwiek uczyni cud w moim imieniu, nie będzie źle o mnie mówił. Kto nie jest przeciw nam, jest z nami.'

W ten sposób dotknęliśmy problemu w jego aspekcie teologicznym. Dlaczego Jan uważał, że powinien zakazać? Dlaczego szatan potrafi brudzić nawet wśród najbardziej oddanych uczniów Jezusa? Ale zaledwie dotknęliśmy; problem jest ogromny. I drogą do jego rozwiązania jest nie tyle teologiczna spekulacja, co modlitwa. Ważne jest jednak, by sobie zdać sprawę, że problem istnieje.

Antoni POSPIESZALSKI

POLONIA BOOKSTORE

Największa Księgarnia Polska w Ameryce

2886 Milwaukee Ave.
Chicago, IL 60618

tel. (312) 489-2554

Polecamy szeroki wybór książek w języku polskim: Literatura Piękna, Społeczno-Historyczna, Poezja, Książki dla Dzieci i Młodzieży, Książki o Tematyce Religijnej, Słowniki, Podręczniki do Nauki Języków Obcych, Poradniki, Książki Kucharskie.

Bogaty wybór książek o tematyce polskiej w języku angielskim. Czołowe emigracyjne i z Polski, płyty gramofonowe, kasety muzyczne.

Nasz katalog wysyłamy bezpłatnie

Książka to kultura w domu

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Sto lat temu bohater Czechowa skarżył się: „To nie jest życie, to pożar w teatrze”. Kilka lat temu, kiedy *pieriestrojka* zaczęła wydawać pierwsze owoce, obywatele sowieccy zaczęli mówić, że życie przypomina pożar w burdelu w czasie powodzi. Dziś i ta formuła nie oddaje już panującego w Związku Sowieckim chaosu.

We wrześniu, kiedy dzieci poszły do szkoły a rodzice wrócili z urlopu, okazało się, że w piekarniach nie ma chleba. Po raz pierwszy od dziesięcioleci uformowały się w stolicy kolejki po chleb. Liberalny burmistrz Moskwy Gawrił Popow znalazł liczne, dobrze znane, wytłumaczenia: w kilku wielkich piekarniach trwa remont, brak piekarzy, trudności z transportem... Wyjaśnienia przekonujące, ale chleba nie zastąpią. Nie ulega wątpliwości, że ten i ów w Moskwie pamięta, że w lutym 1917 roku wszystko zaczęło się w kolejkach po chleb, którego nie dowieziono do stolicy imperium. Wtedy też padały zadowalające wytłumaczenia: zasypany śnieżny, brak wagonów... Rewolucja lutowa wybuchła mimo, że w Piotrogradzie brakowało tylko taniego czarnego chleba, białego było pod dostatkiem. We wrześniu 1990 w Moskwie w ogóle nie było chleba, ale rewolucja nie wybuchła. Naród sowiecki przywykł do nie takich trudności. W *Izwiestiach* padło ironiczne zdanie, że brak kolejnego towaru w sklepach nikogo nie dziwi — dziwi tylko, że w ogóle jeszcze można coś dostać.

Jest to rzeczywiście dziwne. Spójrzmy chociażby na oszałamiający spektakl pod tytułem „Pogoń za rynkiem”. Żeby nie nadużywać rozkoszy, zaczniemy od czerwca 1990 r., kiedy już całe kierownictwo zrozumiało, że z ekonomicznej katastrofy jest tylko jedno wyjście — rynek. Innymi słowy nazywało się to radykalną reformą gospodarczą, wprowadzaniem „socialistycznego planowego rynku”. W czerwcu premier Ryzkow przedstawił program reformy. Deputowani ludowi go odrzucili. W maju zjazd deputowanych ludowych Rosji wybrał na przewodniczącego Rady Najwyższej RSFSR Borysa Jelcyna, który w czerwcu przedstawił własny projekt: 500 dni

reformy. Był to program znacznie radykalniejszy aniżeli reforma Ryżkowa. Niezliczone komisje przez całe lato debatowały nad niezliczonymi planami. Szczegół nieco paradoksalny: projekt „500 dni” wyszedł spod pióra akademika Stanisława Szatalina, członka rady prezydenckiej, jednego z doradców Gorbaczowa do spraw ekonomicznych. We wrześniu zebrała się Rada Najwyższa ZSSR dla rozpatrzenia planu reform. Poprzedziły go sluchy, oświadczenia i sprostowania. Projekt planu przedstawia z urzędu premier. Jelcyn, oświadczył, że Ryżkow powinien wraz ze swym rządem złożyć dymisję. Przewodniczący Rady Najwyższej Łukianow zapowiedział, że na posiedzeniu zabierze głos Ryżkow. Następnego dnia sprostował: program przedstawi sam Gorbaczow. Po czym wstał Ryżkow i zawiadomił, że dyskusja nad programem reform została odłożona, bo program nie jest jeszcze całkiem gotowy. Kolejnego dnia Gorbaczow oświadczył, że popiera „plan Szatalina”, tj. „plan 500 dni”, chociaż uważa, że należy koniecznie włączyć do niego kilka punktów z programu Ryżkowa. W tym czasie trzecia komisja pod przewodnictwem akademika Aganbegiana (warto dodać, że program Ryżkowa przygotowywał m.in. akademik Leonid Ałaikin) pracowała już nad „zjednoczonym programem”.

Zbyteczne chyba streszczać plan przejścia do „sterowanego rynku”. Opis, jak doszedł do skutku i został zatwierdzony (co się do chwili, w której piszę te słowa, jeszcze nie stało) powinien wystarczyć. Nie ma potrzeby mówić o programie, bo w wielu dziedzinach za wzór posłużyła mu reforma w Polsce. Jeden z najgorętszych zwolenników gospodarki rynkowej, dziennikarz Wasilij Sieljunin, wydrukował w *Ogońku* obszerny artykuł pt. „Lekcje polskiego” (nr 30, sierpień 1990). Po podróży do Polski i rozmowach z ekonomistami Sieljunin doszedł do wniosku, że „naród w zasadzie przyjął zmiany spokojnie” i że „terapia szokowa” okazała się szokiem zbawiennym. Najbardziej cieszyła sowieckiego ekonomistę obfitość towarów w sklepach — choć przyznaje, że ceny są wysokie. „W sytm kraju — dodaje Sieljunin — reforma rynkowa jest, rzecz jasna, prostsza do przeprowadzenia”.

Polacy wiedzą, że ich reforma nie jest bynajmniej prosta. W Związku Sowieckim wszystko jest tysiąc razy trudniejsze. Do normalnych problemów wszystkich krajów, które przechodzą od socjalizmu do kapitalizmu — zwolnić ceny za jednym zamachem czy stopniowo, sprzedawać przedsiębiorstwa państwowe czy zamieniać je w spółki akcyjne, itd. — dochodzi „kwestia imperialna”. Plan Szatalina proponuje, aby liczne prerogatywy władzy centralnej oddać w ręce republik. Ryżkow uprzedza, że „zagroza to jedności kraju”. 11 września wyraził to barwniej: „Być albo nie być zjednoczonym rządem — oto jest pytanie”. W kulisach Rady Najwyższej Michaił Gorbaczow zwięźle streścił sytuację, rozmawiając podczas przerwy z deputowanymi: „Jakikolwiek plan uchwalimy, czekają nas ciężkie czasy”. Trudno się z nim nie zgodzić, choć wypada dodać, że prawdziwą przyczyną obecnych i przyszłych ciężkich czasów jest

fakt, że Gorbaczow i jego doradcy chcą uniknąć prawdziwych zmian — prawdziwe zmiany bowiem pozbawiłyby ich władzy. Dlatego potrzebne im są niezliczone programy, plany i reformy. Jak zachować władzę — oto jest pytanie, by sparafrazować Ryżkowa.

Problem władzy jest fundamentem procesu „demonażu” ZSSR, przebiegającego tu i ówdzie burzliwie, do krwawych walk bratobójczych włącznie, gdzie indziej spokojniej. Gdyby dwa lata temu Gorbaczow zaproponował program zmiany stosunków między republikami, zapewniający im większą niezależność od centrum, program zostałby prawdopodobnie przyjęty. Podobnie jak we wszystkich innych ważnych zagadnieniach wewnętrznych, generalny sekretarz jednak zwlekał. Jesienią 1990 trzymał się spośród piętnastu republik sowieckich ogłoszono suwerenność. Pierwsze były republiki nadbałtyckie — pod koniec 1989 lub na początku 1990 roku. W ich ślady poszły republiki zakaukaskie, następnie Ukraina, Białoruś, RSFSR, Mołdawia, Uzbekistan. Deklaracje ogłaszane latem 1990 brały już pod uwagę dyskusje o nowym układzie ogólnozwiązkowym, które się wówczas już zaczęły. Do tej pory powstało 13 różnych, często wykluczających się nawzajem wariantów nowego układu. 9 września wystąpił w radio Rafik Nisanow, jeden z przywódców Rady Najwyższej ZSSR, który w imieniu Moskwy negocjuje z republikami. Możliwe jest — powiedział — przemianowanie Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich na Związek Suwerennych Republik. Główna zaleta tej zmiany polega moim zdaniem na tym, że pozwala zachować dawny skrót „ZSSR”. Zresztą Nisanow zawiadomił, że padła też propozycja, aby przemianować Związek na Związek Suwerennych Republik Sowieckich. Niektóre republiki postanowiły jednak wydostać się z zasięgu czterech liter. Armenia nazywa się zwyczajnie Republiką Armenii. Także Rosja zamierza zrezygnować z przymiotnika „socjalistyczna”.

Nazwa na pewno ma znaczenie, nie większe jednak aniżeli treść deklaracji suwerenności. Ogłaszając niezawisłość, republiki przede wszystkim uchwalają prymat praw republikańskich nad prawem ogólnosowieckim. Ustanawiają też obywatelstwo danej republiki i oświadczenia, że będą tworzyć własne siły zbrojne. Ukraińska deklaracja wspomina o uformowaniu własnych wojsk wewnętrznych i organów bezpieczeństwa. W republikach nadbałtyckich utworzono ministerstwa spraw wewnętrznych. Minister spraw wewnętrznych ZSSR, Bakatin, przyznał, że tak jest i z ubolewaniem dodał, że stosunki między republikańskimi urzędami spraw wewnętrznych a centrum nie są jasne.

Zanim jeszcze zakończył się proces rozpadu imperium, zaczęły się spory o podział majątku. W deklaracjach suwerenności republiki stwierdzają, że mają prawo do części ogólnozwiązkowego majątku oraz do odszkodowań za zniszczenie przyrody „wskutek działań organów związkowych”. Borys Jelcyn próbował anulować kontrakt na sprzedaż diamentów, podpisany przez rząd centralny z południowoafrykańską firmą De Beers, ponieważ diamenty wydobywa się

w Jakucji, tzn. na terytorium Rosji. Ukraina chce zażądać odszkodowań za Czarnobyl. Do tego dochodzi kwestia broni nuklearnej. Jak ją podzielić?

Dyskusja nad wszystkimi tymi zagadnieniami dopiero się zaczęła. Spory toczą się na razie w ramach dawnego systemu sowieckiego, w którym władza należy do partii.

Ubiegły miesiąc, kiedy sytuacja w Związku Sowieckim znów się pogorszyła we wszystkich dziedzinach, był też widownią kolejnych sukcesów Michaiła Gorbaczowa na arenie międzynarodowej. Cynicy mogliby powiedzieć, że gdyby Irak nie napadł na Kuwejt, należałoby to wymyślić. Konflikt na Bliskim Wschodzie otworzył przed Moskwą niespodziewane możliwości. W poprzednim przeglądzie pisałem o spotkaniu Gorbaczowa z „lewicowymi” ekonomistami, którzy je potem zrelacjonowali na falach radia Swoboda. *Gensek* i prezydent wyłożył swoje zdanie o sytuacji „w kraju i na świecie”: zmiana ZSSR w normalne państwo potrzebna jest Zachodowi nie mniej, aniżeli „nam samym”. Potrzebujemy pieniędzy, żeby jakoś przetrwać, „zatkać największe dziury, uspokoić naród” — „pieniędzy, jak na bogactwo Ameryki, Niemiec, Japonii, niewielkich — 20 miliardów dolarów”; pieniędzy tych odmawiają nam nie dlatego, że im żal, tylko dlatego, że „nie udało nam się zdobyć ich zaufania”.

Napaść Iraku na Kuwejt i wyniki z tego konfliktu pozwoliły Moskwie pokazać, że jest godna zaufania. Gorbaczow znalazł się w pozazdrosczenia godnej sytuacji człowieka, którego wszyscy potrzebują. Prezydent Stanów Zjednoczonych uznał porozumienie z Moskwą za oś swojej taktyki w konflikcie bliskowschodnim. Irak, były sojusznik Moskwy, też potrzebuje Gorbaczowa. Podczas „szczytu” w Helsinkach Gorbaczow wymógł na Amerykanach chwilowe odroczenie zbrojnego konfliktu. Można podejrzewać, że Moskwa wkrótce wystąpi w roli „uczciwego maklera”, jak wyrażał się Bismarck.

W pierwszych dniach po agresji Iraku zastanawiano się, czy Moskwa wiedziała o planach Saddama Husseina? Co robią sowieccy doradcy wojskowi w Iraku? Jeszcze niedawno było ich 3-4 tysiące. Armia iracka bardzo ich potrzebuje: na 17 eskadronów lotniczych 13 lata na samolotach sowieckich, z 5000 irackich czołgów 4000 są produkcji sowieckiej (*International Herald Tribune* z 23.8.90). Dziś wszystkie te pytania poszły na bok. Gorbaczow oświadczył, że w Iraku zostało wszystkiego 150 sowieckich specjalistów wojskowych, którzy wkrótce też opuszczą „państwo-agresora”.

Spotkanie w Helsinkach dowiodło, że Stany Zjednoczone zamierzają zrobić ze Związku Sowieckiego nie tylko partnera, ale i sojusznika. W dzień po hitlerowskiej napaści na ZSSR w czerwcu 1941 r. Churchill, pierwotnie wróg Związku Sowieckiego, oświadczył, że popiera Stalina. Tym, którzy dziwili się tej zmianie frontu, brytyjski premier odparł: gdyby diabeł oświadczył, że staje do walki z Hitlerem, wygłosiłbym w parlamencie mowę pochwalną diabłu. W czerwcu 1941 r. Wielka Brytania stała samotnie w obliczu hitlerow-

skiej maszyny wojennej. We wrześniu 1990 sytuacja jest nieco inna, ale przywódca zachodniego świata uważa alians z Gorbaczowem za niezbędną.

Na spotkaniu przedstawiciele siedmiu najbogatszych krajów świata w lipcu 1990 r. w Houston Bush odniósł się bardzo powściągliwie do europejskiej idei masowej pomocy gospodarczej dla ZSSR. Podczas wspomnianej wyżej rozmowy z ekonomistami generalny sekretarz i prezydent opowiedział, że właśnie po konferencji w Houston zatelefonował do Busha, z naciskiem prosząc o pomoc i grożąc, że bez niej „przykręci śrubę”; zrezygnuje z liberalizmu. We wrześniu Bush zmienił stanowisko i zgodził się, że szczodre gospodarze wsparcie *pierstrojki* jest konieczne.

Na konferencji prasowej w Helsinkach Gorbaczow zaprzeczył „uproszczonym i powierzchownym wyobrażeniom”, jakoby Związek Sowiecki „można było kupić za dolary”. Dodał jednak: weszlśmy (miał na myśli siebie i Busha) na właściwą drogę...

Nie wiadomo dokładnie, ile Stany Zjednoczone zapłacią za unię z Moskwą. Wiadomo za to, ile gotowi są zapłacić Niemcy za wyprawienie wojsk sowieckich — mianowicie 12 miliardów marek. Związek Sowiecki żądał osiemnastu miliardów, ale zgodził się na dwanaście. Od Węgrów Moskwa żąda ok. 800 milionów dolarów za instalacje, które wojska zostawią po wyjściu. Także Polsce prawdopodobnie przyjdzie płacić. Czechosłowacja też oczywiście będzie musiała sypaną groszem. Problem tylko w tym, że pieniądze (prawdziwe, zachodnie), od dziesięcioleci napływające szeroką strugą do ZSSR, dotychczas zawsze rozplływały się nie wiadomo na co. Sowieccy ekonomiści — w ich liczbie także doradcy przywódców państwowych — pytają dziś, gdzie się podziały setki miliardów dolarów, które kraj dostał w zamian za miliony ton ropy, wydobytej w latach 70-tych i 80-tych. Nikt nie wie.

Jak się dowiedzieć, skoro u władzy mimo przemian znajdują się ci sami ludzie? Rodzącą się demokrację sowiecką cechuje paradoksalne zjawisko: wystarczy krytykować komunizm, aby zaskarbić sobie miłość narodu. Ani antykomunizm ani miłość narodu nie są same w sobie uczuciami nagannymi, ale łatwość, z jaką komuniści przemieniają się w antykomunistów, nierzadko dziwi. W *International Herald Tribune* z 11 września notatkę o gospodarczych kłopotach Gorbaczowa ilustruje fotografia: dwóch panów o zacnym wyglądzie siedzi za stołem i rozmawia. Są to były generał KGB Oleg Kaługin i były oficer śledczy prokuratury ZSSR d/s specjalnej wagi, Telman Gdlian. Gdlian już dawno stał się popularnym trybunem, tropiącym korupcję w wyższych kręgach władzy sowieckiej. Oleg Kaługin zaczął demaskować „organy” dopiero niedawno (wspomniałem o nim w jednym z niedawnych przeglądów), a we wrześniu został triumfalnie wybrany deputowanym ludowym RSFSR.

Człowiek się zmienia, można by powiedzieć. Czasami jest to prawdą, historia dostarcza niemało takich przykładów. Prawdą też jest, że jeszcze częściej człowiek się nie zmienia, natomiast zmienia

skórę. Sytuacja w ZSSR odznacza się tym, że kierują nim nadal ludzie, którzy zrobili karierę przy „dawnej władzy”.

W Moskwie zaczęła niedawno wychodzić gazeta pt. *Demokraticzeskaja Rossija*, związana z partią demokratyczną, na której czele stoją deputowany ludowy Trawkin i mistrz świata w szachach Kasparow. W drugim numerze tej gazety ukazały się wiersze Julija Kima pt. „Maruderzy”. Autor nalega: „Odejdźcież, wasz czas minął. Odejdźcie godnie i prosto, weźcie się za rzemiosło, żeby pożytek niosło. Póki co, wasz czas minął”. Wiersze te wyrażają platformę demokratycznej opozycji, która prosi: odejdźcie. Ale kogo prosi? Kto ma odejść, co więcej „godnie i prosto”? Gorbaczow? Jelcyn? KC KPZS? Cała partia komunistyczna, która wciąż liczy nie mniej niż 19 milionów członków? Gdzie są „oni”, gdzie „my”? Znaki orientacyjne są poprzekęcane, nie ma kryteriów i punktów odniesienia. Wszystko tonie we mgle i chaosie. Demokratycznym? Sowieckie narody nadal karmią się nadzieją na cud.

Nadal też czekają na program, na słowo, które by wszystko wyjaśniło, naprawiło i wskazało drogę. Pod koniec sierpnia Aleksander Sołżenicyn odpowiedział na list otwarty, który skierował do niego prezes Rady Ministrów Rosji, Iwan Siłajew. Sołżenicyn odmówił przyjazdu z wizytą do ojczyzny, dodając: „Nie mogę wyprzedzać moich książek”. Zawiadomił też, że napisał artykuł, w którym wyłożył swoje „zdanie o obecnym stanie kraju i możliwych oraz koniecznych posunięciach, tak jak je rozumiem”. „Nie wiadomo tylko — dodał ironicznie — czy znajdzie się w ZSSR papier na tanie i masowe wydanie tej broszury”.

Tymczasem czas upływa, sytuacja jest coraz gorsza...

Adam KRUCZEK

13.9.1990

Kronika litewska, białoruska i ukraińska

29 czerwca 1990 roku Rada Najwyższa Litwy uchwaliła moratorium dotyczące Deklaracji z 11 marca, potwierdzającej niepodległość Litwy. Zwolennikami zawieszenia Deklaracji i wszystkich ustaw przyjętych po 11 marca był komunistyczny rząd Litwy (K. Prunskiene, A. Brazauskas, R. Ozolas) oraz posłowie partii komunistycznej, natomiast przeciwno niemu występowała większość deputowanych popierająca prezydenta V. Landsbergisa. Ostatecznie moratorium zostało uchwalone, gdy jego projekt przedstawił V. Landsber-

gis. Przewiduje ono 100-dniowe zawieszenie Aktu 11 marca, tj. wstrzymanie wynikających z niego działań prawnych, ale dopiero od momentu rozpoczęcia międzypaństwowych rozmów z ZSSR; przy czym parlament może moratorium przedłużyć lub odwołać, zaś przerwanie rozmów bądź uniemożliwienie pracy parlamentu unieważnia moratorium. 30 czerwca blokada Litwy została zniesiona i obie strony wydają się zadowolone.

Moskwa uzyskała czas i będzie przeciągała rozpoczęcie, a później trwanie rozmów dopóki nie pozbędzie się V. Landsbergisa i dopóki komuniści litewscy nie opanują wszystkich kluczowych stanowisk państwowych; wówczas będzie mogła formalnie uznać niepodległość faktycznie zależnej Litwy. Wówczas też niepodległość Litwy będzie mógł uznać wreszcie rząd polski.

Skoro rozmowy międzypaństwowe między Litwą a ZSSR nie rozpoczęły się, Akt 11 marca i wszystkie ustawy pozostają cały czas w mocy i parlament kontynuuje swoją pracę. Obecnie rozpoczęto tworzenie własnej armii i własnej policji bezpieczeństwa. Niestety ta ostatnia organizowana jest we współpracy z litewskim KGB, co przekreśla sens całej operacji.

Z wywiadu z dyrektorem generalnym departamentu obrony, Audriusem Butkievicziusem wynika, że Litwini są gotowi do zachowania baz sowieckich nie tylko w okresie przejściowym, ale również później, po zawarciu odpowiedniego układu z ZSSR. Do Armii Sowieckiej na 6 tys. poborowych zgłosiło się 1.200, w tym 500 Litwinów (*Kauno Aidas* nr 56).

Rozmowy z delegacją Jelcyna nie dają żadnych rezultatów, gdyż zadaniem Jelcyna nie jest, wbrew deklaracjom, umożliwienie odejścia Litwie, a jedynie wypracowanie nowego układu związkowego.

Litewska Partia Demokratyczna została rozbita od wewnątrz i w praktyce jedyną siłą antykomunistyczną pozostała Liga Wolności Litwy. Komuniści natomiast umacniają się i odzyskują pozycje utracone we wcześniejszej fazie operacji litewskiej. Oprócz *Kauno Aidas* mass-media znalazły się w całości w ich rękach. Organ Sajudisu *Atgimimas* został opanowany przez komunistów, gdy R. Ozolas *de facto* zastąpił dotychczasowego redaktora L. Medalisa komunistą R. Valatką. Środki przekazu wykorzystywane są do pomniejszania roli V. Landsbergisa, np. poprzez publikowanie sfalszowanych wyników badań ankietowych i przedstawianie Brazauskasa jako męża opatrnościowego. Linia rządu Prunskiene jest przedstawiona jako mająca zapewnić powodzenie w rokowaniach z Moskwą, w przeciwieństwie do niewłaściwej taktyki prezydenta.

Brazauskas zapowiedział przemianowanie KPL na partię socjaldemokratyczną jesienią tego roku.

W dniach 22-23 sierpnia odbyło się spotkanie litewsko-polskie na wspólnym odcinku granicy. Planowano masowe przekraczanie granicy w obu kierunkach, ale w ostatniej chwili prezydent Landsbergis odwołał tę manifestację, gdyż granicę obsadziła Armia

Sowiecka wyposażona w ciężki sprzęt bojowy. Z Wilna przybyło około 50 tys. Litwinów, natomiast ze strony polskiej około 100 osób, w tym większość nie należała do delegacji „Solidarności”, która była współorganizatorem spotkania.

Bank Francji, w którym Republika Litewska zdeponowała 2 tony 246 kg złota, wystosował notę do Rady Najwyższej Litewskiej SSR, stwierdzając: „Zwrócimy złoto temu rządowi Litwy, który zostanie uznany przez władze Francji”. Warto zatem przypomnieć losy depozytów złota litewskiego, złożonego w bankach państw zachodnich. W Banku Anglii w Londynie zdeponowano na rachunku szwajcarskiego Banku Rozliczeń Międzynarodowych z Bazylei — 612 kg złota, w Banku Narodowym w Bernie, również na rachunku Banku Rozliczeń Międzynarodowych z Bazylei — 19 ton 423 kg złota. Los tych depozytów jest nieznany.

W Federalnym Banku USA w Nowym Jorku zdeponowano 2 tony 493 kg. Z funduszy tych korzystała litewska służba dyplomatyczna w Ameryce i nie wiadomo w jakim stopniu zostały one wyczerpane.

W Banku Anglii w Londynie zdeponowano 2 tony 946 kg złota. 5 stycznia 1968 roku rządy Wielkiej Brytanii i ZSSR podpisały porozumienie, które przewidywało, że oba kraje nie będą już wysuwały wzajemnych roszczeń. Złoto bałtyckie zostało zużyte przez rząd labourzystowski, zgodnie z propozycją A. Kosygina, ówczesnego premiera sowieckiego, na wypłatę odszkodowań za mienie obywateli angielskich skonfiskowane na terenie Litwy, Łotwy i Estonii przez ZSSR. W marcu 1990 roku, w odpowiedzi na interwencję poselską, minister spraw zagranicznych Anglii przypomniał, że Moskwa nie przyjęła odpowiedzialności za trzy pożyczki bałtyckie udzielone w Londynie i zapasy złota zostały zużyte również na pokrycie roszczeń wierzycieli.

W szwedzkim Banku Sztokholmskim zdeponowano 1 tonę 274 kg złota litewskiego, które rząd Szwecji podarował Sowietaom.

Sejm Frontu Ludowego „Adradżeńnie” wprowadził zmiany do programu (11-12.05.1990). Teraz jego celem ma być osiągnięcie niezależności państwowej Białorusi, która pozostałaby jednak członkiem związku niezależnych państw oraz wprowadzenie systemu wielopartyjnego i gospodarki rynkowej. W czerwcu, na konferencji Frontu poświęconej omówieniu nowego programu, zaznaczyły się trzy stanowiska: pozostanie w składzie ZSSR w oparciu o nową umowę związkową, całkowita niepodległość i utworzenie konfederacji Bałtycko-Czarnomorskiej, która połączyłaby Białoruś z Ukrainą, Litwą i Łotwą. Ta ostatnia koncepcja, broniona przez J. Chadykę, zyskuje na popularności, przynajmniej w prasie Frontu, co wiąże się z białorusko-litewskim konfliktem terytorialnym.

W kwietniowym oświadczeniu Sajudisu i Adradżeńnia podkreś-

lono, że gwarancje rozwoju obu narodów mogą im dać tylko suwerenne i demokratyczne państwa litewskie i białoruskie. Następnie doszło do spotkania delegacji Sajudisu i Adradżeńnia. Postanowiono poprzeć tworzenie szkół, wydawanie publikacji, audycje RTV itp. dla obu mniejszości na terenie białoruskiej i litewskiej części Wileńszczyzny. Litwini nie chcą jednak związku państwowego z ludniejszą i kontrolowaną przez komunistów Białorusią, podczas gdy Białorusini uważają, iż rozwiązałyby on kwestię mniejszości narodowych.

Adradżeńnie dysponuje około 22 mandatami w Sowiecie Białorusi i stanowi trzon Bloku Demokratycznego, który może liczyć na głosy 20 deputowanych. Przywódcami Bloku są: Stanisław Szuszkiewicz, wypowiadający się za współpracą z posłami komunistycznymi i Zianon Paźniak, który chciałby wyraźnego wyodrębnienia się frakcji demokratycznej.

27 lipca Rada Najwyższa przyjęła deklarację suwerenności, otwierającą drogę do zawarcia nowego układu związkowego.

Białoruskie Zjednoczenie Demokratyczne w Polsce zapowiedziało, że nie chce wzorem Ukraińców zdawać się na pomoc Polaków, lecz prowadzić całkowicie samodzielną politykę i wprowadzić własnych posłów do Sejmu, którzy nie będą jednak tworzyli bloku mniejszości narodowych, tym bardziej, że z Ukraińcami dzieli Białorusinów spór o narodową tożsamość mieszkańców Polesia.

W czerwcu 1990 roku Polskie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne przekształciło się w Związek Polaków na Białorusi, który rozpoczął wydawanie własnego pisma, *Głos nad Niemna*.

Posłowie Bloku Demokratycznego w Radzie Najwyższej Ukraińskiej SSR utworzyli Radę Ludową, której celem ma być wypracowanie własnych postanowień i projektów ustaw oraz doprowadzenie do nowych demokratycznych wyborów. Przewodniczącym Rady wybrano akademika Juchnowskiego, zwolennika zawarcia nowej umowy związkowej.

17 czerwca na zjeździe Ligi Ludowo-Demokratycznej, która dotychczas wchodziła w skład Ukraińskiego Związku Helsińskiego, postanowiono przekształcić ją w Ukraińską Partię Narodowo-Demokratyczną — UNDP. Wybrano 4 przewodniczących UNDP: Ołenę Bondarenko, Arkadego Kyrejewa, Tymofija Sołowkę i Jewhena Czernyszowa. Nowa partia wezwała niezależne organizacje do tworzenia wzorem Estończyków komitetów obywatelskich Republiki Ukraińskiej, które rozpoczęłyby rejestrację obywateli Ukrainy zgodnie z ustawą o obywatelstwie Ukraińskiej Republiki Ludowej przyjętą 30 sierpnia 1918 roku. Zarejestrowani obywatele Republiki Ukraińskiej mieliby wziąć udział w wyborach Kongresu obywateli, alternatywnego organu władzy wobec Rady Najwyższej Ukraińskiej SSR. Propozycję UNDP poparła Ukraińska Partia Narodowa — UNP i Związek Niezależnej Młodzieży Ukraińskiej — SNUM oraz

szereg drobnych grup. Utworzyły one Zgromadzenie Międzypartyjne, które zajmuje się zorganizowaniem Kongresu. Ruch, Ukraińska Partia Republikańska URP i tworząca się Partia Demokratyczna Ukrainy DPU nie poparły tej idei.

Grupa przywódców Ruchu (I. Dracz, W. Jaworiwskij, D. Pawtyczko), która opuściła kompartię, na nowym etapie niepotrzebną już nikomu, przystąpiła do tworzenia DPU. Ma ona reprezentować kierunek socjaldemokratyczny i różni się od URP uznając za konieczne przejście Ukrainy przez konfederację z ZSSR na drodze do osiągnięcia pełnej niepodległości.

11 lipca w strajku górników Donbasu wzięło udział 141 kopalni. Towarzyszyły im strajki solidarnościowe; w Tarnopolu powszechny 24-godzinny, a we Lwowie półgodzinny. Na wiecu w Doniecku żądano: nacjonalizacji majątku KPZS, depolityzacji armii, KGB, milicji, wymiaru sprawiedliwości, massmediów, gospodarki i utworzenia rządu porozumienia narodowego.

16 lipca Sowiet Ukrainy wydał deklarację, ogłaszającą „państwową suwerenność Ukrainy”. Ukraina ma tworzyć własny system bankowy, cenowy, cel, finansów, z własnym pieniądzem, własne siły zbrojne, wojska wewnętrzne i bezpieczeństwo. Jednocześnie w deklaracji stwierdzono, że Ukraina „ma swe obywatelstwo i gwarantuje każdemu obywatelowi prawo do zachowania obywatelstwa ZSSR”, wprowadzono kategorię „własności ogólnozwiązkowej” i podkreślono, że zasady deklaracji będą wykorzystywane dla ułożenia nowej umowy związkowej. Biorąc pod uwagę fakt, że Ukraina jest także „pełnoprawnym uczestnikiem międzynarodowego życia” i „bierze udział w procesie ogólnoeuropejskim i strukturach europejskich”, jasno widać iż ideałem Kremla byłoby wprowadzenie Ukrainy do EWG i jednocześnie pozostawienie jej w ZSSR. Zjednoczenie Europy w Związku Sowieckim jest więc już za progiem.

URP i UNDP uznały deklarację za krok do przodu, ale jednocześnie wezwały do akcji masowego nieposłuszeństwa, strajków politycznych, wieców, manifestacji itp., gdyby Rada Najwyższa chciała podpisać nowy układ związkowy.

Prowadzona jest kolonizacja odesskiej *oblasti* osadnikami z Rosji, by uzasadnić powstanie tu w przyszłości strefy autonomicznej. Podobnie planowane jest oderwanie od Ukrainy Krymu i przyłączenie go do Federacji Rosyjskiej. Trzecim obszarem kwestionowanym przez Rosjan jest Donbas, gdzie dotąd nie udało się utworzyć ani jednej szkoły ukraińskiej, i cała Ukraina Lewobrzeżna. Dla ewentualnego niepodległego państwa ukraińskiego pozostałyby więc tylko obszary ukraińskie w granicach Rzeczypospolitej z 1792 roku.

Według ankiet 37% mieszkańców Kijowa opowiada się za niepodległością, zaś 36% za pozostaniem Ukrainy w ZSSR. Gdyby wybory odbyły się w lipcu, 46% ankietowanych głosowałoby na Ruch, 10% na komunistów, 7% na antykomunistów i 13% na Zielonych. 80% Kijowian jest za wprowadzeniem języka ukraińskiego jako wykładowego na uczelniach wyższych.

Na spotkaniu W. Czornowola z wojewodą przemyskim postanowiono pomagać w odnawianiu wszystkich pamiątek historycznych, polskich i ukraińskich, na terytorium obu państw. Przewodniczący Sowietu *oblasti* lwowskiej wyraził żal, że przedstawiciele władz polskich nie raczyli przybyć na uroczystość odnowienia grobów żołnierzy UNR i UHA w Pikuliczach pod Przemyślem. W swym przemówieniu Czornowół stwierdził: „Niech widzą synowie i wnukowie, że ich ojcowie mylili się, niechaj znów bratają się ze swymi wrogami” oraz dodał: „uważamy za swój obowiązek (po uczczeniu pamięci żołnierzy ukraińskich, którzy walczyli o państwo ukraińskie) uczcić pamięć także polskich żołnierzy, którzy walczyli w tych samych latach o państwo polskie”. Wyrażając zadowolenie z potępienia przez Senat akcji Wisła (3.08.1990), Czornowół przypomniał o odszkodowaniach dla jej ofiar po obu stronach granicy i oddaniu wiernym dawnych cerkwi greckokatolickich, tu i w Hały czynie.

Pierwsi żołnierze ukraińscy opuścili swe jednostki i stawili się we Lwowie, gdzie zostali wzięci pod opiekę przez nowe władze. Ostatecznie zezwolono im na pełnienie służby w *oblasti* tarnopolskiej.

W marcu zarejestrowano w Brześciu Ukraińskie Zjednoczenie Społeczno-Kulturalne, którego zadaniem jest propagowanie języka i kultury ukraińskiej na północno-zachodnim Polesiu włączonym w 1939 roku do Białorusi, a uważanym przez Ukraińców za ziemię ukraińską.

Józef DARSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Kronika kulturalna

Recesja, depresja

Uchodźcy albańscy w obozach przejściowych Francji, Włoch i Niemiec mają tylko jedno życzenie: „Do Ameryki”. Z pogardą przyjmują zasiłki i inne formy opieki społecznej. Wzruszają ramionami, kiedy obiecuje się im rychłą przeprowadzkę do subsydiowanych mieszkań i uzyskanie tymczasowych dokumentów. W obozach protestacyjnie nie myją się i nie sprzątają po sobie, bo w ich mniemaniu jest to zajęcie dla kobiet i hołoty. Grają w karty, piją. Są zajęci czekaniem na wizy amerykańskie i darmowe bilety lotnicze. Gdy reporter gazety amerykańskiej zapytał kilku młodych Albańczyków, dlaczego z taką wrogością odnoszą się do Francji, usłyszał w odpowiedzi: „To jest policyjny kraj. W Ameryce jest wolność i demokracja. Tam każdy robi co chce, szybko bogaci się i jest szczęśliwy”. Legenda Ameryki przeniknęła nawet do odciętej od świata Albanii. Albańscy uchodźcy twierdzą, że takie jej wyobrażenie stworzyli sobie, słuchając *Voice of America*. Ktoś z działu albańskiego w Waszyngtonie najwyraźniej przedobrzył z propagandą.

Podobno powszechny dobrobyt w tym kraju istniał kiedyś naprawdę. Panuje tylko różnica poglądów, kiedy to było. Russell Baker, wieloletni felietonista *New York Times'a*, w swojej autobiografii „*The Good Times*” umieszcza złoty okres amerykański za kadencji prezydenta Eisenhowera. Píše w tej książce, że jedna pensja wystarczała wtedy na utrzymanie pięcioosobowej rodziny, posiadanie domu z ogródkiem i dwóch samochodów. Dziś brzmi to niewiarygodnie. Baker pochodzi z rodziny dotkniętej skrajnym niedostatkiem w latach Wielkiego Kryzysu. To doświadczenie ukształtowało jego poglądy o świecie. Jego głos jest głosem milczącej większości, która pragnęłaby zachować wiarę w sens takich pojęć jak uczciwość, pracowitość czy rozważa. Baker, jak wielu satyryków, ma naturę moralisty. Gdyby o dewiacjach społecznych swego kraju pisał wprost, byłby kazno-

dzieją. Dwa razy w tygodniu na łamach *Times'a* występuje więc w przebraniu clowna. Do jego stałych tematów należą: korupcja, oszustwa, narkotyczna siła władzy i telewizja, która wpaja odbiorcom fałszywy obraz świata. Teksty Russella Bakera śmieszają na granicy zatrwożenia. Świadczą o coraz większej polaryzacji niemal wszystkich dziedzin życia społecznego w Ameryce.

Truizmem jest stwierdzenie, że biedni stają się tu coraz biedniejsi, a bogaci — coraz bogatsi. Co zdumiewa, to szybkość, z jaką można wzbic się na wyżyny finansowe i spaść z nich na łeb, na szyję. Przykład inwestora Donalda Trumpa, któremu z miliardów dolarów na koncie w ciągu kilku miesięcy pozostało kilkaset milionów długów jest pouczający, ale można podejrzewać, że dotyczy odosobnionych przypadków. Należałoby więc przytoczyć bardziej powszechne zjawisko. Kilka lat temu miesięcznik finansowy *Money* przedstawił miasto, w którym najlepiej się żyje w Stanach Zjednoczonych. Było to Nashua w stanie New Hampshire, wybrane z powodu doskonałej sytuacji ekonomicznej, niskiego stopnia przestępczości i atrakcyjnego położenia, zapewniającego dostęp do placówek kulturalnych i rozrywkowych. Amerykanie są społeczeństwem mobilnym, więc hossa gospodarcza w New Hampshire spowodowała masową przeprowadzkę do tego stanu. Nastąpiła jednak recesja w całej Nowej Anglii, zdaniem specjalistów szczególnie dotkliwa i gwałtowna. W rezultacie bezrobocie w Nashua w ciągu roku zwiększyło się o blisko 5%, a liczba podań o zasiłek dla ubogich w całym stanie wzrosła o 38%. O kupony żywnościowe ubiega się 54% więcej rodzin niż w ubiegłym roku. Jest to najwyższa zwyżka w skali krajowej. A mowa jest o jednym z najbardziej uprzemysłowionych i zasobnych stanów amerykańskich. Ponieważ większość ludzi żyje tu na kredyt i płaci miesięczne raty za nieruchomości oraz ruchomości, utrata pracy na kilka miesięcy grozi natychmiastową niewypłacalnością. Innym głównym powodem szybkiej pauperyzacji jest rozpad rodziny. Statystycznie niemal co druga para małżeńska przeprowadza rozwód. Prócz emocjonalnych, finansowe skutki takich decyzji bywają druzgocące.

Rok temu groziła recesja. Teraz po prostu jest. Pierwszy odczuł to przemysł budowlany. Inwestorzy od razu wstrzymali fundusze na wielkie i kosztowne projekty. Biura architektoniczne masowo zwalniają pracowników. Wyśrubowane do niebotycznej wysokości ceny domów i mieszkań spadają z każdym miesiącem. I nadal brakuje chętnych nabywców. Maleją wpływy z turystyki, dotychczas złotej żyły pod względem dochodów. Przeciętna długość urlopu letniego w Ameryce zmniejszyła się statystycznie do 5,3 dni. Hotelarze odnotowali spadek klientów w miejscowościach turystycznych o około 50%. Restauratorzy skarżą się na słabe obroty. Linie lotnicze redukują personel wskutek małego

ruchu pasażerskiego, mimo ponętnych zniżek za przeloty.

Tematem numer jeden w sierpniu w Ameryce nie była jednak ani recesja, ani kanikuła. Był nim oczywiście kryzys na Bliskim Wschodzie. Środki przekazu, na czele z telewizją, począwszy od drugiego sierpnia przystąpiły do błyskawicznego kursu z geopolityki. Lipcową gwiazdą telewizji amerykańskiej był Gorbaczow, sierpień należał do Saddama Husseina. Odległy i mały Kuwejt olbrzymiał na ekranie, a Bagdad stawał się coraz bardziej złowrogi. Z początku cały konflikt wydawał się z tutejszej perspektywy mało realny. *Vox populi* twierdził, że należy po prostu „dołożyć tym Arabom”. Nastroje społeczne zaczęły się komplikować, gdy rząd zapowiedział, że skieruje do zagrożonej Arabii Saudyjskiej do dwustu tysięcy żołnierzy amerykańskich. Powołanie sześćdziesięciu tysięcy rezerwistów, i to po raz pierwszy od dwudziestu lat w tak znacznej liczbie, zaniepokoiło opinię publiczną. Zaczęto głośno wyrażać obawy, że Stanom Zjednoczonym grozi drugi Wietnam. Jednakże — co warte jest odnotowania — nie doszło do żadnych publicznych protestów przeciwko zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych w kryzys. Solidarność z zakładnikami była powszechna. Różnica zdań dotyczyła powodu skierowania międzynarodowych sił w rejon Zatoki Perskiej. Domagano się nazwania rzeczy po imieniu: jest to konflikt o ropę naftową, a nie o naruszenie niezawisłości feudalnego państewka rządzonego przez autokratyczny ród.

Telewizja amerykańska — wielokanałowa, wszechobecna, działająca 24 godziny na dobę — coraz bardziej zastępuje życie realne. Tworzy własną rzeczywistość, narzuca swoje reguły gry. Na powiatowych drogach Ameryki można dostrzec zaskakujące kontrasty: rozwalające się rudery pośrodku zapuszczonych gospodarstw, ale obok takiej karykatury domu zamontowana jest nowiutka antena pozwalająca na oglądanie telewizji satelitarnej. Tymczasem programy telewizyjne robią wrażenie ciągu reklamówek przerywanych od czasu do czasu serwisem wiadomości lub poszatkowanym filmem. Stylistycznie coraz trudniej odróżnić, co jest anonsem reklamowym, a co programem stacji komercyjnej. Dotychczas te dwa gatunki można było rozpoznać jeśli nie okiem, to uchem. Głosy używane w reklamach są wykwittem sztuczności i fałszu. Mizdrzą się, skandują nazwę towaru, wbijają ją w głowę świdrującym tonem. Są nachalne, stale powtarzają to samo. Ta maniera głosowa z reklamówek udzieliła się również prezentatorom telewizyjnym. W rezultacie wszyscy brzmią tak, jakby zajmowali się handlem domokrajnym i byli płaceni od liczby zdobytych klientów. Co na dodatek jest prawdą, bo gaża telewizyjna jest tym wyższa, im większa jest widownia telewizyjna danego programu.

Powszechnie uważa się, że telewizja jest największym rywa-

lem książek. Zapewne, pod względem czasu zmarnowanego przed ekranem, nic jej nie dorówna. Jednakże w Stanach Zjednoczonych ukazuje się rocznie około 800 tysięcy tytułów. Na listy *bestseller'ów* trafia statystycznie jedna nowość wydawnicza na dziesięć tysięcy. Dyrektora wydawnictwa McMillan, jednej z największych firm wydawniczych, zainteresowało, co powoduje, że dana książka trafia na listę najbardziej kasowych publikacji. Wedle jego dochodzeń okazało się, że nie decyduje o tym ani temat, ani nazwisko autora, lecz omówienie książki w jednym z najbardziej oglądanych magazynów telewizyjnych. Nie należy jednak zbyt pochopnie lekceważyć treści. Wystarczy przyjrzyć się liście *bestseller'ów*, by samemu dojść do wniosku, że dominują na niej dwa tematy, najczęściej ze sobą powiązane: przemoc i pieniądze. Powodzeniem cieszą się kryminały i powieści szpiegowskie osadzone w wyższych sferach cywilnych i wojskowych. Nazwiska twórców nowszej generacji mogą brzmieć obco dla czytelników spoza Ameryki: Danielle Steele, Scott Turrow, Steven King, Robert Ludlum. Są to potentaci na rynku wydawniczym. Steele pisze współczesne romanse, których bohaterkami są kobiety na wysokich stanowiskach. Turrow, z wykształcenia prawnik, jako pisarz debiutował kilka lat temu powieścią „Presumed Innocent”, obecnie sfilmowaną. Jego specjalnością są przestępstwa w sferze uprzywilejowanych. King pisze dreszczowce z pogranicza parapsychologii i *science-fiction*. Ludlum wyspecjalizował się w „męskich tematach”: powieściach sensacyjno-militarnych. W prozie niefabularnej dominują biografie i poradniki w rodzaju „Jak zrobić majątek bez ryzyka”, oraz książki rzekomo odsłaniające kulisy wielobranżowych koncernów lub zawodowych drużyn sportowych. Wyraźnie wzmaga się też zainteresowanie przypadkami psychiatrycznymi, na przykład historią kobiety, która doliczyła się w sobie współistnienia 82 osobowości.

Wydaje się, że w kraju, gdzie ukazuje się 800 tysięcy tytułów rocznie, gdzie osobisty komputer znajduje się w co trzecim domu, po prostu nie można funkcjonować bez umiejętności czytania. I tu znowu dochodzimy do groźnej w skutkach polaryzacji społecznej: 27 milionów mieszkańców Stanów Zjednoczonych to *de facto* analfabeci. Są to albo ludzie, którzy przerwali naukę w szkole podstawowej, albo wskutek braku ćwiczeń zapomnieli czytać i pisać, albo imigranci, którzy nigdy nie nauczyli się języka angielskiego. Jakkolwiek jest przyczyna tego stanu rzeczy, skutki społeczne analfabetyzmu są dalekosiężne. Japonia, dla porównania, jest krajem, gdzie analfabetyzm równa się zeru.

Na rynku pracy poszukuje się przede wszystkim agresywnych jednostek. W ogłoszeniach o pracę powtarza się stale zwrot: „Młodego i agresywnego sprzedawcę (maklera giełdowego,

kierownika, gońca itp., i itd.) przyjmę". Inną wymaganą cechą na wszystkich szczeblach kariery zawodowej jest zdolność do rywalizacji. Toteż każdy łagodzi stressy jak potrafi — ćwiczeniami sportowymi, alkoholem lub narkotykami. *Substance abuse*, jak się to fachowo nazywa, jest spotykane w każdej grupie społecznej. Żona byłego prezydenta, Betty Ford, oznajmiła publicznie, że wpadła w alkoholizm mieszkając w Białym Domu i że przeszła następnie kurację odwykową w klinice nazwanej później jej imieniem. Żona niedosłzłego prezydenta, gubernatora Dukakisa, ogłosiła ostatnio swoją autobiografię, w której wyznała, że napięcie kampanii wyborczej było dla niej tak nieznosne, iż stała się lekomanką i alkoholiczką. Przyjmuje teraz lit jako środek przeciwko stanom maniackalno-depresyjnym. Jednym z najpowszechniej stosowanych ostatnio leków w Stanach Zjednoczonych jest środek antydepresyjny Prozac, zapisywany ponad sześciu milionom pacjentów. „Kampanią prozakową” ochrzciła prasa żarty przebieg wyścigu o fotel gubernatorski na Florydzie. Jeden z dwu rywali politycznych, poseł do Kongresu, został zmuszony do publicznego wyjawienia, że przyjmował Prozac. Odtąd cała uwaga wyborców skupiła się na tym, czy polityk leczony na depresję nadaje się do pełnienia odpowiedzialnych funkcji. Jednocześnie przeciw producentowi Prozacu szykuje się proces sądowy o miliardowe odszkodowania, ponieważ kilku pacjentów orzekło, że lek ten pobudzał ich instynkty samobójcze.

Oto więc następna dziedzina życia, w której dokonuje się polaryzacja: zdrowie psychiczne. Statystycznie co dziesiąty mieszkaniec tego kraju cierpi na depresję, którą Erich Fromm nazwał „agresją do wewnątrz”. Specjaliści uważają jednak, że choroba ta, o rozmiarach epidemii w całym świecie, ma przypuszczalnie tło genetyczne. W kraju, gdzie silnie zakorzeniony jest nakaz dynamicznego i pozytywnego stosunku do życia, depresja należała dotychczas do tematów wstydlivych. Wyłom pod tym względem uczyniła książka Williama Styrona „Darkness Visible; A Memoir of Madness” (Ciemność widzialna; zapis obłądu) wydana przed kilkoma miesiącami. Głośny pisarz, autor m.in. popularnej powieści „Sophie's Choice”, opisał swoje własne doświadczenie z depresją sprzed kilku lat. Jest to relacja zobiektywizowana i fachowa, ponieważ pierwotnie była tekstem referatu na sesję naukową psychiatrów. W wyważonych słowach Styron przedstawia zastąpienie w piekło kryjące się za terminem „depresja”. Autor w ciągu kilku tygodni stał się niezdolnym do życia inwalidą, obezwładnionym cierpieniem nie do nazwania. Nastąpiła atrofia woli, pamięci, energii życiowej. Najprostsza czynność stanowiła trudność nie do pokonania. Ogarnięty manią samobójczą pisarz przyjął skierowanie do szpitala jak wybawienie. Po dwóch miesiącach leczenia farmakologicznego i terapii

wrócił do zdrowia. Ta książka-pamiętnik niespodziewanie stała się sukcesem rynkowym, co pośrednio mogłoby świadczyć o rozmiarach problemu społecznego, jakim są patologiczne odstępstwa od normy psychicznej.

Styron — jak podkreśla — był pacjentem jednego z najlepszych szpitali psychiatrycznych w Ameryce. Tutejsi nędzarze mogą co najwyżej liczyć na umieszczenie w tzw. *adult home*, czyli zakładzie zamkniętym, finansowanym z budżetu stanowego, odkąd dwadzieścia lat temu ze stanowych szpitali usunięto większość psychicznie chorych praktycznie na ulice. Stan Nowy Jork łoży na każdego pensjonariusza takiego zakładu 9 tysięcy dolarów rocznie. Umieszczenie w *adult home* jest równoważne z dożywociem. Zapewnia się tam minimum niezbędne do egzystencji, ale nie do wyleczenia. Dziesięć lat temu, gdy zaczęła gwałtownie rosnać liczba bezdomnych chorych psychicznie, specjaliści przedstawili inny, bardziej humanitarny wariant domu opieki. W miejsce przytułku na kilka setek łóżek miał to być *group home*, czyli niewielki dom dla kilkunastu pensjonariuszy z mieszkającym tam na stałe personelem medycznym. Pacjentów wdraża się do samodzielności, przyucza do zawodu, zachęca do zajmowania się gospodarstwem. Obecnie w stanie Nowy Jork siedem i pół tysiąca chorych psychicznie znalazło schronienie w tych niedużych i wzorowo na ogół prowadzonych domach opieki, podczas gdy w tradycyjnych zakładach zamkniętych jest ponad dziewięć tysięcy pensjonariuszy. Zdaniem specjalistów, ten nowy wariant daje nadzieję na przyszłość, bo stary — nie daje już żadnej szansy rehabilitacji. Zastąpienie przytułków *quasi-rodzinnymi* domami opieki jest jednak sprawą kosztowną, bo wówczas na każdego chorego trzeba przeznaczyć 25 tysięcy dolarów rocznie. Wskutek cięć budżetowych stan zredukował planowaną w tym roku liczbę nowych placówek ze 120 do 40.

Trudność w zakładaniu takich domów polega nie tylko na zdobyciu niezbędnych funduszy. Mieszkańcy danego miasteczka czy dzielnicy mogą grać rolę dobrych bliźnich, jeśli im takie sąsiedztwo nie zagraża. W wypadku odwrotnym przystępują do walki wszelkimi legalnymi i nielegalnymi środkami. Czynią naciśki przez radę miejską, odwołują się do wyższych instancji, niekiedy nawet podpalają dom przeznaczony na schronienie dla chorych psychicznie. Tłem takich akcji jest nie tylko głęboko wpojone uprzedzenie wobec ludzi nienormalnych, lecz i zagrożenie finansowe. Sąsiedztwo domu opieki natychmiast powoduje obniżenie wartości rynkowej domów okolicznych, ludzie walczą więc o swój stan posiadania.

Ilu spośród nowojorskich bezdomnych zostało bez dachu nad głową i pracy wskutek choroby psychicznej — nikt oczywiście nie wie. Przez lata trwał spór między władzami miejskimi

a stanowymi, kto ma łożyć na opiekę nad nimi. Teraz obie strony zawarły w końcu kompromis. Z budżetu stanowego przeznaczona się na początek 27 milionów dolarów, co pozwoli na umieszczenie około dwóch i pół tysiąca chorych psychicznie w jednoizbowych mieszkaniach, z systematyczną opieką socjalną i medyczną, a także zapewnienie stałego *locum* w usprawnionych domach opieki takiej samej liczbie bezdomnych. Nawet jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, budżet miasta i stanu Nowy Jork cierpi na chroniczny deficyt. Nie wiadomo, czy w przyszłym roku ustawodawcy zatwierdzą dalsze subsydia na ten cel. Ponadto szacuje się, że liczba chorych psychicznie bezdomnych w samej tylko metropolii co najmniej dwukrotnie przewyższa liczbę planowanych dla nich łóżek.

Na Broadwayu schodzi właśnie z afisza adaptacja sceniczna „Gron gniewu” Johna Steinbecka, nagrodzona Tony Award jako najlepsza sztuka i najlepsza inscenizacja roku. Grano ją ponad sześć miesięcy przy kompletach publiczności. Widownia emocjonalnie reaguje na kolejne stacje męki rodziny nędzarzy z Oklahomy w jej drodze do żyznej Kalifornii. Przedstawienie jest solidne, w konwencji naturalistycznej, jak i sama powieść napisana przed pół wiekiem. Co zastanawia, to fakt, że i współczesna proza amerykańska odwołuje się tak często do tradycji naturalistycznej. Być może tej rzeczywistości nie da się opisać inaczej, jeśli pisze się powieść społeczną. Zbyt wąty jest ciągły system zabezpieczeń społecznych łagodzących siłę upadku, bez względu na to, czy jego przyczyną jest recesja, czy depresja.

Renata GORCZYŃSKA

Książki

O bibliografii

Oczywiście korzystam z pożytecznych, solidnie opracowanych Bibliografii zawartości *Kultury* czy Bibliografii Historii Polskiej za kolejny rok, z podziwem myślę o „Bibliografii bibliografii polskich” i „Międzynarodowej bibliografii bibliografii”. Prawdziwą przygodą bywa jednak lektura wielkich bibliografii usiłujących zawrzeć całość. W połowie XVI w. Szwajcar Konrad Gesner w „Bibliotheca Universalis” chciał opisać wszystkie wydane druki; zdołał zarejestrować jedną trzecią. Od tego czasu zamierzenia bywają bardziej umiarkowane. Chodzi o całość piśmiennictwa jednego narodu, jednego stulecia, czasopism polskich wydanych poza granicami kraju, publikacji podziemnych w Polsce. Są to dzieła przydatne przy wielu okazjach, niezastąpione przy wszelkiej poważnej pracy umysłowej. Ich prawdziwe znaczenie ujawnia się jednak nie wtedy, gdy z nich korzystamy szukając konkretnych informacji, lecz przy lekturze bezinteresownej.

Wielkie bibliografie dzielą się na istniejące i rozpoczęte. Rozpoczęte są dziełem zespołów. „Bibliografia Polska 1900-1939” jest kontynuacją prac podjętych około roku 1907. Historia przedsięwzięcia opowiedziana we wstępie do tomu pierwszego jest tych rozmiarów, że można by ją wydać jako osobną książeczkę. Wylczenie nazwisk osób, które uczestniczyły w pracach, wypełniłoby cały artykuł. Od lat większość z nich była na etatach. Całość firmuje Instytut Bibliograficzny Biblioteki Narodowej. Wstęp do tomu 1-go (Litera A — do Barszczewski Stefan) nosi datę: wrzesień 1977. Książkę oddano do składania w grudniu 1982, a wydrukowano w 1986. Na tym na razie wydawnictwo się urywa. Zimą 1990 można było znaleźć egzemplarze tego tomu w warszawskich księgarniach w cenie obniżonej do 1120 dzisiejszych złotych. Oczwisty jest związek losów tego wydawnictwa ze wszystkimi szczegółami polskiej historii od września 1939.

Bibliografie istniejące są z reguły podpisane nazwiskiem jednego człowieka. Ich autorzy, doświadczając historii, traktowali ją jako wyzwanie. Trzydziestoletni Karol Estreicher zdał sobie sprawę, że urzędowa bibliografia austriacka uznaje za piśmiennictwo polskie jedynie książki wydane w Galicji; w tej perspektywie dorobek nasz przedstawiał się ubogo w porównaniu z serbskim czy czeskim, powstającymi w całości w granicach Cesarstwa. By podjąć skutecznie wyzwanie, niezbędne było szczególne nastawienie umysłu. Ojciec Karola, Alojzy, właściwy twórca krakowskiego ogrodu botanicznego, po każdej ze swych corocznych podróży — odbył ich w sumie po kraju i po Europie 47 — przez dwa lub trzy miesiące porządkował i katalogował przywiezione kolekcje nasion, owadów, kruszców. Drukowany spis roślin ogrodu wymienia nie mniej aniżeli 3.470 gatunków. Prywatne jego zielniki zawierały 7.540 suszonych roślin, a zbiór owadów liczył 31.108 okazów. Karol, będąc jeszcze studentem, rozpoczął prowadzenie zapisów bibliograficznych na marginesach „Historii literatury polskiej” Bentkowskiego. Jest w jego dorobku praca z r. 1867 „Gwara złoczyńców”. Sięgnąłem po nią, zaciekawiony, dlaczego bibliograf zajmuje się czymś takim. E., prawnik z wykształcenia, był przez kilka lat asesorem sądowym we Lwowie. Stykając się z przestępcami, uznał za ważne poznanie ich języka. Zaczyna od przeglądu wydanych słowników i gramatyk gwary złodziejskiej: niemieckich, holenderskich, angielskich, portugalskich, węgierskich i francuskich. Analizuje język powieści Dzierzkowskiego „Kuglarze” — Lipsk 1845, z której wypisuje 27 słów i przekładu „Małych tajemnic Paryża” — 60 słów. Z tym, co sam zebrał, jego alfabetycznie ułożony słownik liczy pół tysiąca wyrazów. Rozważając zebrany materiał dochodzi do wniosku, że „filuci francuscy z większą humorystyką uformowali swój język, znamionujący większy niż u nas stopień zepsucia”. Zauważa też, że w Krakowie, Lwowie i Warszawie mimo różnic stosunków społecznych i administracyjnych złoczyńcy używają tych samych lub zbliżonych słów. Praca ta wydała mi się ciekawsza i bogatsza od wielu rozpraw habilitacyjnych dzisiejszych językoznawców, rozpraw znacznie od niej dłuższych. Dla Estreichera była to publikacja marginalna, podpisana jedynie inicjałami. Stanowi ona charakterystyczny przykład potrzeby porządkowania wszystkiego, z czym się ma do czynienia.

To, na czym Estreicherowi zależało naprawdę, to była Bibliografia Polska. Zaczął od „Piśmiennictwa w Galicji”, drukowanych od r. 1859 w dodatku do *Gazety Lwowskiej* rejestrów bibliograficznych za lata 1849-59. Doniosłość tej pracy została wcześniej rozpoznana i w styczniu 61 zjawił się we Lwowie księgarz warszawski Lewicki, zamawiając u E. katalog książek pol-

skich od r. 1830 w układzie alfabetycznym i przedmiotowym. Przyjmując zamówienie Estreicher ustalił, że zacznie od r. 1800. Przygotowując projekt „Bibliografii Polskiej XIX stulecia — Katalogu 35 tysięcy druków” myślał już o Bibliografii obejmującej 150 tysięcy druków od roku 1455. Był przekonany, że udowodni istnienie takiej ich liczby, dopowiadając, że w Rosji wydano w tym okresie tylko 50 tysięcy. Ten zamiar pozwolił mu pokonać wszelkie przeszkody. Miałbym ochotę powiedzieć, że uskrzydlił go. Chodziło jednak poza wszystkim o lata wytrwałego siedzenia przy biurku.

W r. 1862 Estreicher mianowany notariuszem porzucił to intratne stanowisko, by przenieść się do Warszawy, nie wiedząc jeszcze czy będzie bibliotekarzem czy tylko podbibliotekarzem organizującej się Szkoły Głównej. Najważniejsze było móc korzystać z zasobnej biblioteki. Wielka biblioteka jest zawsze naturalnym środowiskiem pracy bibliografa. W Bibliotece Szkoły Głównej, dzisiejszej Uniwersyteckiej, pod kierunkiem E. opracowano 50 tysięcy tytułów (oczywiście nie tylko polskich). W Bibliotece Jagiellońskiej, gdy został w r. 1868 jej dyrektorem, było 25 tysięcy dzieł polskich. Z końcem jego dyrekcji dzieł ten liczył 81.312 skatalogowanych druków. Pamiętając o tym, chciałbym opowiedzieć o bibliografii, która zestawiona z dziełem Estreichera może wydać się skromna. Trudności jakie musiał pokonać jej autor przekraczają dającą się wyobrazić miarę. Przed kilkunastu laty poważny historyk prasy dr Andrzej Paczkowski ocenił ilość pism polskich wydawanych poza Polską od końca Niepodległości na około 1.700. Liczba ta wydała mi się zdumiewająco wysoka, skoro sam z trudem docierałem do czterech z nich. Jan Kowalik w „Bibliografii czasopism polskich wydanych poza granicami kraju od września 1939” do r. 1988 podał opisy 4.617 pism, wyłączając z tego jednodniówki i kalendarze. Bazą działalności było założone przez Kowalika archiwum prasowo-bibliograficzne. Estreicher przybywając do Warszawy przywiózł ze sobą ze Lwowa 5 pak książek i jedną wielką pakę własnych rękopisów. W Warszawie ofiarowano mu służbowe mieszkanie złożone z 5 pokoi w Pałacu Kazimierzowskim. Miałem okazję słuchać wykładów i zdawać egzaminy w tym gmachu i wiem, jak obszerne są tam pomieszczenia. Estreicher oprócz zajmowania się biblioteką Szkoły Głównej prowadził także wykłady z bibliografii. Czytając zwięzłe i klarowne artykuły Jana Kowalika ogłaszane czasem w *Kulturze* byłem przekonany, że autor jest profesorem; nie wiedziałem tylko, gdzie naucza. Portret misjonarza ks. Wojciecha Sojki (*Kultura* nr 4/367 z r. 78) upewnił mnie, że jest utalentowanym pisarzem. I oto wiadomość, że Jan Kowalik łączył swą pracę bibliografa z zarobkowymi zajęciami nocnego stróża. Można to zresztą także opowiedzieć inaczej: J.K. za

radą lekarza dzielił swój czas na zajęcia fizyczne i umysłowe. Porzucił zresztą posadę nocnego stróża w tkalni i zajmował się przez kilka godzin dziennie, na pół etatu, sprzątaniem laboratorium. Oczywiście niepodobna przez cały dzień utrzymać napięcie uwagi niezbędne przy sporządzaniu bibliografii. Pracowity Estreicher codziennie bywał w teatrze. Cała ta budująca historia cnót, wielkiego charakteru połączonego ze sprawnością umysłu wydaje mi się nieco niebezpieczna, mogąca demoralizować szafarzy dóbr, nasunąć im złudne nadzieje, że więcej monumentalnych dzieł mogłoby powstać kosztem jedynie nadludzkich poświęceń utalentowanych jednostek.

Jak Kowalik dokonał swego dzieła — podobnie jak Estreicher — z pomocą wielu osób. Z podziękowań, które zamieszcza w swej książce można przypuszczać, że nie tylko przysyłano mu egzemplarze i wiadomości, ale także udzielano gościny i noclegu, gdy odbywał urlopowe podróże by dotrzeć do zbiorów prasy. Józefa Kamińska (pseudonim), autorka „Bibliografii publikacji podziemnych w Polsce 13 XII 1981-VI 1986” (Editions Spotkania, Paryż 1988), także dziękuje wszystkim, którzy pomogli jej w ciągu 5 lat pracy. Z zarejestrowanych przez siebie 3.568 książek autorka opisała z autopsji 2.844, a z 1.465 pism miała w rękę 925. Jest to zapewne rekord w obcowaniu z wydawnictwami nielegalnymi i łatwo sobie wyobrazić, jakie konsekwencje wtedy mogła pociągnąć tego rodzaju działalność umysłowa. Autorka jest znakomicie przygotowanym bibliografem, zdradzającym znajomość ruchu wydawniczego z czasów okupacji hitlerowskiej, z może nieco skromniejszym stażem opozycyjnym, o czym zdaje się świadczyć jedyny chyba, ale zadziwiający lapsus. Pozycja 1692: Daniel Julij Markovič Mikołaj Arzak (pseud.): *Mówi Moskwa* (Z rosyjskiego przełożył Józef Łobodowski. W-wa Wyd. CDN 1984 s. 38. Przedruk z: „Kultura” Paryż 1962 nr 1/2). Teraz posuwamy się w porządku alfabetycznym dochodząc do pozycji 2406 (Markovič Daniel Julij) Mikołaj Arzak (pseud.). *Mówi Moskwa*. W-wa Wyd. CDN 1984 s. 38, cena 100 zł... Osoby wychowane na *Kulturze* poprawiają takie rzeczy automatycznie; to nie jest erudycja, a tylko nawyk.

Nieco wcześniej ukazały się w podziemiu „Materiały do bibliografii druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury 82-86” Józefa Gajewskiego, Oficyna Literacka — Kraków 1988. Złożona z pięciu bibliografii rocznych, mniej kompletna, choć przecierająca drogę, praca ta gubi się nieco w systemie odsyłaczy: nazwisko Jerzego Stempowskiego pojawia się w niej pięciokrotnie, a chodzi tylko o dwa przedruki tego samego opowiadania *Sołżenicyna* w przekładzie Stempowskiego sygnowanym pseudonimem Leon Furatyk.

Kamińska notuje dwie publikacje Bogusława Rybickiego, a)

pod pseudonimem Krzysztof Topiłowski: „*Nowy Przegląd Katolicki* a masonizacja Kościoła Katolickiego w Polsce”, W-wa 84, s. 27, fotooffset cm. 21,5 x 14,5; b) Bogusław Rybicki: „Solidarność ale kogo z kim” W-wa Unia Nowoczesnego Humanizmu s. 29, cm. 20,4 x 14,6. Były to publikacje agenturalne, jeśli nie obłąkane, z kręgu kolportażu przy kościele na Zagórnej. Kamińska przy „Solidarności ale kogo z kim” dodaje: „Listopad 81/właściwie: druga połowa grudnia 81/” co jest jednoznaczną oceną wydawnictwa w ścisłych ramach bibliografii. Gajewski pomija je. Mógł do nich oczywiście nie dotrzeć. Może to być jednak refleks idei Hegla, że rzeczywiste jest tylko to co rozumne, co by znaczyło że bibliograf ma rejestrować głównie to, co uważa za wartościowe z jakichkolwiek względów. Estreicher, którego ambicją była kompletność dzieła, uwzględniał również wierszowane noworoczne powinszowania drukowane przez krakowskiego listonosza, co też przyczyniało się do powiększenia liczby narodowego dorobku. Pomijał jednak dzieła talmudyczne w języku hebrajskim drukowane na ziemiach polskich. W naszym stuleciu zdecydowano się nie uwzględniać katalogów handlowych i cenników, rozkładów jazdy, ksiąg adresowych i telefonicznych, materiałów do szkolenia politycznego i regulaminów wojskowych. Otóż co najmniej pominięciem regulaminów wojskowych budzi moje wątpliwości. Profesor Zbigniew Raszewski w monografii Wojciecha Bogusławskiego poświęcił parę ważnych stron ewolucji języka komend wojskowych w Szkole Rycerskiej. Ja, który obcowałem z regulaminami wojskowymi PRL z przykraj konieczności, potem dla zabawy i ożywienia inwencji wiem, ile z tych małych książeczek można się dowiedzieć i wywnioskować.

Najbardziej nieumiarkowana w swych ambicjach jest „Bibliografia Polska 1900-1939” ogarniająca wszystkie druki wydane na ziemiach polskich oraz Polski dotyczące. Kilkanaście lat temu byłbym zdania, że rosyjsko-języczne wydawnictwa białej emigracji, hebrajskie teksty talmudyczne, książki białoruskie i litewskie nie należą do bibliografii polskiej. Dziś rozumiem sens ich odnotowania. Ale czy nie wystarczyłoby z dorobku Szaloma Asza zapisać jedynie wydania w języku polskim oraz żydowskim drukowane w Polsce? Podanie wszystkich możliwych przekładów na czeski, duński, włoski — pewnie i tak niewyczerpujące — czyni 219 pozycji wypełniających 11 stron druku. Książka Gertrudy Aretz „*Die Frauen um Napoleon*” ze względu na p. Walewską jakoś tam dotyczy Polski, ale fakt, że doczekała się szwedzkiego przekładu jest już informacją przesadną. Upierałbym się, że broszura „Ab asnounych krynicach nacyjanal-apartunizma u KPZB. Rezaljucyja CK KPZB”, wydana w Wilnie w r. 1934, nas nie dotyczy. Owa niepowściągliwość, sprawa

wiająca, że nadmiar informacji blokuje wszelką informację, mogła przyczynić się do wydawniczych kłopotów tej nieistniejącej bibliografii.

Jan Kowalik był także krytykowany, np. za włączenie pism ukazujących się na terenach natychmiast zaanektowanych przez okupantów. Tak znajdziemy u niego wydawany od 27 września 39 we Lwowie i Tarnopolu *Czerwony Sztandar* oraz lwowskie *Nowe Widnokreگی*, podczas gdy pomija gazetówkę *Nowy Kurier Warszawski*. Rozumiem argumenty przeciw podobnej decyzji, ale ona dokładniej ukazuje naszą przeszłość, na którą składa się oprócz tego, co sami robiliśmy także to, co z nami robiono. Czasem przy naszym udziale, skoro w redakcji *Nowych Widnokreگی* obok redaktora naczelnego Wandy Wasilewskiej i sekretarza odpowiedzialnego Heleny Usijewicz, Janiny Broniewskiej i Zofii Dzierżyńskiej był Tadeusz Boy-Żeleński i Julian Przyboś.

Czytana w całości bibliografia Kowalika jest w szczególności sposobem zapisaną historią Polaków w okresie ostatnich 50-u lat. Mając ją w rękę, możemy uzupełnić naszą wiedzę bądź docierając do wydawnictw tworzących fundamenty polskiej świadomości, bądź zainteresować się nieznanymi szczegółami. Tu czeka nas wiele niespodzianek. Chciałbym przeczytać „Głos Polaków na Cyprze”, wydawany między listopadem 1940 a kwietniem 1941, mniej zaciekawiony Cyprem a bardzo tym, co pisał jego redaktor, Juliusz Mieroszewski. „Krokodyl na Zachodniej Ukrainie” — polskojęzyczna wersja sowieckiego tygodnika — i wszystkie cztery *Czerwone Sztandary* mniej mnie zajmują, ale i o nich warto wiedzieć. Czwarty z nich, wydawany od grudnia 67 za chińskie pieniądze na biblijnym papierze przez Kazimierza Mijala w Tiranie w latach 70-tych, wypracował przeciw Gierkowi retorykę dzisiejszego OPZZ-u. Może zresztą zechce sięgnąć po ten tytuł powstające w Polsce POROZUMIENIE LUDZI PRACY PARTYJNEJ, szczególnie zapracowanych w roku 1968, a potem dzwigających na własnych piersiach Sztandary Pracy albo, jak towarzysz redaktor Krasicki Ignacy, Order Tronu Iranu.

4 tomy bibliografii Jana Kowalika ukończone w r. 1969 istniały w sześciu egzemplarzach. W roku 1976 Wydawnictwo Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego wydało ją w 725 egzemplarzach. Mimo wydania informacje na jej temat bywały w kraju blokowane, choć nie dość skutecznie. W roku 1988 KUL wydał tom 5-ty, zawierający uzupełnienia oraz informacje o pismach wydanych do r. 84, tym razem w 2.000 egz. Miejmy nadzieję, że tę samą wysokość nakładu osiągną i pierwsze tomy uzupełnione o trudno dziś dostępne studium, ogłoszone w Londynie w r. 1965 w wydawnictwie „Literatura polska na obczyźnie, 1940-1960”.

Gdy przed laty Jan Błoński napisał książkę o Sępie-Szażyńskim, przedstawiając ją jako pracę doktorską, Kazimierz Wyka kazał mu szybko napisać cokolwiek na doktorat, skoro praca o Sępie z nadwyżką zasługuje na habilitację. Tym „cokolwiek” okazała się bodajże książeczka o Prouście „Widzieć jasno w zachwyceniu”.

Sądzę, że któryś z Uniwersytetów polskich zdoła uprosić Jana Kowalika, obchodzącego osiemdziesiątą rocznicę, o wygłoszenie wykładu habilitacyjnego. Wiele by na tym skorzystała bibliografia w Polsce. Gdybym wysłuchał takiego wykładu, mógłbym napisać znacznie ciekawszy artykuł.

Andrzej DOBOSZ

Mickiewicziana z Bitburga

Nakładem Wydawnictwa „Arkady” w Warszawie ukazała się na zamówienie *Deutsches Polen Institut* w Darmstadt licząca 800 (numerowanych!) egzemplarzy edycja* części mickiewiczowskich i para-mickiewiczowskich dokumentów, których oryginały wchodziły w skład kolekcji będącej w posiadaniu dr. Tomasza Niewodniczańskiego, mieszkającego obecnie w Bitburgu w Niemczech Zachodnich. Współautorami tego pięknego tomu, zawierającego liczne reprodukcje wspomnianych dokumentów, a także ilustracje i portrety, są trzy osoby: sam właściciel kolekcji, dr Maria Danilewicz Zielińska (której prezentować czytelnikom *Kultury* z pewnością nie trzeba!) oraz p. Janusz Odrowąż-Pieniążek, dyrektor Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, a zarazem redaktor naukowy omawianego tomu.

Materiał wchodzący w skład książki obejmuje trzy grupy dokumentów. Pierwszą jest zbiór 22 listów wieszczka, z których 14 (z lat 1828-37) skierowanych było do Antoniego Edwarda Odyńca (1804-1885), miernego poety (por. „*Precz, precz od nas smutek wszelki!*”) i przez czas jakiś mini-Eckermanna u boku Mickiewicza. Drugą grupę stanowi „*Dzienniczek podróży*” (plus trochę innych

* *Mickiewicziana w zbiorach Tomasza Niewodniczańskiego w Bitburgu.* (Teksty odczytali: M. Danilewicz Zielińska i T. Niewodniczański; opracowała i komentarzami opatrzyła M. Danilewicz Zielińska; redakcja naukowa i postłowie: J. Odrowąż-Pieniążek; Copyright by T. Niewodniczański, 1989). *Deutsches Polen Institut Darmstadt* (nakł. Wydawnictwa „Arkady”, Warszawa), ISBN 83-213-3510-1.

papierów) tegoż Odyńca, zawierający jego wrażenia ze Szwajcarii, Paryża i Londynu, i — niestety — rozpoczynający się właśnie w momencie rozstania się autora z Mickiewiczem w Genewie, 10 października 1830 r. Pod tą datą figuruje wpis ręką Mickiewicza (por. str. 119 omawianej książki i reprodukcję oryginału [k. 27 r.] o stronie wcześniej): „do widzenia w Litwie [...] Adam” i dalej ręką Odyńca (w zbyt może wiernej transkrypcji zastosowanej przez wydawców): „*Pojechał — Nietupisać com cierpiał — o niech Bóg zdrowo i szczęśliwie prowadzi. Kocham go więcej niżkiedy. — Ion plakał!*”. Reszta tekstu jest interesująca jedynie jako *couleur temporelle* i materiał orientujący w cenach usług i towarów oraz wartości ówczesnych jednostek obiegowych. *Nota bene*: enigmatyczny „Ion” w cytowanym zapisie Odyńca zdaje się reprezentować „I(-)m”, czyli: „I plakałem”, pomimo dość kulfonijastej formy „m” w autografie reprodukowanym na str. 120.

Trzecią grupę mickiewiczianów w tej książce stanowią dwa zbiorki listów Celiny Mickiewiczowej do męża: jeden ze Szwajcarii, dokąd ta *madame catastrophe* literatury polskiej udała się w 1846 r. częściowo w celach religijnych, a głównie by pojednać męża (poza jego plecami) z „Mistrzem” Towiańskim; drugi pakiet, to jej listy do Mickiewicza przebywającego wiosną 1848 we Włoszech, gdzie organizował swój Legion i wzywające go do powrotu do Francji (głównie oczywiście z uwagi na dobro „Sprawy Bożej”). Całość przesiąknięta jest jadowitym odorem towiańszczyzny i stanowi interesujący przyczynek do studiów nad tą zdumiewającą rasputiniadą.

Wszystkie materiały opatrzone są notami, przypisami, komentarzami i innymi formami informacji tak, że całość stanowi ładną pozycję naukową, jakkolwiek chwilami czytelnik ma też wrażenie uczestniczenia w solennym *hommage*'u składanym bitburskiej kolekcji jako takiej. Dużo ciekawiej, wręcz sensacyjnie, zapowiada się następny tom, będący obecnie w przygotowaniu, a o którym informują rozsiane tu i ówdzie wzmianki. Chodzi o wydanie tzw. „Albumu Moszyńskiego”, czyli zbioru ok. 50 autografów Mickiewicza z okresu jego pobytu w Rosji. Papiery te zostały ofiarowane przez przyjaciela poety, Mariana Piaseckiego, więzionemu w 1829 r. w Petersburgu Piotrowi Moszyńskiemu w formie książeczki, która następnie odbyła wraz z właścicielem wędrowkę na Sybir, skąd po latach została przywieziona do Krakowa — gdzie jej dalsze losy się urwały ku wieloletniemu zmartwieniu polonistów. Jakimś — nieujawnionym — sposobem trafiła obecnie do kolekcji dr. Niewodniczańskiego i wkrótce będzie opublikowana w dostępnej zwykłym zjadaczom chleba formie. *Qui vivra, verra.*

M. BRONSKI

Humor krajowy

30 sierpnia 1990 r. w angielskim piśmie *The Independent* ukazał się artykuł o Lechu Wałęsie pt. „Lech Wałęsa chce 99%”, z którego podajemy fragmenty w tłumaczeniu.

Lech Wałęsa oświadczył 29.8.1990, że w wyborach prezydenckich wyborcy powinni na kartkach wyborczych podawać swoje nazwisko, „żeby potem wiedział, jak kto głosował”.

„To nie jest żaden akt przeciwko wolności — dodał — bo czasy są tak ciężkie, że każdy musi się przyczynić do siły prezydenta”.

Jeżeli będzie kandydował — a wciąż twierdzi, że nie wie — chce zebrać 99% głosów. Już dziś, jak twierdzi, ma 60% „w kieszeni”. „Ale 60% mi nie wystarczy dla przeprowadzenia reform w Polsce. Sześćdziesięcioprocentowy prezydent nie da sobie rady i bardzo szybko straci poparcie. Dlatego domagam się, żeby udział w wyborach był obowiązkowy”. Wałęsa wyjaśnił, że wprowadzić nie lubi obowiązkowych wyborów, ale chce, żeby każdy Polak czuł się zaangażowany i zdecydowany zapewnić prezydentowi siłę polityczną, niezbędną do przeforsowania reform.

Na pytanie, jaki procent głosów uważa za wystarczający, Wałęsa odpowiedział: „90%. Nie mniej niż 80%”. Czy zrezygnuje z urzędu, jeżeli dostanie 80%? — „Wtedy będę musiał pracować nie 24, ale 28 godzin na dobę”, odpowiedział dodając: „Przy moim darze perswazji trudno sobie jednak wyobrazić, abym nie zdobył 90% głosów”.

Następnie Wałęsa usiłował wytłumaczyć sens swoich kontrowersyjnych żądań, aby Żydzi z liberalnej formacji solidarnościowej ROAD, która sprzeciwiła się jego kandydaturze na prezydenta Polski, „ujawnili swoje żydostwo”. Wałęsa żąda tego specjalnie: chodzi mu o to, aby zwalczać antysemityzm, wywołując publiczną dyskusję. Z naciskiem podkreśla, że zrobił dla Żydów w Polsce więcej niż ktokolwiek inny. Wmurował mianowicie tablicę pamiątkową dla przypomnienia strasznego pogromu kieleckiego, apelował do rządu,

aby ratował resztki kultury żydowskiej w Polsce, a raz aresztowano go w drodze na obchody rocznicy powstania w getcie warszawskim. Co więcej, zwlekał z żądaniem ujawnienia Żydów, aby zmusić liberalne skrzydło Solidarności do zerwania z prowałęsowskim Centrum i uformowania odrębnej grupy, ale nie być podejrzanym o motywacje „nacjonalistyczne i antysemickie”.

„Moja filozofia jest taka, że nie trzeba tych problemów ukrywać... Ja stawiam je otwarcie i dyskutuję o nich. Na zebraniach robotnicy pytają — twierdzi Wałęsa — dlaczego czołowe postacie polityczne są Żydami... Niektórzy chcieliby to wyciszyć... Ja pochodzę z dołów społecznych, ludzie nie lubią niejasności, nie lubią, jak się coś ukrywa... Ja patrzę temu w twarz... Myślę, że człowiek powinien być dumny z tego, że jest Żydem. Nie ma powodu tego ukrywać. Nie należy robić problemu ze swojego pochodzenia. Nie sugeruję, że powinniśmy sprawdzać, kto ma jakie pochodzenie, ale kiedy człowieka pytają, to powinien odpowiedzieć... Ja byłbym szczęśliwy, gdybym był Żydem, ale nie jestem”.

Wałęsa czuje, że Zachód nie rozumiał jego słów o Żydach i twardych rządach za pomocą dekretów: „Oni wszystko przekreślają”. Nie powiedział przecież, że tylko prezydent miałby prawo do wydawania dekretów. Mógłby to być też premier albo grupa parlamentarna. Co więcej — ale tego przedtem nie mówił — każdy dekret musiałby być szybko skierowany na wokandę sejmową, a Sejm mógłby go zatwierdzić albo uchylić...

Wałęsa wypowiada się z goryczą i żalem o „nich”, tzn. o premierze Mazowieckim i solidarnościowych posłach na Sejm. „Stworzyli głupią sytuację dla mnie i dla Polski. Fakt, że nie wykorzystali okazji kosztował mnie i Polskę bardzo drogo... Kiedy jednak powiedziałem, że jestem w śmiesznej sytuacji, bo nie mogę podjąć żadnej akcji, zaczęli się skarżyć. A to ja i naród powinniśmy mieć żal do nich, że zrobili z nas błaznów”.

Mówiąc o swoich planach stworzenia z dawnej Solidarności trzeciej formacji politycznej, odrębnej od konserwatywnego Centrum i liberalnego ROAD, Wałęsa wytłumaczył, że chodzi mu o to, aby polski krajobraz polityczny upodobnił się do zachodniego. „Jeżeli chcemy wejść do Europy, musimy popatrzeć, jak jest we Włoszech, w Anglii albo we Francji i zbudować to, co oni mają”. Polska — powtórzył swoją ulubioną metaforę — powinna stać na dwóch nogach, prawej i lewej, „ale każda stopa ma pięć palców, to popatrzmy, jakie palce mają np. we Francji. Oczywiście tego nie trzeba narzucać, to byłoby niedemokratyczne, ale kiedy widzimy tendencje, które się dla Polski nadają, powinniśmy je popierać. Jeżeli nie będziemy ich mieli, to nie będziemy pasowali do Europy, dlatego że nie można wózka dzieciennego podłączyć do Mercedesa ani do Forda”.

The Independent, 30.8.1990

Nowy kształt Europy: powrót do Wersalu

Europa szykuje się do podpisania nowego traktatu wersalskiego. Świadczą o tym liczne znaki: jedno wielkie mocarstwo europejskie traci terytoria i strefy wpływów, a drugie mocarstwo europejskie, zdobywając terytoria i rozszerzając swe wpływy w gospodarce, polityce i kulturze, zamienia się w wielkie mocarstwo. Pierwsze — to Związek Sowiecki. Drugie — Niemcy. Wielkie mocarstwo, które z bronią w ręku wygrało drugą wojnę światową, po 45-ciu latach upada. Pokonane imperium, zmieniając się i odnowiając, przeżywa rozkwit. Jeśli nie zajdzie przewrót w rozkładzie sił politycznych w ZSSR i sowieckie imperium nie przekształci się w narodowo-socjalistyczne super-mocarstwo, grożące wojną atomową i nie chcące oddać ani piędzi swej ziemi, to w systemie lat 90-tych zajdą nieodwracalne zmiany, przede wszystkim w zakresie pól oddziaływania Niemiec i Rosji.

Strefy dla zjednoczonych Niemiec

Zjednoczenie Niemiec jest przesądzone. Ale odtworzeniu więzów ekonomicznych, politycznych i kulturalnych towarzyszyć będą liczne kolizje: na wygłodzonych Niemców wschodnich wpływać będzie na pewno zachodnia kultura rynkowo-konsumpcyjna i system masowej demokracji, ale kruchy, nie do końca ustabilizowany liberalizm zachodnioniemiecki podlegać też będzie wpływom autorytarnego, wschodniego systemu wartości, musztrującego jednostki i społeczeństwa, pokornego a zarazem agresywnego, nieubłaganego wobec przekonań lewicowych.

Najgorszym wariantem tej szczególnej mieszanki byłoby imperium typu autorytarnego o liberalnej gospodarce rynkowej, pyszniące się swoją przewagą w dziedzinie produkcji i konsumpcji i traktujące małe kraje europejskie jak swoich wasali. W najlepszym wypadku państwo to stanie się przeciwwagą pozostałych państw Wspólnoty Europejskiej, przede wszystkim Francji i Wielkiej Brytanii.

Wreszcie na polityczny ustrój Niemiec może też wpłynąć włączenie Austrii w proces zjednoczenia Niemiec: ekonomiczna i

społeczna siła przyciągania Niemiec, możliwość wejścia na szerszy rynek kapitałów i siły roboczej mogą tylko podminować i tak dość słabe poczucie własnej tożsamości Austriaków.

W polityce odrodzenia gospodarczego Niemiec lat 90-tych znajdzie się miejsce dla dwóch państw: Austrii i Czechosłowacji. Jeśli chodzi o tę ostatnią, to jej czeska i morawska część bogate są w historyczne związki z Niemcami i mogą holować zafatną Słowację. Łudzilibyśmy się sądząc, że zamiast współpracować z odradzającymi się Niemcami, do których będzie mogła eksportować swoje towary w zamian za impulsy i technologię, Czechosłowacja będzie wołała szukać partnerów w Polsce i na Węgrzech, krajach w stanie upadku i stagnacji.

Orbity wielkiego mocarstwa

Przegrywająca w nowym układzie światowym Rosja sowiecka już czuje, że nie uda jej się długo opierać dążeniom do autonomii i pewnego typu integracji małych państw nadbałtyckich — Łotwy, Estonii i Litwy. Zjednoczenie sowieckiej Mołdawii z Rumunią też już stoi na porządku dnia. Mówi się również o tym, kiedy i jak zechcą się usamodzielnic odgrywająca kluczową rolę Ukraina oraz mniej ważna z politycznego i gospodarczego punktu widzenia Białoruś. W jakim stopniu kraje te zechcą zadowolnić się zwiększoną autonomią gospodarczą i kulturalną w ramach Związku Sowieckiego? Jest prawdopodobne, że wokół Rosji ukształtuje się wianuszek różnych co do wielkości państw narodowych, które będą odgrywały rolę swojego rodzaju bufora. Możemy tylko mieć nadzieję, że droga do samodzielności poprowadzi nie przez przelew krwi i wojnę domową.

Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że państwa nadbałtyckie będą ciążyć nie ku Polsce, a w stronę układu ekonomicznego i politycznego istniejącego w Finlandii. Innymi słowy, zabezpieczą tyły traktatami z Moskwą i skierują swe kroki ku gospodarce krajów skandynawskich — Finlandii, Szwecji, Norwegii.

Sowiecka Białoruś nigdy nie miała własnej państwowości, jej sytuacja zależy od stosunków w trójkącie Rosja-Ukraina-Polska.

Jeśli chodzi o sowiecką Mołdawię, to jej zjednoczenie z Rumunią można tylko odroczyć; na dłuższą metę jest ono równie nieuniknione, jak zjednoczenie Niemiec.

Zwycięstwo na modłę rumuńską, porażka na modłę jugosłowiańską

Wielkimi zwycięzcami lat 90-tych będą obok Niemców Rumuni, a ściślej mówiąc Rumunia.

Najdoskonalszym, a zarazem najbardziej realistycznym rozwiązaniem byłoby utworzenie Wielkiej Rumunii, złożonej z dwóch autonomicznych części: Transylwanii, zapewniającej prawa narodowe zamieszkałym na jej terenie Rumunom, Węgrom, Saksończykom, Szwabom i Serbom, oraz Besarabii, gwarantującej te same prawa Rumunom, Ukraincom, Rosjanom, bułgarskim Gagauzom (niewykluczone, że będzie to Wielka Mołdawia, do której wejdą Mołdawia rumuńska i dzisiejsza Mołdawia sowiecka).

Stosunki Rumunii z Rosją będą oczywiście dość napięte, ponieważ Rosja zachowa wpływy wojskowe i gospodarcze i będzie zainteresowana w utrzymaniu „kwestii mołdawskiej”. Trudne będą też stosunki z Węgrami, które nie spuszczają z oka Transylwanii. Jest jednak możliwe, że właśnie taka sytuacja zapewni swego rodzaju prawdziwą tolerancję wobec polityki narodowościowej Bukaresztu. Niezbędnym warunkiem umocnienia gospodarki rumuńskiej jest utrzymanie dostaw ropy ze Związku Sowieckiego i wyciszenie konfliktów rumuńsko-węgierskich.

Gospodarka rumuńska należy do strefy, w której Niemcy mogą zdobyć twarde grunto pod nogami, starczy jednak miejsca i dla innych, przede wszystkim dla Francji.

Natomiast Serbia jest państwem, które w latach 90-tych czeka wielki upadek. Nie jest jasne, do kiedy i w jakiej postaci uda się uratować federację jugosłowiańską, nie ulega jednak wątpliwości, że największa republika związku — Serbia — przegrała.

Serbia staje się coraz bardziej nieproszoną reprezentantką najmniej rozwiniętych federacji, a równocześnie w Kosowie wplątała się w wojnę domową o „odwiecznie” serbskie ziemie z przeważającą na tych terenach ludnością albańską. Słowenia coraz częściej myśli o dobrowolnym wyjściu z federacji, a Chorwacja szykuje się do roli wahadła: jeśli warunki okażą się korzystne, będzie sprzyjała zachowaniu Jugosławii, a jeśli nie, pójdzie za przykładem Słowenii.

Chorwację i Słowenię pociąga strefa wpływów Niemiec, uczestniczą jednak w próbach stworzenia przeciwwagi dla nich na linii Alpy-Adriatyk od strony Włoch, Austrii i Węgier.

Jeszcze jeden kraj należy do obozu przegranych, mianowicie Polska. Wokół tego kraju narasta groźne, znane już z przeszłości okrażenie. Z jednej strony niczym kłątwa, silne mocarstwo niemieckie z jego skrytymi, ale realnymi ciągami terytorialnymi i antypolskim nastawieniem, a z drugiej upokorzona i rozgniewana, zapędzona w ślepy zaułek Rosja i jej niemniej antypolsko nastawione, samodzielne albo pół-samodzielne państwa narodowe — Białoruś i Ukraina.

Samotny głos Węgier w europejskiej orkiestrze

Jaki wybór mają Węgry? Istnieje tu obecnie — na bardzo krótki czas — próżnia, a ściślej mówiąc sytuacja, której znamieniem jest równoczesna zależność od szeregu wielkich mocarstw. Pod względem wojskowym Węgry zależą od Związku Radzieckiego. Ale jeszcze ważniejsza jest ich zależność od tego kraju w dziedzinie dostaw energii i obowiązkowych dostaw do ZSSR żywności i maszyn rolniczych, nastawionych na rynek sowiecki. Gospodarka węgierska zależy w wielu dziedzinach od polityki Stanów Zjednoczonych, które za pośrednictwem Międzynarodowego Funduszu Walutowego mogą otworzyć albo zamknąć dopływ kredytów. Na węgierską gospodarkę wpływa jednak także fakt, że jej kredyty pochodzą w znacznej mierze z Japonii. I wreszcie Węgry należą do niemieckiej strefy wpływów. W europejskim domu Niemcy mogą życzliwie zostawić Madziarom przytulną pralnię w suterenie.

Istnieje co prawda aktywna i dynamiczna polityka włoska, na którą Węgry mogą na długą metę liczyć. Wątpliwe jednak, by piórkowa waga Włoch zdołała przeważać pudowy ciężar Niemiec. Węgrzy mają więc niewielki wybór. To nie oni, lecz wielkie mocarstwa dobierają sobie partnerów.

Alternatywa rozpadu

Podobnie jak lata 20-te i 30-te, lata 90-te przyniosą małym krajom Wschodniej Europy nędzę i udręki. Niewykluczone, że pojawi się multum wrogich sobie państw: Serbia, Chorwacja i Słowenia, Łotwa, Litwa, Estonia, Ukraina i Białoruś, Wielka Rumunia (Transylwania, Walachia, Mołdawia, Besarabia), Wielka Albania (dzisiejsza Albania z Kosowem), niespokojna Polska. Państwa te nie będą sobie specjalnie bliskie. Ciężyć będą na nich jak przekleństwo problemy narodowościowe, a zarazem walkę wyzwolenczą opierać będą raczej na żądaniach narodowych aniżeli na bazie wspólnego postępu.

Ależ skąd — odpowie niejeden z czytelników — przecież właśnie teraz otwierają się prawdziwe możliwości przymierza narodowego i uformowania we Wschodniej i Środkowej Europie jednej albo kilku zintegrowanych grup. Jedni uważają, że musimy teraz koniecznie myśleć o integracji Węgier, Polski i Czechosłowacji. Inni myślą w kategoriach nowej monarchii austro-węgierskiej z udziałem Austrii, Węgier, Czechosłowacji, Chorwacji, Słowenii, ale bez monarchy, na zasadzie całkowitego równouprawnienia państw członkowskich. Już słyszę tęskne westchnienia, znane jeszcze z końca lat 30-tych marzenia o fede-

racji środkowoeuropejskiej, Stanach Zjednoczonych Europy Środkowej od Bałtyku do Adriatyku, od Kłajpedy do Dalmacji. Rzeczywistość jest jednak nieubłagana. Spisek biedaków, marzenia bezsilnych liczą się dopóty, dopóki bogaci czegoś nie zaproponują. Zrujnowana do cna Polska, uprzemysłowiona Czechosłowacja ze swoją zatrutą przyrodą albo pogrążone w bezsensownej krzątaninie Węgry przestają być dla siebie nawzajem atrakcyjne, jeśli tylko pojawi się w eleganckim samochodzie dorodna postać wymarzonego kochanka — Niemiec. O granicach ich wzajemnej solidarności decyduje fakt, że wspólnie chcą się wyzwolić od Rosji. Niech jednak tylko pojawią się Niemcy, a już ku nim biegną, rozdeptując się nawzajem i krzycząc: „Do mnie, nie do tamtych!” Wszystkie szczytne zasady zjednoczonej Europy w praktyce tyle znaczą dla Środkowej i Wschodniej Europy, ile znaczyły zasady Wilsona w 1918 roku. Granice europejskie przebiegać będą nie tam, gdzie chcieliby je ustalić biedacy, tylko tam, gdzie bogaci właściciele Europy zamiast muru dyktatury postawią ścianę, oddzielającą bogatych od żebraków.

Zamiast epilogu

Bogaci się bogacą, biedni biednieją. Wielu włożyło strojne szaty i czeka u bram. Czekają na nowe legiony rzymskie, które dadzą pracę i talary, mocną walutę i sprawiedliwość Piłata. Inni, którzy za każdym tumanem kurzu chcieliby widzieć Mesjasza, przybywającego boso, wierzchem na osie, rozczarowani przymykają oczy. Słońce, które — jak się zdawało — dopiero co weszło, już chyli się ku zachodowi. Straże zamykają bramy i wszyscy drepcą z powrotem do domu, przeklinając sąsiada, który im wmawiał, że otwiera się świetlana przyszłość. Znów nikt nie chciał ich zdobyć ani kupić. Czy jutro znowu wyjdą na plac? Może jednak rozlegnie się tętent nadciągających legionów albo głuchy tupot samotnego osła?

O świcie znowu otworzą bramy...

Laszlo LENDYEL

(Przedruk z *Moskowskich nowostej*, 9.9.1990)

Laszlo Lendyel — jeden z powszechnie znanych węgierskich ekonomistów i politologów, współautor programu „Przewrót i reforma”, opracowanego w 1986 roku na zamówienie Frontu Narodowego i będącego pierwszym otwartym wyzwaniem pod adresem oficjalnej ideologii i polityki węgierskiej partii komunistycznej. Jeden z czynnych działaczy opozycyjnych na Węgrzech, w 1987 roku wykluczony z partii. Obecnie stoi na czele naukowego instytutu finansów.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1.8.90

Na skutek trudności finansowych został zamknięty miesięcznik społeczno-kulturalny *Kontrasty* wydawany w Białymstoku. Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało w lipcu dotację 10 mln złotych miesięcznie, ale było już za późno. Zamknięcie *Kontrastów* jest bardzo wielką stratą, gdyż był to miesięcznik doskonale redagowany i poświęcający dużo miejsca problemom wschodnim, a szczególnie białoruskim.

7.9.90

Angielski koncern hotelowy Trusthouse Forte podpisał umowę *joint venture* (55/45%) z agencją turystyczną Orbis w celu odbudowy Hotelu Bristol w Warszawie, który jest zamknięty od początku lat 80-tych. Trusthouse posiada hotel Ritz w Madrycie, Plaza Athenée w Nowym Jorku i George V w Paryżu.

26.8.90

Według obliczeń w Polsce działa 16 partii i organizacji politycznych. Frakcja PPS, reprezentowana przez Jacka Wilczurę, liczy około 20 osób i co do ilości członków nie jest odosobniona.

28.8.90

Powstała w Polsce nowa partia polityczna pod nazwą *Narodowa Demokracja* z połączenia SN-Piast, SN Unia Narodowych Demokratów i Narodowej Organizacji Kobiet. Nowa organizacja zamierza współpracować z Centrum braci Kaczyńskich. ■ Rozłam w KPN. Powstała mianowicie frakcja demokratyczna KPN, której przewodniczącym został Ryszard Bocian. Frakcja ta popiera kandydaturę Lecha Wałęsy na prezydenta RP.

31.8.90

W Kuwejcie nadal działa Ambasada R.P. w składzie trzech urzędników. Od września pozostała w Ambasadzie tylko jedna osoba. ■ W Polsce są starania, by utworzyć polską „Nagrodę Pokoju”. Zorganizowaniem tej nagrody zajmuje się specjalny komitet, któremu naturalnie przewodniczy Lech Wałęsa. W ramach tego komitetu działają dwa zespoły: pierwszy to zespół do spraw zagrożenia pokoju w wymiarze etnicznym i religijnym, na funkcję szefa tego zespołu planuje się Zbigniewa Brzezińskiego, który jednocześnie byłby wiceprzewodniczącym komitetu; drugi — to zespół do spraw jedności Europy, któremu przewodniczyłby Czesław Miłosz, będąc także wiceprzewodniczącym komitetu.

1.9.90

W ciągu siedmiu miesięcy br. wyjechało z ZSSR 234 tys. osób: do Izraela 132 tys., do RFN — 73 tys., do Grecji — 16 tys., do USA — 3 tys. W 1989 roku wyjechało w celach prywatnych i służbowych 2,3 mln osób. Zdaniem władz ilość ta może wzrosnąć do 7-8 mln osób, po wprowadzeniu w ZSSR nowych przepisów paszportowych. Związek Sowiecki nie jest w stanie wydrukować nowych, ujednoliconych, ważnych na okres trzech lat paszportów. Drukarnie sowieckie mogą, w najlepszym wypadku, wydrukować 20%

potrzebnych formularzy dokumentów. ZSSR ma się zwrócić o pomoc do kontrahentów zagranicznych.

3.9.90

Minister Spraw Zagranicznych, Skubiszewski, zaproponował Jakubowi Świącickiemu stanowisko ambasadora R.P. w Japonii. Na szczęście Jakub Świącicki odrzucił tę nieprawdopodobną propozycję, oświadczając, że interesuje go jedynie Szwecja.

4.9.90

Rząd polski zdecydował przerwanie budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu. Do tej nieprzemyślanej decyzji jeszcze powrócimy.

5.9.90

Na pierwszym powakacyjnym posiedzeniu Komisji Krajowej „Solidarności” zdecydowano większością 5-ciu głosów odebranie *Gazecie Wyborczej* znaku „Solidarności”. Po ogłoszeniu wyniku głosowania Barbara Malak podała się do dymisji z funkcji rzecznika prasowego Związku. ■ Szef zespołu doradców Lecha Wałęsy, Andrzej Micewski, powołał do tego grona następujących uczonych i działaczy społecznych: prof. chemii Marka Krygowskiego, prof. ekonomii Stefana Kurowskiego, prof. medycyny Jerzego Majkowskiego, prof. ekonomii Aleksandra Mullera, doc. socjologii Jadwige Staniszkis, prof. polityki społecznej Andrzeja Tymowskiego, prof. K.U.L. Ryszarda Bendera, adwokata Jana Kosza, mgr. elektroniki i ekologa Tomasza Jackowskiego, mgr. Dariusza Winklera (ma się on zająć stosunkami z chrześcijańskimi organizacjami międzynarodowymi) oraz mgr. Mariusza Białka (kontakty z kapitałem zagranicznym).

10.9.90

Dyrektorem Polskiej Agencji Prasowej został mianowany Ignacy Rutkiewicz, wieloletni naczelny redaktor wrocławskiego miesięcznika *Odra*. Jak dotąd PAP był jedną z najgorszych agencji prasowych w Europie. ■ Episkopat Polski upoważnił bpa opolskiego, Alfonsa Nossola, do odprawiania mszy św. w języku niemieckim w kościołach na Górnym Śląsku. Bp Nossol mianował pięciu referentów diecezji odpowiedzialnych za problemy mniejszości narodowych. Oni właśnie będą decydowali, gdzie zachodzi potrzeba odprawiania mszy św. w języku niemieckim. Dotyczy to Opola, Kluczborka, Gliwic, Raciborza i Nysy.

12.9.90

Zmarła w Warszawie w wieku 82 lat Irena Eichlerówna, wielka artystka sceny polskiej. ■ Urząd Rady Ministrów odwołał ze stanowiska dyrektora generalnego Radiokomitetu Andrzeja Bobera, który prowadził znany program pt. „Listy o gospodarce”. Mówi się, że zdjęcie Bobera ze stanowiska zostało spowodowane tym, że do swojego programu zapraszał antyrządowego ekonomistę Rafała Krawczyka.

ZACHÓD — EMIGRACJA

11.6.90

Prof. Jan Karski otrzymał doktorat *honoris causa* stanowego Uniwersytetu Oregon w USA. Jest to trzeci doktorat honorowy nadany prof. Karskiemu przez uniwersytety amerykańskie.

15.8.90

Zmarł w Grazu (Austria) w wieku 69 lat polski kompozytor i muzykolog Andrzej Dobrowolski.

20.8.90

Zmarł w Helmsford (Anglia) Henryk Mierziński, poeta. Instytut Literacki wydał w swoim czasie tomik jego poezji pt. „Etiudy”.

3.9.90

W Ronneby (Szwecja) odbyła się konferencja premierów i ekspertów Konferencji Bałtyckiej do Oczyszczenia Morza Bałtyckiego. Do polskiej delegacji, poza premierem Mazowieckim i ministrem Skubiszewskim, wśród m.in. Aleksander Smolar, niedawno mianowany doradcą Premiera do spraw polityki zagranicznej. Uchwalono deklarację zobowiązującą sygnatariuszy do zmniejszenia do 1995 roku ilości nieczystości odprowadzanych do Bałtyku o połowę. Polska postawiła wniosek, by na przyszłość w konferencjach brały udział obok ZSSR także Litwa, Łotwa, Estonia i Republika Rosyjska.

5.9.90

Austria przywróciła wizy wjazdowe dla Polaków.

13.9.90

W *Chapelle Saint-Louis de la Salpetrière* w Paryżu odbył się wernisaz wystawy malarskiej Grażyny Remiszewskiej.

20.9.90

W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się zebranie dyskusyjne na temat *La Croix et la bannière — images et clichés français sur la Pologne* — z udziałem: Henryka Woźniakowskiego, filologa i rzecznika prasowego rządu R.P., i Emmanuela Wallon, autora książki pt. *Pologne, dernières nouvelles de l'Atlantide*, wydanej w br. przez wydawnictwo Autrement. Dyskusję prowadził Marcin Frybes, socjolog.

21.9.90

W Centre du Dialogue w Paryżu odbyły się następujące spotkania: 10 września br. Julia Hartwig-Międzyrzecka i Artur Międzyrzecki mówili o aktualnych problemach życia kulturalnego w Polsce; 14 września br. Karl Dedecius, dyrektor Deutsches Polen Institut w Darmstadtzie (Niemcy Zachodnie) wygłosił odczyt pt. „Recepcja literatury polskiej w RFN”; 21 września br. Piotr Wandycz wygłosił odczyt pt. „Polityka zagraniczna Polski wczoraj, dziś, jutro”.

23.9.90

Nadburmistrz Kolonii zaprosił Mirosława Zawodnego z Poznania na pobyt od 23.09.br. do 3.10.br. w siedzibie Fundacji Adenauera w Rhindorf. Bilety Lufthansy, wizy i wszystkie koszty ponoszą Niemcy. Mirosław Zawodny jest jednym z sześciu dotąd żyjących b. podchorążych, b. jeńców wojennych aresztowanych w obozach jenieckich przez Gestapo w lecie 1944 r. za akcje konspiracyjne Armii Krajowej na terenie obozów jenieckich — stalagów. Kurier Armii Krajowej, wysłany z Warszawy, wpadł w ręce Gestapo, co spowodowało ponad 200 aresztowań. Umieszczeni w więzieniu w Brauweiler, po śledztwie wysłani poprzez obóz przejściowy w Köln-Deutz do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Otóż w Köln-Deutz był równocześnie internowany Konrad Adenauer, który potem był razem z żoną również w Brauweiler (p. *Zeszyty Historyczne* Nr 60 z 1982 r.).

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Plan finansowy sekretarza stanu Brady'ego, w którym proponuje się amerykańskim bankom komercyjnym umorzenie części długów największym państwowym dłużnikom po przeprowadzeniu w tych państwach reform gospodarczych, spotkał się z ostrą krytyką części finansjery amerykańskiej. Mimo to z udogodnień korzystają już Meksyk, Kostaryka, Filipiny, Ekwador, Wenezuela i Maroko, a Polska ma być pierwszym krajem wschodnioeuropejskim na tej liście. ■ W maju 1990 utworzono w Nowym Jorku Polsko-Amerykański Fundusz Inicjatyw Prywatnych, co było realizacją pomysłu Busha, wysuniętego podczas pobytu w Polsce, a popartego przez Kongres USA w listopadzie 1989. Fundusz uzyskał od Kongresu 240 milionów dolarów i ma pomagać małym przedsiębiorstwom, rolnictwu indywidualnemu oraz wspólnym polsko-amerykańskim przedsięwzięciom (pożyczki, zapomogi, gwarantowanie kredytów, pomoc techniczna i szkolenie fachowców). Przewodniczącym jest John P. Birkelund, dyrektorem — Robert G. Faris, a w skład zarządu wchodzi — Nicholas Rey, Zbigniew Brzeziński, Charles Harper i Lane Kirkland. ■ Rządowa agencja d/s Rozwoju Międzynarodowego (AID) wspomagająca kraje tzw. trzeciego świata, przekazała przedstawicielom rządu warszawskiego pomoc żywnościową wartości ponad 20 milionów dolarów oraz czek na sumę 100.000 dolarów dla Funduszu Rynków Kapitałowych i Prywatyzacji. Ogólna wartość amerykańskiej pomocy żywnościowej przyznanej Polsce wynosi 120 milionów dolarów. ■ Polonię chicagowską w dalszym ciągu bulwersuje nominacja Macieja Cybulskiego na stanowisko dyrektora misji stanu Illinois w Warszawie. Dotychczas Cybulski sprawował funkcję redaktora dodatku weekendowego organu Związku Narodowego Polskiego *Dziennik Związkowy*. Jako samodzielny przedsiębiorca oraz pracownik najemny nie wykazał się żadnymi osiągnięciami, czego przykładem jest nieudana próba wprowadzenia do Chicago mutacji nowojorskiego *Nowego Dziennika*. Nowomianowanemu dyrektorowi część prasy polonijnej zarzuca brak wystarczającego przygotowania do prowadzenia tego typu działalności oraz nieuczciwość (wystawianie czeków bez pokrycia własnym pracownikom), nieudolność i niekompetencję. Nowojorski *Nowy Dziennik* określił decyzję o tej nominacji mianem *Polish joke* gubernatora stanu Illinois. Przeciw niej publicznie wypowiedziało się kilka ważniejszych postaci polonijnych, piastujących wysokie funkcje w Kongresie Polonii Amerykańskiej — prof. Jerzy Lerski, Kazimierz Łukomski, Roman Puciński i Bolesław Wierzbiański. Głównym i prawdopodobnie jedynym sponsorem Cybulskiego jest szef KPA i ZNP — Edward Moskal. ■ Również zmiany personalne w polskich konsulatach w Nowym Jorku i Chicago

wzbudzają sprzeciw w niektórych środowiskach. Szef KPA i ZNP, Edward Moskal, listownie zwracał się do władz warszawskich o zatrzymanie w Chicago komunistycznego konsula Czerwińskiego. W sukurs komunistycznemu urzędnikowi pospieszyła również część prasy polonijnej. Podobnie w Nowym Jorku — nowy konsul Jerzy Surdykowski spotkał się z niechęcią nielicznych, ale dość widocznych środowisk. Dziwna wydaje się ta nagła dezaprobata wobec zmian w obsadzie polskich placówek dyplomatycznych w sytuacji gdy nowy ambasador, Kazimierz Dziewanowski, zapowiedział, że nie nastąpi ujawnienie wieloletnich agentów reżimu komunistycznego, którzy infiltrowali i skłócali Polonię. ■ Przy okazji rozgrywek personalnych wywołanych w Chicago nominacjami na stanowisko konsula oraz dyrektora stanu Illinois ujawniono, że powołane w 1989 roku Polsko-Amerykańskie Forum Ekonomiczne, którego założenia od początku nie były jasne i precyzyjne, niewiele zdziałało i co więcej nie rozliczyło się z otrzymanych pieniędzy. ■ W sierpniu zorganizowano w Warszawie wschodnioeuropejskie biuro tygodnika *Newsweek*; kierownikiem został Andrew Nagorski (w przeszłości usunięty z Moskwy). ■ American Express Bank Ltd. otrzymał ograniczoną licencję pozwalającą mu zorganizować ponownie biuro w Warszawie (istniało przed II wojną światową). Nowy oddział zajmuje się organizacją turystyki i obsługą finansową. ■ 17 siedemnaście kontenerów ze sprzętem medycznym wysłał do Polski amerykański Departament Obrony. Transport tego kompletnie wyposażonego szpitala polowego z Niemiec do Polski zorganizowała ambasada USA w Warszawie przy współudziale senatora Roberta Doyle'a i Zbigniewa Brzezińskiego. ■ W sobotnich szkołach polonijnych (w USA jest ich około 100 z ilością dzieci od 50 do 600 w każdej) zaczyna się kolejny rok szkolny bez właściwych podręczników opracowanych z założeniem, iż polski jest językiem obcym dla większości dzieci uczęszczających do tych szkół oraz bez odpowiedniej liczby nauczycieli przygotowanych do nauczania języka polskiego jako obcego. W tej sytuacji nikogo nie powinien dziwić fakt szybkiego odchodzenia polonijnej młodzieży od języka przodków. ■ Kazimierz Dziewanowski odwiedził Chicago na zaproszenie uczestników konwencji prawników American Bar Association; spotkał się również z przedstawicielami Polonii, którzy domagali się ujawnienia agentów reżimu działających przeciw Stanom Zjednoczonym i Polonii oraz nierezygowania z dawnymi ziem wschodnich przy jednoczesnym utrzymaniu ziem zachodnich. Ambasador jest zwolennikiem koncepcji Mieroszewskiego i *Kultury* w tej materii. ■ Polska została zwolniona z ograniczeń COCOM dotyczących importu zaawansowanych technologii o znaczeniu strategicznym; władze amerykańskie chcą w ten sposób umożliwić Polsce zmodernizowanie telekomunikacji, co ma stanowić jeden z podstawowych kroków w kierunku przeobrażeń gospodarczych. ■ Kilka sztuk Janusza Głowackiego zostało wydanych w liczącym się na rynku amerykańskim North Western University Press. ■ Znany

amerykański potentat „Mac Donald”, dostarczający niedrogiego pożywienia, pragnie zaistnieć na polskim rynku. Polska biurokracja (silniejsza z pewnością niż zdrowy rozsądek i troska o właściwe odżywianie Polaków) powoduje, iż przeszkody urzędowe są nie do pokonania w najbliższych latach. Znaleźli się już natomiast prywatni przedsiębiorcy chętni do współpracy z Mac Donaldem. ■ W drugiej połowie sierpnia odbył się w Bostonie IV Festiwal Kultury Polskiej pod patronatem burmistrza Raymonda L. Flynna, zorganizowany przez Polskie Towarzystwo Kulturalne i Zespół Taneczny „Krakowiak”. ■ Niektóre uniwersytety (m.in. Roosevelt University, National Louis University w Chicago, a także uniwersytety stanowe Pensylwanii i Ohio) oraz fundacje amerykańskie utworzyły w ostatnim czasie specjalne stypendia pokrywające koszty nauki oraz przyjazdu, mieszkania i wyżywienia studentom z krajów „postkomunistycznych”, w tym też z Polski. ■ W ramach specjalnego Central European Scholarship Program, finansowanego przez rząd USA, do waszyngtońskiego Georgetown University przybędzie 45 polskich rolników na dwuletnie studia połączone z pracą na farmach oraz w przedsiębiorstwach agrotechnicznych. ■ American Information Agency zorganizowała specjalny East European Media Project, w ramach którego dziennikarze polscy mogą odbywać 5-miesięczny staż w redakcjach czasopism amerykańskich. ■ 27 sierpnia podpisana została umowa o opracowaniu generalnego planu rozwoju polskiego lotnictwa; to przedsięwzięcie sfinansowane będzie przez amerykańskie Biuro Handlu i Rozwoju i obejmie rozwój sieci lotnisk, system kontroli ruchu, szkolenie kadry dla lotnictwa cywilnego oraz zasady finansowania i kształtowania opłat lotniczych i nawigacyjnych.

Mariusz SZAJNERT

KRONIKA KANADYJSKA

Ryszard Paszkowski, który w latach 1984-86 miał być podwójnym agentem UB i kanadyjskiej Security Intelligence Service, nie uzyskał statusu uchodźcy w Kanadzie. Nakazano mu wrócić do RFN, gdzie nic mu już nie grozi. Paszkowski skazany został w RFN za porwanie samolotu polskiego. ■ Załatwienie ponad 100.000 aplikacji uchodźców — właściwie emigrantów — o prawo stałego pobytu ciągnie się od dwóch lat. Liczba aplikacji wzrasta, kosztą rozpatrywania również i rząd w Ottawie nie może się zdołać na rozcięcie tego węzła. Głosi się za pośrednictwem różnych kanałów, że imigracja musi się znacznie powiększyć, ale żadnej konkretnej akcji nie przeprowadza się. Rząd federalny zdaje się hołdować dewizie, iż

pilne sprawy załatwia się... pozostawiając je Opatrzności. Pojawiają się jednk „pomocnicy”. I tak np. nie dostrzega się pracujących „na czarno”, a w bardzo jaskrawych wypadkach grzywny są symbolizyczne. Są też bardziej konkretni pomocnicy, którzy zmniejszają liczbę Polaków czekających na uregulowanie statusu. Działa dobrze zorganizowana szajka, przemycająca Polaków do Stanów Zjednoczonych. Amerykańska straż graniczna przechwyciła dwóch organizatorów przemytu, Polaków zamieszkałych w Chicago. Ujęto kilkudziesięciu kandydatów na nielegalnych imigrantów w USA. Władze kanadyjskie utrzymują, iż przemyt Polaków z Kanady do USA trwa już od roku, aresztowano wprawdzie pewną ilość przewoźników, lecz szajka nie została dotychczas unicestwiona. ■ W lipcu zmarł w Toronto przeżywszy 81 lat ppłk Maksymilian Lewandowski, pilot, d-ca dywizjonu 307 „Lwowskie Puchacze”, uczestnik akcji bojowych lotnictwa polskiego podczas ostatniej wojny. Po demobilizacji osiadł w Kanadzie, gdzie należał do organizacji kombatanckich. ■ W sierpniu z okazji 45 rocznicy założenia Credit Union parafii św. Stanisława (Kasa Kredytowo-Pożyczkowo-Spółdzielcza) w Toronto na maszt ratusza wciągnięta została flaga polska i prezydent miasta proklamował Dzień Polski 9 sierpnia. Kasa ta z biednej parafialnej instytucji w Toronto przekształciła się w największą, najzamożniejszą polonijną kasę nie tylko w tym mieście, ale w kraju. Wchłonęła kilka kas Kredytowo-Pożyczkowych — w tym SPK-Toronto — oraz uruchomiła kilka nowych oddziałów w różnych miejscowościach. Kasa szykuje się do uruchomienia filii w Polsce. Ilość członków w sierpniu przekroczyła 31.000, a stan kont osiągnął \$167 milionów.

B.H.

Toronto 15.8.90r.

Z ostatniej chwili

U progu Czwartej Rzeszy

W tym dniu nie strzelały korki z butelek szampana, nie tańczono na ulicach Berlina, Bonn i Monachium, nie wiwatowano tak jak 9 listopada ubiegłego roku i w noc Sylwestrową. Niemcy przyjęli moskiewski traktat o jedności z respektem, ale bez euforii. Może ten chłód spowodowało miejsce podpisania umowy, może przestraszono się kosztów zjednoczenia kraju, może, może... Mimo, że spędziłem wśród Niemców więcej niż połowę życia, wciąż jeszcze w pewnych sytuacjach mentalność tych ludzi pozostaje dla mnie zagadką. A przecież 12 września 1990 roku to dzień historyczny, dzień uznania jedności i suwerenności Niemiec. Cała procedura postępowania traktatowego, która zastąpiła zawarcie układu pokojowego z Niemcami, odbyła się w błyskawicznym tempie. W tym samym dniu pogrzebano ostatecznie ład pojałtański i po-poczdamski. Ironia losu sprawiła, że stało się to w tej samej Moskwie, gdzie przed pół wiekiem powstał — i został w pierwszej fazie zrealizowany nie bez powodzenia — plan powojennej ery w Europie pod znakiem *pax sovietica*.

Podpisany w Moskwie akt narodzenia Czwartej Rzeszy stał się zarazem aktem zgonu imperialistycznego systemu w podbitej Europie. Fakt, że ta ceremonia odbyła się akurat w Moskwie, musi być dla pogrobowców stalinowskiej myśli mocarstwowej symbolem smutku i rozgoryczenia. Zresztą niejednokrotnie wyrażali to już wcześniej, po upadku systemu komunistycznego w NRD, na falach sowieckiej rozgłośni wojskowej *Wołga*. Niemcy to nie Węgry, a nawet nie Polska. Ich utrata jest gwoździem do trumny zewnętrznego imperium, tak jak utrata Ukrainy będzie kresem wewnętrznego imperium. Przed rokiem Ligaczow zapewniał Honeckera, że Kreml nigdy nie odda NRD imperializmowi. Po roku nie ma ani Ligaczowa ani Honeckera, a Niemiecka Republika Demokratyczna istnieje do 3 października tylko na papierze. Jej rząd pod kierownictwem potomka hugenotów Lothara de Maizière, był chyba jedynym rządem w historii świata, który został powołany do życia po

to, aby zlikwidować kierowane nim państwo i własną ekipę rządową.

3 października 1990 zaistnieje nowa Rzesza Niemiecka, owoc drugiego w historii zjednoczenia narodu niemieckiego w jednolite państwo. Moskwa kazała sobie za to słono zapłacić. Są to zobowiązania Niemiec w dziedzinie militarnej i finansowej. Armia niemiecka nie może przekroczyć górnego pułapu 370.000 żołnierzy. Między Łabą a Bugiem powstaje swego rodzaju strefa zdemilitaryzowana, a do roku 1994 we wschodniej części zjednoczonych Niemiec pozostają kontyngenty armii sowieckiej z pełnym uzbrojeniem ofensywnym. Pozostaje też zaplecze wojskowe w postaci oddziałów sowieckich w Polsce.

To prawda, że w wojsku sowieckim na terytorium dotychczasowej NRD nastąpił moralny rozkład. Przejście na żołąd niemiecki, wieści z domu, rosnąca wrogość ludności niemieckiej, strach przed nieznaną przyszłością — wszystko to razem sprawiło, że te do niedawna elitarne dywizje znajdują się na dnie depresji. Gdyby takie wojsko wróciło w pełnym składzie i z pełnym uzbrojeniem, mogłoby stać się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla reżimu Gorbaczowa. Dlatego też chce jak najdłużej utrzymać je z dala od rodziny i na niemieckim garnuszku. Tymczasem defetyzm wśród tych żołnierzy rośnie z dnia na dzień. Nic dziwnego więc, że kiedy po podpisaniu umowy moskiewskiej telewizja zachodnioniemiecka przeprowadza wywiady z żołnierzami i oficerami sowieckimi, z ust ich posypała się lawina skarg: „Nasza służba wojskowa nie ma już sensu — mówili Niemcom ich rozmówcy. — Przecież nie ma czego bronić. Moze naszych, opływających w dostatki i przywileje generałów? Nam się to wszystko już sprzykrzyło. To nasi generałowie oddali nas na pastwę losu. Niech sami wypiją to piwo, którego narzeczyli”.

Ale co by się stało, gdyby w Moskwie doszło do przewrotu i gdyby na Kremlu zapanowała dyktatura wojskowa? Co uczyniłyby wówczas sowieckie dywizje w Niemczech? Nad tym nikt się nie zastanawia, a rząd w Bonn lokuje na razie grube miliardy w ekipę Gorbaczowa w nadziei, że uda mu się wybrnąć dzięki niemieckim subsydiom z politycznych i ekonomicznych tarapatów. Kiedyś niemiecki sztab generalny i rząd pierwszej Rzeszy postawili na Lenina. Czyżby ich prawniki miały się pomylić?

Gorbaczow też postawił na Niemców. Dowodem tego jest układ sowiecko-niemiecki z 13 września. Jest to super-Rapallo, chociaż zupełnie innego wymiaru niż ówczesny traktat. Tamten był wymierzony przeciwko Europie, podobnie jak umowa Stalina z Hitlerem w 1939 roku. Układ obecny stanowi coś innego, a mianowicie próbę przykucia gospodarczego potencjału Niemiec do kryzysu w Związku Sowieckim. Ostrze tego porozumienia zwrócone jest przeciwko emancypacji państw Europy środkowo-wschodniej i przeciwko republikom sowieckim. Chodzi o to, aby Niemcy subsydiowali w dalszym ciągu centrum moskiewskie, które rozdzielałoby

fundusze według własnego widzimisię. Innymi słowy: w okresie żywiłowych przemian i reform narodowościowych Niemcy stawiają na uratowanie zjednoczonego państwa sowieckiego. Jest to niesłychane wyzwanie pod adresem emancypacji narodów ujarzmionych.

Tkwi w tym poważne niebezpieczeństwo długofalowej zmiany orientacji w niemieckiej polityce zagranicznej. Już dziś stwierdza się, że umowy moskiewskie zmuszają politykę niemiecką do zwęsklenia z orientacji atlantyckiej na orientację kontynentalną. W historii flirtu rusofilii niemieckiej z germanofilią rosyjską prowadził do katastrofy dla krajów ościennych. Nie chcę szerzyć nastrojów panicznych. Na razie taka zmiana orientacji jeszcze nie grozi. Niemcy zużyją wiele energii i środków materialnych dla realizacji zjednoczenia kraju. Ale na wyrost należałoby w Warszawie, Kijowie, Wilnie, Mińsku wraz ze światłymi Rosjanami pomyśleć o innej konstrukcji Europy niż dzisiejsza. A tymczasem nowy ambasador polski w Bonn, Janusz Reiter, deklaruje w swym pierwszym *credo* na łamach konserwatywnego tygodnika *Rheinischer Merkur*, z którym dawniej współpracował, że jego zadaniem jest krzewienie potrójnej współpracy na linii Niemcy-Polska-Rosja. Jest to alarm i ostrzeżenie dla wschodnich sąsiadów Polski, najwidoczniej taki jest duch współczesnej doktryny wschodniej polityki obecnego rządu w Warszawie.

BERLIŃCZYK

NOWOŚĆ WYDAWNICZA!

MAREK CELT

RAPORT Z PODZIEMIA — 1942

Emisariusz rządu RP — jedyny cichociemny, który dwukrotnie skoczył ze spadochronem do okupowanej Polski i dwukrotnie wrócił do Londynu po wykonaniu misji — relacjonuje sytuację w Podziemiu w 1942r. Opisuje też dramatyczną — cały rok trwającą, przerwana pobyt w więzieniu i obozie koncentracyjnym — drogę powrotną do centrali, wiodącą przez pół Europy.

„Raport z Podziemia — 1942” jest do nabycia w księgarniach polskich i u autora. Str. 409, zdjęcia, dokumenty. Cena — DM 36,00 lub równowartość.

SKŁAD GŁÓWNY:

Marek Celt, Nikolaus-Mueller-Str. 13
D-8033 Planegg

rowani. Aleksander Sołżenicyn, widniejący na liście, nie przyjął — jak słusznie napisała *Kultura* — tej łaski. Nie przyjęli jej także Jurij Kariagin i Irina Ratuszyńska. Większość pozostałych wyraziła różnego stopnia zadowolenie.

Z poważaniem

Michał HELLER (Adam KRUCZEK)

Syracuse 7/25/1990

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę sprostować niecisłą informację zamieszczoną w czerwcowym numerze *Kultury* w dziale „Kronika amerykańska”. Podczas ubiegłorocznej wizyty w USA Anna Walentynowicz zwróciła się do organizacji, która reprezentuje AFIP (Americans For Independent Poland) z apelem o pomoc i uczynienie wszystkiego co jest możliwe w obronie uwięzionych 9 polskich marynarzy. Właśnie moja organizacja przeprowadziła specjalną akcję. Losem uwięzionych marynarzy zainteresowaliśmy wielu kongresmenów i senatorów. Tak więc zamieszczona informacja, że oprócz niezależnych polonijnych dziennikarzy i działaczy niezrzeszonych w żadnych polonijnych organizacjach nikogo nie zainteresował los marynarzy wymaga sprostowania.

Z poważaniem

Czesław JAMER
Członek Rady AFIP

Szkoda, że p. Jamer nie informuje, czy interwencje jego organizacji dały jakieś rezultaty (*Red.*)

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze *Kultury* lipiec/sierpień — 7/514-8/515 (dział „Wywiady *Kultury*” — wywiad Romana Lewandowskiego ze Stefanem Nędzyńskim) ten ostatni na temat powracających do Kraju po wojnie (lata 1947 i później) stwierdza:

„W Londynie podział był wyraźny. Tych, którzy wracali bez poważnych powodów — powiedzmy, żona, dzieci, czyli sprawy osobiste — uważaliśmy po prostu za zdrajców”.

Widocznie w takim gronie znalazł się autor wypowiedzi Stefan Nędzyński.

Inaczej sprawa przedstawiała się w mojej jednostce bojowej, 1. Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej, czego najlepszym dowodem niech będą słowa ostatniego rozkazu na terenie Niemiec ówczesnego dowódcy Brygady, ppłk. dypl. A. Rawicz-Szczerbo:

„W końcu zwracamy się do Was, Koledzy, którzy oczekujecie na powrót do Kraju. Nasze wspólne wspomnienia o Brygadzie, nasze wspólne trudy nad stworzeniem tej najnowocześniejszej jednostki Wojska Polskiego, nasz chrzest bojowy nad Renem — pozostaną dla nas nierozzerwalną spójnią na przyszłe lata, gdy w każdej minionej i obecnej chwili jedna myśl tylko

Listy do Redakcji

Drogi Panie Jerzy,

czytając — jak zwykle z zainteresowaniem — kolejny numer *Kultury* (nr 9), odkryłem na str. 167 notatkę pod tytułem „Z ostatniej chwili”. Dotyczy ona przywrócenia obywatelstwa sowieckiego tym obywatelom ZSSR, którzy zostali go pozbawieni na rozkaz Rady Najwyższej w latach 1966-88. Ponieważ w notatce wymienione zostało też moje nazwisko, czuję się zmuszony do wniesienia poprawki. Jest ona niezbędna, gdyż autor notatki posłużył się informacją zachodnią, która — niestety jak zwykle — nie odpowiada rzeczywistości.

W notatce powiedziane jest m.in., że obywatelstwo przywrócono najpierw Sołżenicynowi, Maksimowowi, Zinowiewowi i Żoresowi Miedwiediewowi, a potem jeszcze 175-ciu szczęśliwcom, w tym mnie.

W rzeczywistości sprawy odbyły się po gorbaczowsku. Pierwsi — około rok temu — odzyskali obywatelstwo sowieckie Mstisław Rostropowicz, Galina Wiszniewskaja i Jurij Lubimow. Następnie — w czerwcu 1990 — Maksimow, Zinowiew i Żores Miedwiediew. Potem ukazał się komunikat, że prezydent przywrócił obywatelstwo także innym. Ani ich liczba, ani nazwiska w tym komunikacie nie widniały. Zachodnie agencje prasowe rzuciły się do swoich archiwów i same zaczęły sporządzać listy. Rozumowanie było prymitywne: komu zabrali, temu oddali. Ale się przeliczyły. Kilka dni później *Izwestia* ogłosiła listę wybrańców — składała się z 23-ch nazwisk.

Według moich obliczeń (mogę się mylić) — pozbawiono obywatelstwa sowieckiego nie więcej niż trzydzieści kilka osób. Mam na myśli tych, których go pozbawiono na podstawie zarzutów, wyliczonych w ukazie z 16 grudnia 1983r., dotyczącym mnie: „Biorąc pod uwagę, że Heller M. J. systematycznie zajmuje się wrogą wobec Związku Sowieckiego działalnością, przynosi swoim postępowaniem szkodę prestiżowi ZSSR... za czynny hańbiący szczytny tytuł obywatela ZSSR pozbawić obywatelstwa ZSSR Hellera M.J.... Podpisano: J. Andropow”.

Przyznam, że kiedy zaczęli nagabywać mnie dziennikarze, byłem w kropce: czyżby przywrócili mi obywatelstwo? Czyżbym nie „zajmował się systematycznie wrogą działalnością”? Czyżbym nie „przyniósł szkody”? Skonfundowany mówiłem i pisałem, że nie chcę żadnych łask Gorbaczowa, że tylko niewolnikowi można nałożyć albo zdjąć obrożę. Jednak ku wielkiemu swemu zadowoleniu nie znalazłem mojego nazwiska na liście wybrańców. O ile wiem, także Aleksander Ginzburg i Władimir Bukowski nie zostali obda-

górowała i góruje nad innymi: 'Tobie, Ojczyzno', hasło, wyryte na naszych znakach spadochronowych. Rozstając się, z tą myślą kroczyć będziemy wspólnie i dalej''.

Koledzy odchodzący do Kraju żegnali nas, defilując, jeszcze w mundurach, ale już bez broni, przed Sztandarem Brygady. Nie było więc na nich nigdy żadnego piętna za to, że powzięli decyzję powrotu do Kraju.

Pozostaję, panie Redaktorze, z głębokim poważaniem

J. LORYS

POLITYCZNA NIEZRĘCZNOŚĆ

Zamieszczone na stronie 213 zeszytu 7/8-1990 *Kultury* „Stanowisko Rządu R.P. na Uchodźstwie w sprawie Polskich Ziemi Wschodnich” jest polityczną niezręcznością, jeżeli nie błędem, a to dla dwóch dobrych powodów:

1. Autorzy „Stanowiska” operują argumentem legalistycznym: Polska została pozbawiona Ziemi Wschodnich na skutek uchwał politycznych, nie potwierdzonych żadnym aktem prawa międzynarodowego. Jest to jota w jotę argument, którym w Republice Federalnej Niemiec operują „wysiedleńcy” i w ogóle zwolennicy poglądu, że Rzesza Niemiecka nadal istnieje „legalnie” w granicach z roku 1937; „Stanowisko” może się stać wodą na ich młyn.

2. Istnieje niebezpieczeństwo, że „Stanowisko” może być interpretowane przez wrogi nam elementy jako „dążenia rewizjonistyczne” skierowane nie tyle przeciwko Rosji Sowieckiej, ile raczej przeciwko Republikom Litewskiej, Ukrainkiej i Białoruskiej, które — w tej kolejności — są na drodze do samodzielnosci i z czasem niepodległości.

Wojciech KRZYŻANOWSKI

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA STODIECK'S BUCHHANDLUNG

Wydawnictwa w języku polskim. • Beletrystyka, słowniki, przewodniki.

Przekłady na język niemiecki.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

Adres: Richard-Wagner-Str. 39

D-1000 Berlin-10

Tel.: (030) 341 10 40

Metro: Richard-Wagner-Platz

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.C. w Kraju; H.S., RFN; D.S. w Kraju; P.Ch. w Kraju: — Z wierszy nie skorzystamy.

U.D. w Kraju: — Wydaje nam się, że właściwszym od *Kultury* miejscem dla tekstu o zmarłym niedawno prof. Gogulskim z gimnazjum Reytana byłoby jakieś młodzieżowe pismo w Warszawie.

J.I.Z., Anglia: — Myli się Pan: fakt, że napisał pan swoją książkę po angielsku jest przeszkodą dla naszego wydawnictwa.

W.A.B., Czechosłowacja: — Pana *Białe kartki* są ujmująco patriotyczne, ale napisane niestety dość lichy.

L.Ż., RFN: — Niezmiernie rzadko i w wyjątkowych wypadkach drukujemy sztuki teatralne.

K.S., Belgia: — Ma Pani znakomitą pamięć, nie do wiary prawie, że po tylu latach można tak żywo pamiętać najdrobniejsze szczegóły własnego życia. Ale sama drobiazgowość pamięć nie wystarcza, by napisać ciekawy dla czytelników pamiętnik.

Z.P. w Kraju: — Polityczny wątek tej *Sex-Party à la Polonoise* jest niezbyt dowcipny. Obsceniczny ma za mało wdzięku, aby uchronić tekst od zwykłej pornografii.

H.P., RFN: — Opowiadanie *Dzisiaj* jest dla nas niezrozumiałe, wątpliwy nawet, czy sama autorka wie, co zamierzała opowiedzieć.

J.G., RFN: — Opowiadanie *Sąd nad robakiem* nie nadaje się do druku.

M.C. w Kraju: — Wypisy z gazet i książek bez komentarzy i refleksji autora to trochę za uboga formuła dziennika.

W.P. w Kraju: — Każdy czytelnik *Kultury* ma prawo przysłać do Redakcji swój utwór, dotyczy to więc także Pana poematu.

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo. — Rozpad. — Odrzut organizmu. — Komunizm handlowy. — Kompromitacja praktyki. — Agonia komunizmu oraz Postowia.*

Str. 276 Cena F. 145,00.

TOM 457

**POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA
W LATACH 1926-1939**

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cienciała

Str. 448. Cena F. 220,00.

TOM 459 — BERNARD NOWAK

CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144. Cena F. 75,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 3275-1990

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1991			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 100,00	Fl h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zh. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/TV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT

ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególnie dziennik zbliża się do formy autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” podaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288.

Cena F. 145,00.

TOM 463 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY TRZECI

zawiera opracowania: Jerzy Polaczek: *Losy patrolu kpt. „Wani”*; W. Dworzyński: *„Sprawa prezydentury”*; Tadeusz Wyrwa: *Likwidacja ambasady RP przy Watykanie w latach 1958 i 1972*; Kajetan Bieniecki: *Frantic*; Jan Ciechanowski: *Notatki z rozmów z gen. Tadeuszem Pełczyńskim*; Andrzej Zahorski: *Tadeusz Łepkowski (21 I 1927 — 16 XII 1989)*; Z.S. Siemaszko: *Ks. prałat Stanisław Bełch*; Gen. Izydor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (cz. II)*; Tomasz Lenczewski: *Deklaracja płk. Jana Mazurkiewicza „Radostawa” z 8 września 1945; Polska w końcu 1945 r. w ocenie podziemia niepodległościowego; UB a PSL po ucieczce Mikołajczyka — listopad 1947*; Benedykt Heydenkorn: *Etapy likwidacji ukraińskiej autonomii*; Z.S. Siemaszko: *Wilno 1939–41*; Jerzy Krzyżanowski: *Drugi brzeg Oki*; Jan Nowak: *Rozmowa z Władimirem Horbowym*; Andrzej Kempfi: *Śladami Rejtana*; Józef Kowalski: *Drobny przyczynek do polskiego antysemityzmu oraz bogaty dział LISTOW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 47 F